

*Rebecca Hagan Lee*

Nieoczekiwany spadek

Książki zawsze należą do ludzi. Wszystkie noszą ślady swoich właścicieli oraz autorów i osób, które ich zainspirowały. Na tej książce wycisnął piętno mój ojciec David Hagan.

Dziękuję ci, tato, za całe pokolenia lisów i ogarów. Za gołębie i przepiórki. Za pointery, setery, spaniele i za lekcje życia, których udzielałeś mi w lesie.

Mała dziewczynka, która chodziła za tobą krok w krok i spędzała niezliczone godziny na przednim siedzeniu pickapa na słuchaniu opowieści o dżentelmenach z Południa, którzy dawno odeszli i już nie wrócą, przekazuje ci wyrazy miłości.

Kodycył do testamentu George'a Ramseya,  
piętnastego markiza Templeston.

Pragnąłbym umrzeć w podeszłym wieku w otoczeniu najbliższej rodziny, lecz człowiek nie zawsze może sobie wybrać porę odejścia z tego świata, dlatego też trzeciego dnia sierpnia roku pańskiego 1818 obarczam mojego prawowitego syna i spadkobiercę Andrew Ramseya, dwudziestego ósmego hrabiego Ramsey, wicehrabiego Birmingham i barona Selby, odpowiedzialnością za moje kochanki i dzieci urodzone przez nie w ciągu dziewięciu miesięcy od mojej śmierci.

Ponieważ prawdziwy dżentelmen jest dyskretny, nie podam nazwisk tych niezwykłych kobiet, które po śmierci mojej ukochanej żony okazały mi troskę i miłość, ale zobowiązuję mojego syna, żeby każdej damie, która jemu, jego legalnemu spadkobiercy albo pełnomocnikowi pokaże złoty medalion z wygrawerowaną moją pieczęcią oraz podobizną, identyczny Z medalionem dołączonym do niniejszego listu, przekazywał rocznie sumę nieprzekraczającą dwudziestu tysięcy funtów na utrzymanie jej oraz dzieci urodzonych przez nią w ciągu dziewięciu miesięcy od mojej śmierci.

Każda z dam otrzymała ten drobiazg jako obietnicę, że nie będzie cierpieć biedy, oraz podziękowanie za okazaną mi troskę i miłość. Osoba, która zgłosi się z takim medalionem i wykaże, że otrzymała go w spadku po matce, zostanie uznana za po-

tomka piętnastego markiza Templeston i będzie miała prawo do części mojego majątku, zapisanej jej matce.

George Ramsey,  
piętnasty markiz Templeston.

## Prolog

Choćby więc dwoje serc w nas chciało  
Bić jednym tętnem aż do brzasku -  
Już nie będziemy przez noc całą  
Wąłęsać się w księżycu blasku.

George Gordon, lord Byron, 1788-1824

*Morze Irlandzkie, kwiecień 1819*

- George!

Młoda kobieta kurczowo trzymała się relingu  
i szła z trudem przez kołyszący się pokład.

Sztorm nadciągnął niespodziewanie. W jednej minucie niebo było czyste i błękitne, w następnej zasnuły je czarne chmury przecinane zygzakami błyskawic. Zahuczały pioruny, lunął deszcz. Fale wezbrały i zaczęły miotać jachtem jak łupinką orzecha.

Piętnasty markiz Templeston uważał się za doświadczonego żeglarza, ale wiedział, że sam nie zdoła uchronić „Lovely Lady” od roztrzaskania się

""Przekład Stanisława Barańczaka.

o zdradliwe skały strzegące tej części irlandzkiego wybrzeża.

- Wracaj! - krzyknął. - Zejdź pod pokład. Tam będziesz bezpieczna!

- A ty?

Nie usłyszał jej słów, odczytał je z ruchu warg.

- Zaraz przyjdę.

Kobieta potrząsnęła głową.

- Bez ciebie nie idę.

Gdy do niego dotarła, przytulił ją i stwierdził, że cała drży. On też był przemoczony do suchej nitki. Ostatnie trzy kwadranse spędził na lodowatym wietrze i deszczu. Próbował umocować koło sterowe w jednej pozycji, żeby zejść na dół i sprawdzić, co się dzieje z jego młodą kochanką. Lecz impulsywna Mary Claire nie mogła znieść beczynnego czekania i sama do niego przyszła. Teraz trzęsa się z zimna, a co gorsza groziło jej zmycie z pokładu.

Obejmując ją mocno, wolną ręką markiz zaczął odczepiać linę mocującą kolo. Nagle jacht przechylił się mocno na lewą burtę i Mary Claire upadła na kolana. Templeston pomógł jej 'wstać.

- Obiecaj, że wszystko będzie dobrze - poprosiła, przywierając do niego z całej siły.

W tym momencie George zobaczył nadciągającą ogromną falę. Zrozumiał, że zginą, jeśli nie uda mu się przywiązać ich do steru w ciągu następnych kilku sekund. Spojrzał w brązowe oczy ukochanej.

- Nie mogę. - Wytrzymał jej spojrzenie. - Jeszcze nigdy cię nie okłamałem. - Puścił linę i przygarnął Mary Claire do piersi. - Kocham cię, skar-

bie - szepnął, zanim runęła na nich ściana wody.

Naprawdę z całego serca kochał tę piękną młodą kobietę, którą trzymał w objęciach. Szczerze mówiąc, George Ramsey, piętnasty markiz Templeston, uwielbiał wszystkie swoje kochanki.

# 1

Człowiekowi nie przydarzają się rzeczy, do zniszczenia których nie byłby zdolny z natury.

Marek Aureliusz, 120-180

*London*

*Dwa tygodnie później*

- Są pewni, że to mój ojciec? - zapytał Andrew Ramsey.

Stał w oknie gabinetu w swojej rezydencji w Mayfair i obserwował wiosenną ulewę.

- Miejscowi rybacy znaleźli „Lovely Lady” dryfującą niedaleko wybrzeża Irlandii. Kiedy kilka mil dalej morze wyrzuciło na brzeg ciała mężczyzny i kobiety odpowiadające opisowi twojego ojca i jego towarzyski, sędzia od razu tam pojechał. Znał George'a osobiście i zidentyfikował ciało. - Mówiący potrząsnął głową. - Kto by przypuszczał, że o tej porze roku tak się rozpada, a na morzu rozpęta się sztorm.

- Sędzia mógł się pomylić.

Ramsey odwrócił się do swojego długoletniego



przyjaciela oraz doradcy i spostrzegł, że nosi on już na rękawie czarną opaskę.

- Przykro mi, Drew, ale nie ma żadnej pomyłki. Przy mężczyźnie znaleziono te rzeczy.

Bell wyjął z kieszeni małą paczuszkę i wręczył ją Ramseyowi.

Andrew rozwinął woskowany papier i zobaczył złoty zegarek, łańcuszek i sygnet. Gwałtownie wypuścił powietrze z płuc i usiadł na krawędzi biurka, bo kolana odmówiły mu posłuszeństwa.

- Chryste, a więc to prawda!

Otworzył dewizkę i przez chwilę czekał, aż rozlegną się znajome dźwięki menueta i ciche tykanie, ale zegarek milczał. Nieruchome wskazówki pokazywały za siedemnaście trzecią. Andrew popatrzył jeszcze na piękną miniaturkę swojej matki, po czym starannie zamknął kopertę i odwrócił zegarek. Napis wygrawerowany na spodzie głosił: „Mojemu kochanemu George'owi w dziesiątą rocznicę ślubu. z miłością od uwielbiającej żony Iris". Ramsey przełknął ślinę i wziął w palce pierścień. Widniał na nim herb markiza Templeston.

- Co on robił w Irlandii? - wybuchnął, zaciskając sygnet w pięści. - Dlaczego nie przyjechał tu na sezon?

- Zawsze mówił, że londyński sezon go nudzi - przypomniał Martin.

- Mimo wszystko powinien mieć choć tyle rozsądku, żeby nie żeglować samotnie. Ta łódź była dla niego za duża.

Doradca potarł zmarszczki na czole i stwierdził:

- George był doskonałym żeglarzem i tym różnił się od innych ludzi, że żył pełnią życia.

- Dobrze znałem swojego ojca. Dla niego korzystanie z życia oznaczało unikanie obowiązków i wszelkich myśli o przyszłości.

- Rzeczywiście nie planował każdej minuty - przyznał Martin. - Był wolny. Spontaniczny.

- W przeciwieństwie do mnie - rzucił cierpko Ramsey.

- W przeciwieństwie do ciebie - zgodził się Bell. - Ale to nie oznacza, że unikał wszelkiej odpowiedzialności. Był bardzo bogaty i znał swoje obowiązki. Zostawił ci wielką fortunę.

Martin sięgnął do kieszeni po chusteczkę i zaczął wycierać okulary w złotych oprawkach.

- Do diabła, nie obchodzi mnie jego fortuna! Wołałbym, żeby ojciec żył.

- To oczywiste, ale jako prawnik markiza Templeston muszę poinformować cię o wielkości spadku i innych szczegółach jego testamentu.

Wyjął z teczki dokument i podał go przyjacielowi. Ramsey pokręcił głową. Dowiedział się o tragedii poprzedniego dnia, jednak nadal nie mógł uwierzyć, że już nigdy nie zobaczy ojca.

Doceniał lojalność i solidność Bella, ale jeszcze nie był gotów wysłuchać ostatniej woli George'a Ramsey'a.

- Nie kłopotz się - powiedział. - Znam wartość majątku niemal co do pensa.

Na twarzy doradcy odmalowało się zdziwienie i lekki niepokój. Zupełnie jakby Martin Bell nabrał

podejrzeń, że w przyjacielu raptem obudziła się chciwość.

- Od lat zajmowałem się jego inwestycjami - wyjaśnił Drew pospiesznie. - W miarę jak się starzał, coraz bardziej szkoda mu było czasu na takie przyziemne finansowe sprawy. Bardzo chętnie mi je przekazywał.

- Cieszył się życiem.

- Zwłaszcza śpiewaczkami operowymi, młodszy mi od niego o trzydzieści lat. - Spojrzał Martinowi w oczy. - Miała na imię Mary Claire. Ojciec wspominał, że zamierza wziąć ją na przejażdżkę nowym jachtem. Kilka tygodni temu jedliśmy razem kolację w klubie i nagle oznajmił, że musi zdążyć za kulisy, by wręczyć bukiet Mary Claire.

Bell pokiwał głową.

- Nie unikał kobiet, zanim poznał twoją matkę. Spodziewałeś się, że po jej śmierci zostanie mnichem?

- Tak. Nie. - Andrew wsunął rodowy sygnet na palec prawej ręki, po czym wcisnął dłoń w kieszenie surduta i zaczął chodzić po gabinecie. - Nie oczekiwałem, że będzie żył w celibacie. Myślałem jednak, że wykaże się większą rozwagą. Ostatecznie był sędzią Sądu Najwyższego.

- George Ramsey był przede wszystkim mężczyzną, a dopiero potem sędzią - oświadczył Martin, stając w obronie serdecznego przyjaciela.

- Tak, ale gdyby w prywatnym życiu kierował się rozsądkiem, z którego słynał w życiu publicznym, może by nie zginął.

- Niewykluczone, że gdyby nie wyruszył na mo-

rze, dożyłby sędziwego wieku, ale nigdy nie wiadomo. Człowiek nie ma żadnej gwarancji. Może ta tragedia musiała się wydarzyć.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Nikt nie wie. Taka jest wola Boża.

- To nie była wola Boża, tylko wola Templestona. Dlaczego postanowił sam sterować takim dużym jachtem, zwłaszcza po "wzburzonym morzu"? Przecież miał żonę. Dlaczego jej nie zabrał? Bo chciał zaimponować kochance. Bo myślał, że potrafi stawić czoło naturze.

- Miejscowi twierdzą, że kiedy markiz wypływał z portu, pogoda była idealna do żeglowania.

Ramsey zlekceważył uwagę Bella.

- Zawsze szukał przygód. Zawsze zostawiał za sobą chaos.

Doradca przyjrzał się mu się bacznie.

- Jesteś rozżalony.

Andrew milczał przez chwilę.

- Nie na niego - powiedział w końcu. - Po prostu złości mnie bezsensowność jego śmierci.

Odczuwał gniew i głębokie rozczarowanie, że ojciec okazał się tak nieprzewidujący i nie zatroszczył się o bezpieczeństwo własne i kochanki. Piętnasty markiz Templeston zostawił wprawdzie majątek jedynemu synowi i wiele spraw do załatwienia wiernemu przyjacielowi, ale poza tym nie zadbał o przyszłość i raczej nie pomyślał o rodzinie młodej śpiewaczki operowej.

Ramsey przeczesał włosy palcami i odwrócił się do Martina.

- A ta kobieta? Co o niej wiemy oprócz tego, jak ma na imię i czym się zajmuje?

- Nic. Irlandzkie władze stwierdziły, że nikt nie zgłosił się po ciało. Policjanci z Bow Street rozmawiali z jej koleżankami z opery, ale nie dowiedzieli się niczego, co pomogłoby w odnalezieniu krewnych.

- Zajmij się jej pogrzebem. Pochowamy ją razem z moim ojcem.

- W Londynie?

Andrew potrząsnął głową.

- Nie, w Swanslea.

- Ty jesteś teraz markizem i decyzja należy do ciebie, ale chowanie kochanki na terenie rodowej posiadłości dżentelmena wydaje się raczej nietypowym posunięciem. Na pewno tego chcesz?

Bell wyglądał na zaskoczonego wspaniałomyślnością Andrew Ramseya.

- Jeśli pogrzeb będzie skromny i cichy, jeśli weźmie w nim udział tylko rodzina i najbliżsi przyjaciele, nie sędzę, żeby ktokolwiek się oburzał, pod warunkiem, że pochowamy ją jednocześnie z markizem, a nie obok niego... Chyba że znajdziemy w papierach świadectwo ich ślubu.

Andrew umilkł, zauważywszy z ironią, że nawet teraz nie wyzbył się złudzeń co do ojca. Miał cichą nadzieję, że George Ramsey choć raz ugiął się przed konwenansami i w tajemnicy ożenił z Mary Claire.

Martin potrząsnął głową.

- Nie ma żadnego świadectwa, ale...

Ramsey wypuścił powietrze z płuc; nie zdawał sobie sprawy, że wstrzymuje oddech.

- W takim razie zrobimy, jak powiedziałem.

- Drew...

- Myślę, że przeznaczymy dla niej miejsce niedaleko mojego ojca i damy prosty nagrobek: imię, nazwisko, data urodzenia, oczywiście jeśli ją poznamy, i śmierci.

Był gotowy narazić się na potępienie i pochować kochankę ojca na rodzinnym cmentarzu, ale nie chciał, żeby Mary Claire leżała obok jego matki.

Wyjął zegarek z kieszeni kamizelki i otworzył dewizkę. Na kopercie nie było żadnej miniaturki ani dedykacji, nie rozległy się dźwięki pozytywki; samo tykanie ponaglało go do działania.

- Zajmiemy się testamentem, kiedy wrócę z Irlandii. Teraz nie mam na to czasu. Za niecałą godzinę muszę powiadomić Izbę Lordów o śmierci markiza Templeston i przejąć jego obowiązki, a jeszcze chcę się zastanowić, co powiem przyjacielom i kolegom ojca. Może przełożymy tę smutną sprawę na później?

- Chciałbym, Drew, ale powinieneś coś wiedzieć, zanim wydasz dyspozycje w kwestii pogrzebu w Swanslea Park. Coś ważnego.

Ramsey zmarszczył brwi

- Co takiego?

- W testamencie twojego ojca jest pewien kodycył. Było ich więcej niż jedna.

- Kogo?

Martin odchrząknął. Określenie „kochanka” nie chciało mu przejść przez gardło.

- Przyjaciółek.

- Na jachcie?!

- Nie, na łądzie.

Andrew odetchnął z ulgą. Już się przeraził, że nie wystarczy miejsca na rodzinnym cmentarzu.

- Ile?

- Pięć. Oprócz śpiewaczki operowej modystka z Brighton, aktorka z Paryża, krawcowa z Edynburga i pewna młoda kobieta, która mieszka w Northamptonshire.

Czoło Ramseya przecięła zmarszczka.

- Gdzie w Northamptonshire?

- We wdowim domku na terenie Swanslea Park.

- Trzymał kochankę w siedzibie rodowej mojej matki?

- Twoja matka nie żyje od czternastu lat. Została posiadłość mężowi. Mógł z nią zrobić, co uznał za stosowne.

- I uznał za stosowne umieścić tam... przyjaciółkę?

Drew chwycił kapelusz z wieszaka.

- Istnieją okoliczności łagodzące.

- Nic mnie to nie obchodzi. I bądź pewien, Marty, że jej dni w Swanslea Park są policzone.

- Nie, Drew. W testamencie jest wyraźnie powiedziane, że jako nowy markiz musisz zaopiekować się przyjaciółkami ojca i zostać prawnym opiekunem ich dzieci.

- Zadbam o nie. O wszystkie, ale żadnej nie oddam domku w Swanslea Park.

- Nic nie rozumiesz...

- Rozumiem aż za dobrze. Nierad proszę cię, stary druhu, żebyś zajął się eksmisją tej kobiety, bo

chętnie usunąłbym ją osobiście, ale zaraz po wystąpieniu w Izbie Lordów ruszam do Irlandii.

Bell potrząsnął głową.

- Nie mogę pojechać do Swanslea.

- Chcę, żeby się stamtąd wyniosła jak najszybciej.

- Rozumiem, Drew, ale moim obowiązkiem jest spełnić życzenie twojego ojca. Nie mogę pojechać jednocześnie do Swanslea i do Irlandii.

- Ja jadę do Irlandii. To mój obowiązek.

- Nie, mój. Ja mam sprowadzić jego ciało. - Podniósł rękę, uprzedzając protest Andrew. - Tak życzył sobie George.

Ramsey włożył kapelusz i sięgnął do klamki.

- W takim razie natychmiast po opuszczeniu Izby Lordów jadę do Swanslea. - Zatrzymał się w progu i posłał Bellowi niewesoły uśmiech. - Nie możemy dopuścić do tego, żeby jedna kochanka uczestniczyła w pogrzebie drugiej. Jeśli pozwolę tej kobiecie zostać na terenie posiadłości, plotkom nie będzie końca.

- Drew, nie możesz jej wyrzucić.

- Oczywiście, że mogę. Jestem nowym markizem Templeston i Swanslea Park należy do mnie. Kochanka mojego ojca musi poszukać sobie nowego protektora.



## 2

Niech Natura będzie twoim nauczycielern

William Wordsworth, 1770 1850

*Swanslea Park*  
Northamptonshire

- Tally-ho!

Słyszac odgłosy nagonki, Wren Stafford przyspieszyła kroku. Myśliwi zbliżali się do terenów parkowych otaczających wdowi domek. Głos rogu i ujadanie ogarów stawały się coraz donośniejsze.

- Doigrałaś się, Margo - mruknęła pod nosem, kucając przy ostatniej ulubionej kryjówce lisiczki. - Psy zwietrzyły twój zapach.

Zdjęła z ramion plecak, rozłożyła go na ziemi i sięgnęła do jamy.

- Nie możesz tu zostać. Twoja przytulna norka jest za płytka. Poszczują ogary, żeby cię wypłoszyły, a potem... - Wren na chwilę zamknęła oczy. - To nie jest zabawa. Chodź, Margo. Proszę. - Gmerając w jamie, opuszkami palców namacała wąsy. - Mam

w plecaku wędzone śledzie. Specjalnie dla ciebie. Musisz tylko wyjść...

Do jej głosu wkradła się nuta desperacji. Myśliwi byli tuż-tuż. Jeśli pupilka zaraz nie wyjdzie, w żaden sposób nie zdoła jej uratować.

- Chodź, Margo. - Głos jej się załamał. Przełknęła ślinę raz, drugi. - Bądź grzeczną dziewczynką. Chodź... - Poruszyła palcami. - Czujesz? Powąchaj. O, właśnie tak.

Omali nie krzyknęła z ulgi, kiedy młoda lisiczka polizała ją po ręce. Odsunęła się od wylotu nory i wyjęła z plecaka śledzia owiniętego w pergamin. Dręczyło ją sumienie, że to ona jest winna obecnej sytuacji. Kiedy pracowała, zwykle mieszkała we wdowim domku razem ze swoją menażerią, ale George poprosił ją, żeby w czasie jego nieobecności przenosiła się do rezydencji. Oczywiście się zgodziła. Gdy poprzedniego wieczoru skończyła pracę, zostawiła Margo śpiącą na kanapie w salonie, a wypuściła ją rano, po powrocie do domku. Nie przyszło jej do głowy, że myśliwi wkroczą na teren Swanslea.

W chwili gdy usłyszała róg i ogary, przypomniała sobie, że lisiczka buszuje na dworze, i natychmiast ruszyła na jej poszukiwanie. Całe szczęście, że akurat miała przy sobie lisi przysmak; rano zawróciła od drzwi i zgarnęła resztki śniadania ze stołu kuchennego.

Teraz odwinęła z papieru śledzia, położyła go na ziemi i przyciągnęła do siebie plecak. Margo zaczęła węszyć. Gdy rzuciła się na zdobycz, Wren błyskawicznym ruchem chwyciła za skórzaną obrożę

ukrytą w miękkim rudym futerku i ostrożnie wsadziła lisiczkę do plecaka. Zapięta go i puściła się biegiem parkową ścieżką.

Pola i łąsy otaczające Swanslea Park stanowiły doskonałe tereny łowieckie, ale ze względu na Wren George poprosił łowczego, żeby nie polowano na jego ziemiach. Myśliwi dotrzymywali umowy przez trzy lata, które spędziła we wdowim domku, ale już trzy dni po tym, jak markiz Templeston utonął u wybrzeży Irlandii, przekroczyli granice jego posiadłości.

Odgłosy nagonki nie tylko przeszkodziły Wren w pracy, ale zaniepokoiły jej podopiecznych i zagroziły życiu ulubienicy. Obejrzała się przez ramię i zobaczyła pierwsze psy. Choć cieszyła się dobrym zdrowiem, wiedziała, że nie da rady schronić się w domu, zwłaszcza że niosła Margo. Lecz przy odrobinie szczęścia mogła dobiec do starego angielskiego dębu rosnącego na końcu podjazdu.

Wjechawszy na podjazd, Andrew Ramsey stwierdził, że na terenie parku należącego do Swanslea w najlepsze trwa polowanie. Stary dąb rosnący na końcu alejki, która prowadziła do wdowiego domku, otaczało z pięćdziesiąt psów. Grube konary zwieszały się tak nisko, że można było wspiąć się po nich jak po drabinie. Ogary próbowały wskoczyć na najniższą gałąź, pazurami drapały pień i ujadały wściekle, jakby zwęszyły zdobycz. "Widać jakiś lis uciekł przed nimi na drzewo.

Andrew od dawna nie odwiedzał domu rodzinnego, ale pamiętał, jak przed kilkoma laty ojciec

wspomniał, że poprosił przewodniczącego koła łowieckiego Trevingshire o zmianę trasy polowania ze względu na prace prowadzone na terenie Swanslea Park. Myśliwy najwyraźniej odmówił albo uznał, że prośba umarła wraz z człowiekiem.

Markiz i markiza Templeston jeździli na polowania z kołem Trevingshire, a kiedy syn skończył jedenaście lat, zabrali go parę razy ze sobą, lecz Drew nigdy nie polubił tego sportu. Kochał konie i uwielbiał jazdę wierzchem, ale nie bawił go widok sfory ogarów rozszarpujących jednego zaszczutego lisa.

Tłumy myśliwych uganiających się za zwierzyną po całej posiadłości były prawdziwym utrapieniem. Poza tym Andrew stracił cały szacunek dla ludzi, którzy zlekceważyli życzenie właściciela Swanslea Park i już trzy dni po śmierci markiza wkroczyli na jego ziemie, nie przejmując się żałobą. Ale teraz przybył nowy gospodarz i członkowie koła łowieckiego Trevingshire będą musieli poszukać sobie innych terenów.

Nagle Ramsey zobaczył, że w stronę dębu galopuje na złamanie karku dwudziestu paru jeźdźców. Popędził konia. Miał nadzieję, że dotrze do celu przed nimi, ale się przeliczył. Kilku myśliwych już stało pod drzewem i patrzyło w górę.

- Przestań się wiercić, Margo! A wy się uciszcie, głupie psiska! Wracajcie do domu! Zostawcie nas w spokoju!

Spomiędzy gałęzi dobiegał niski kobiecy głos, pełen irytacji. Na jego dźwięk po plecach Andrew przebiegł dreszcz.

- Niezły widok, co? - skomentował jeden z mężczyzn, trącając drugiego końcem szpicruty.

Jego towarzysz parsknął śmiechem.

- Najlepsza zdobycz, jaką ta sfora dopadła od wieków.

- Zabierzcie te psy! - krzyknęła z gniewem kobieta. - I odjedźcie! Wkroczyliście na cudzy teren.

Pierwszy mężczyzna się roześmiał.

- To samo możemy powiedzieć o tobie, ślicznotko.

- Ja tu mieszkam. I przypadkiem wiem, że markiz nie pozwalał polować w Swanslea Park.

- Otóż jesteś w błędzie, skarbie. Te konie, ogary i jeźdźcy oznaczają, że łowy w Swanslea Park trwają w najlepsze, ale oczywiście to tylko nasza opinia.

- Poza tym markiz Templeston nie żyje - stwierdził drugi mężczyzna.

- Poprzedni markiz - odezwał się Drew, podjeżdżając blisko, żeby było go słychać przez ujadanie psów. - Nowy żyje.

Myśliwi odwrócili się jednocześnie. Jeden z nich go rozpoznał.

- Ramsey! - zawołał i w tym momencie dostrzegł czarną opaskę. - To znaczy Templeston. Ja jestem Harris. Pamiętasz? - Wskazał głową na towarzysza.

- Dormand i ja byliśmy z tobą i twoim przyjacielem w Eton i Cambridge. Jak się miewa St Jacques? Nie widziałem go od lat. Odkąd Napoleona skazano za zesłanie.

- Julian został ranny pod Waterloo - odparł Andrew.

- Już sobie przypominam. Słyszałem, że zdoby-

łeś medal za uratowanie go od śmierci na polu bitwy. Musisz się nim kiedyś pochwalić. A swoją drogą St Jacques zawsze był szczęściarzem.

- Tym razem szczęście go opuściło. Nie wyleczył się z ran.

- Nie pamiętam, żebym o tym słyszał albo czytał w gazetach - powiedział Harris.

- Nic dziwnego - rzucił Ramsey z nutą goryczy w głosie. - Wojna skończyła się dawno temu, a Julian ma pecha, że umieranie zajmuje mu tak dużo czasu. Niegdyś silny, dumny i przystojny młody żołnierz raczej by nie chciał, żeby jego szkolni koledzy i przyjaciele wyczytali w porannej gazecie, że stracił zdrowie w wyniku ran odniesionych w bitwie. Jego agonia nie będzie szybka ani chwalebna; jest brzydka, bolesna i trwa już cztery lata.

- W przeciwieństwie do śmierci twojego ojca, co? - wtrącił Dormand. - To dopiero sposób na odejście. Na jachcie, w czasie sztormu, w towarzystwie jednej z kurtyzan.

Gdy spośród gałęzi dobiegło głośne sapnięcie, myśliwy uśmiechnął się szeroko.

- A skoro już mowa o kochankach twojego ojca, zdaje się, że jedną zapędziliśmy na drzewo.

- Goniliśmy za lisem, ale zgodzimy się na inną zdobycz, co, stary? - powiedział Harris.

Ramsey spojrzął w górę. Gęste listowie zasłaniało górną połowę ciała i twarz kobiety, ale wystarczyło mu to, co zobaczył.

Nieznajoma nosiła żałobę, lecz czarna spódnica zadarła się, ukazując smukłe łydki i koronkowy rą-

bek halki. Widok kształtnych kończyn był niezwykle prowokujący, zwłaszcza że czarne jedwabne pończochy zdobił wokół kostki ręcznie malowany wzór w postaci jaskrawozielonych pędów winorośli i drobnych czerwonych kwiatków.

Minęło sporo czasu, odkąd Drew miał okazję podziwiać tak zgrabne nogi, w dodatku mające tuż nad jego głową, ale w przeciwieństwie do durniów z koła łowieckiego od razu poznał, że kobieta, którą zapędzili na drzewo, nie jest służącą. Nieraz zdarzyło mu się oglądać bieliznę ładnych pokojówek, ale żadna jej część nie była wykonana z jedwabiu obszytego koronką, nie mówiąc o artystycznym wykończeniu.

W końcu doszedł do wniosku, że jeśli reszta dorównuje tym nogom, jego ojciec zdecydowanie zasłużył na reputację znawcy pięknych kobiet. Albowiem ofiara nagonki nie mogła być nikim innym jak kochanką markiza Templeston. A Drew przyjechał do Swanslea Park, żeby usunąć ją z posiadłości.

- Chyba czas odwołać psy i pozwolić damie... - Ramsey lekko podkreślił ostatnie słowo - zejść z drzewa. Pora również okazać trochę szacunku zmarłemu.  
- Spiorunował wzrokiem głównego łowczego, który dołączył do grupy jeźdźców zgromadzonych pod dębem. - Piętnastego markiza Templeston już nie ma wśród nas, ale wydany przez niego zakaz polowania na terenie Swanslea Park nadal obowiązuje.

Natychmiast rozległy się protesty.

- A co z lisem? - zawołał ktoś.

- Jakim lisem?

- Tym na drzewie - odparł przewodniczący koła, patrząc hardo na nowego markiza. - To najlepsze ogary w całej Anglii. Nigdy się nie mylą.

- Ja widzę tylko kobietę - stwierdził Ramsey.

- Właściwie jesteśmy tu obie - dobiegł z góry cichy głos.

- Co? - Drew spojrzał między gałęzie. - Gdzie?

- W plecaku.

- Ma pani lisa w plecaku?

Zdawał sobie sprawę, że na jego twarzy maluje się idiotyczny wyraz, ale był kompletnie zaskoczony.

- Nie mogłam pozwolić, żeby ją dopadli. - Ton nieznanym zdradzał, że żywi ona pogardę dla myśliwych. - Jest oswojona. Wychowałam ją od maleńkości.

Ramsey odwrócił się do łowczego.

- Słyszał pan, co powiedziała dama. Musi pan poszukać innego biednego zwierzaka.

- Nie można trzymać lisów w domu - oburzył się jeden z jeźdźców. - To szkodniki.

- Mogę hodować, co tylko zechcę, nawet szkodniki, póki pilnuję, żeby nie opuszczały moich ziem - odparował Andrew. - Właśnie ze względu na tego oswojonego lisa mój ojciec zakazał polowań na terenie Swanslea Park. A teraz będę wdzięczny paniom i panom, jeśli uszanujecie wolę nieżyjącego markiza. Gdzie indziej dokonujecie rzezi. Żegnaj i życzę miłego dnia. - Gdy myśliwi odjechali, zadął głowę i powiedział: - Może już pani zejść. Lis jest bezpieczny.

Kobieta nadal siedziała na drzewie.



Ramsey zsiadł z konia, oparł się o pień drzewa i zaczął niecierpliwie bębnić palcami po korze.

- Potrzebuje pani pomocy? Mam po panią wejść?

Wren upewniła się, że plecak jest dobrze zamknięty i że Margo nie ucieknie, po czym opuściła bezpieczne schronienie i zwinnie zeskoczyła na ziemię.

- Nie. Chodzi o to, że...

Drew gwałtownie wypuścił powietrze z płuc.

- Kathryn.

### 3

Nie mam odwagi zostać  
Ani rozsądku, żeby odejść.

Samuel Butler, 1612-1680

Andrew odruchowo zrobił krok w jej stronę. Była w każdym calu tak piękna, jak ją zapamiętał, i sam jej widok, po tylu latach, sprawił, że serce mu się ścisnęło, a w głowie zakręciło. Stwierdziwszy, że Kathryn nadal ma moc zadawania mu bólu, cofnął się na bezpieczną odległość.

- Cześć, Drew.

„Cześć, Drew.” Jego wysiłek, żeby odzyskać panowanie nad sobą, poszedł na marne. Te dwa zwyczajne słowa, wypowiedziane lekko zachrypniętym głosem, obudziły w nim mieszane uczucia. Kiedyś, dawno temu marzył o ponownym spotkaniu. Brnąc w błocie, wspominał jej twarz i dźwięczny śmiech. Marzył, że ją ujrzy, a ona otworzy ramiona i wyszepta jego imię tonem, który zawsze kojarzył mu się z ciepłem bijącym od kominka. Leżał na pryczy i patrzył na sufit namiotu, rozpamiętywał każdy jej rys, starając się nie zwracać uwagi na jęki rannych i umie-

rających. Teraz stwierdził, że tamte obrazy nie oddawały w pełni urody Kathryn. Dla niego zawsze była Kathryn. Nigdy Wren. Nie lubił pieszczotliwego imienia, które nadał jej ojciec, i nie rozumiał, jak mężczyzna słynący ze zmysłu obserwacji mógł porównać swoją śliczną córkę do pospolitego strzyżyka. A przez lata, gdy jej nie widział, jeszcze wypiękniała. Już zapomniał, że można utonąć w jej szarozielonych oczach. Omal mu się to kiedyś nie przytrafiło. Musi uważać, żeby więcej nie powtórzyć tamtego błędu.

Otrząsnął się ze wspomnień.

- Jesteś ostatnią osobą, którą spodziewałem się zobaczyć w Swanslea. Proszę mi powiedzieć, pan Markinson, czemu zawdzięczam ten zaszczyt?

- Stafford - sprostowała Wren.

- Słucham?

- Nazywam się Stafford. Wyszłam za męża. Na policzku Ramseya zaczął drgać mięsień.

- Naprawdę? Kiedy?

Kathryn wytrzymała jego spojrzenie.

- Cztery lata temu.

Andrew zagwizdał z udawanym podziwem.

- To dopiero musi być mężczyzna, skoro udało mu się zaciągnąć cię do kościoła o wyznaczonej godzinie i nakłonić do złożenia przysięgi. Widać bardzo go poważasz, skoro nie zrobiłaś mu wstydu przy rodzinie, przyjaciółach i całej londyńskiej śmietance. Przypuszczam, że nie kazałaś mu na próżno czekać cały ranek.

- Nasz ślub był inny...

-Jaki?

Wren zmarszczyła brwi.

- Cichy i skromny. - Przyjrzała się twarzy Drew, szukając najmniejszych oznak zrozumienia. - Uznaliśmy, że tak będzie najlepiej, skoro ja...

-Już zostawiłaś jednego narzeczonego przy ołtarzu?

- Drew, ja...

- Więc gdzie jest człowiek, który usidlił Kathryn Markinson? Gdzie ten idealny mąż? - Rozejrzała się.  
- Muszę mu pogratulować.

Jego sarkazm ranił jak nóż. Wren wiedziała, że Drew będzie zły i urażony, ale nie spodziewała się rozgoryczenia. Andrew Ramsey, którego znała i kochała, nie był zdolny do użalania się nad sobą. Szybko zamrugła powiekami, wstrzymując łzy, które napłynęły jej do oczu.

- Umarł. Trzy lata temu.

- Czyniąc cię zbolełą wdową.

Nie mogła znieść pogardy w jego oczach i cynicznych uwag. Najchętniej odwróciłaby się i uciekła, ale drogę zagrażał jej pień rozłożystego dębu. Poza tym Drew mówił do niej Kathryn.

Jak wtedy, gdy się poznali. Dla niego zawsze była Kathryn Czarodziejką, nigdy Wren. Strzyżyki są nudne, pospolite, zwyczajne, twierdził, natomiast ona rzuciła na niego urok, tak że mógł myśleć tylko o niej.

Lecz żaden czar nie działa wiecznie, a jej najwyraźniej stracił moc, gdy nie zjawiła się na ich ślubie. Rozumiała gniew Andrew, ale to współczucie nie zmniejszyło jej bólu i pragnienia ucieczki. Niestety nie mogła zrobić nic innego, jak zostać i walczyć. Krew dudniła jej w uszach, kolana odmawiały po-

słuszeństwa. Szykując się na kolejny atak, przywarła plecami do drzewa i mocniej ścisnęła plecak. Słyszając protest Margo, natychmiast rozluźniła uścisk i pogłaskała lisiczkę przez brezent. Wyraźnie czuła kojący rytm jej serca.

- Tak, byłam zrozpaczoną wdową.

Ramsey prychnął z pogardą.

- Jak długo się smuciłaś, Kathryn? Niemożliwe, żebyś знаła go długo przed ślubem. Byłaś zaręczona ze mną. O ile pamiętam, okres naszego narzeczeństwa spędziłaś głównie w moim towarzystwie. Wybacz więc, ale wątpię, czy długo rozpaczałaś. Chciałbym to wiedzieć. - Nachylił się ku niej. - Ile dni, tygodni albo miesięcy po śmierci męża zrzuciłaś z siebie brzemię wdowieństwa i wskoczyłaś do łóżka mojego ojca?

Głośne kłaśnięcie zaskoczyło ich oboje. Wren spojrzała na swoje ręce, jakby nigdy wcześniej ich nie widziała. Nie pamiętała, żeby uderzyła Drew w twarz, ale dłoń ją piekła, a na jego lewym policzku widać było wyraźny, powoli czerwieniejący ślad.

- Jak mogłeś pomyśleć...

Przycisnęła rękę do ust, żeby powstrzymać potok słów.

Andrew dotknął policzka.

- A co miałem sobie pomyśleć? Mieszkasz we wdowim domku, na terenie posiadłości, którą moja matka dostała w posagu. Zawsze uważaliśmy Swanslea za nasze gniazdo rodzinne. Fakt, że mój ojciec umieścił cię w domu, który należał do jego uwielbianej żony, oznacza, że masz znacznie wyższy status niż jego inne kochanki.

- To znaczy, że George był wspaniałomyślnym człowiekiem, który bliskiej przyjaciółce rodziny zapewnił dach nad głową i utrzymanie - wyjaśniła Wren.

- Przestałaś być przyjaciółką rodziny, kiedy każałaś mi na próżno czekać przy ołtarzu - odparował Drew.

Kathryn nie wiedziała, jak przebić się przez mur, który wznosił wokół siebie, ani jak dotrzeć do pokładów współczucia, które na pewno w sobie miał. Nie była zresztą pewna, czy na nie zasłużyła, po tym, jak go spoliczkowała, ale uznała, że musi przynajmniej spróbować.

- Może tak naprawdę zostałam nią wtedy, gdy nie pojawiłam się w kościele - stwierdziła tajemniczo. - W każdym razie nie miałam dokąd pójść i do kogo zwrócić się o pomoc, kiedy umarł mój mąż.

- Co za ironia losu! - Ramsey pokręcił głową. - Zwłaszcza po tym, jak rzuciłaś mężczyznę, który otoczyłby cię opieką do końca życia. A twój ojciec? Dlaczego nie zaproponował ci, żebyś do niego się przeniosła?

Wren westchnęła.

- Zaproponował. Mieszkał wtedy we wdowim domku i prowadził swoje badania przyrodnicze. Finansował je George.

- A co ze stanowiskiem w Queens College?

- Tata z niego zrezygnował, żeby tu przyjechać, bo w Queens nie było dla mnie miejsca. Gdy umarł, George poprosił mnie, żebym została w Swanslea i dokończyła pracę rozpoczętą przez mojego ojca. W rezultacie stał się moim opiekunem i dobroczyńcą.

Drew skrzywił usta ironicznym uśmiechem.

- Więc z nim zamieszkałaś.

Kathryn znowu wydała z siebie westchnienie.

- Tak naprawdę George rzadko tu bywał, a kiedy już odwiedzał Swanslea, zajmował swoje pokoje w rezydencji. Przyjeżdżał na Boże Narodzenie i zostawał do Wielkanocy. Na pewno wiesz, że odkąd umarła twoja matka, nigdzie nie zatrzymywał się dłużej. Ja natomiast mieszkam we wdowim domku.

- To nieistotny szczegół, zważywszy na reputację mojego ojca oraz fakt, że domek leży o rzut kamieniem od głównego budynku.

- Dużo mi z tego dzisiaj przyszło! - zirytowała się Wren. - Powinnam czuć się bezpieczna, a tu gromada myśliwych wjeżdża na teren Swanslea, goni za moim lisem i zmusza mnie do ucieczki na drzewo. - Wzruszyła ramionami. - Zauważyłeś kogoś ze służby? Widziałeś, żeby ktoś przybiegł mi na pomoc?

- Ja ci pomogłem.

Był wyraźnie urażony i w tym momencie tak podobny do Andrew, którego kiedyś znała, że jej serce zabiło mocniej.

- Wiem. Dziękuję, że uratowałaś Margo życie. Nie jestem w stanie odwdziżyć ci się za to, co zrobiłaś, ale...

- Przychodzi mi na myśl kilka sposobów. Choćaby odpowiedź na moje pytanie.

- Nie mogę na nie odpowiedzieć. Nie umiem ci wyjaśnić, dlaczego George zaproponował mi mieszkanie.

Na twarzy Ramsey'a znowu pojawił się nieprzejednany wyraz, a z jego oczu zniknął blask.

- Nie możesz czy nie chcesz?

- Nie potrafię. - Błagała go wzrokiem, żeby zrozumiał. - Ale tego właśnie chciał George.

Drew przesunął spojrzeniem po jej ciele.

- Z pewnością.

Wren oblała się rumieńcem, ale postanowiła z godnością znieść kolejną insynuację.

- Mam dzisiaj dużo pracy - oświadczyła spokojnie, a otwierając plecak, dodała: - Poza tym Margo już się niecierpliwi.

Mały rudy lisek z niebieską obrózką na szyi wystawił łepkę z plecaka, rozejrzał się czujnie, po czym zwinnie skoczył na białą żwirowaną ścieżkę i pobiegł w stronę wdowiego domku. Kathryn spojrzała na Drew.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, pójde w ślady Margo i cię opuszczę.

- Wprost przeciwnie. - Uśmiechnął się nieprzyjemnie. - Prawdę mówiąc, przyjechałem do Swanslea, żeby usunąć cię z mojej posiadłości. Najlepiej jeszcze przed pogrzebem.

Wren zatrzymała się w pół kroku i odwróciła tak gwałtownie, że czarna muslinowa spódnica zawirowała, odsłaniając kostki i delikatne czerwone kwiatki namalowane na pończochach.

- Chyba cię źle zrozumiałam.

- Dobrze mnie rozumiałaś. Zamierzam cię stąd wyrzucić.

- Nie możesz!

- Owszem, mogę.

- George nigdy...



- Mój ojciec nie żyje. Ja jestem teraz markizem Templeston, a Swanslea jest moim domem. Nie widzę powodu, żeby mieszkała tu cudza kochanka.

W wielkich szarozielonych oczach wezbrały łzy i mimo wysiłek Wren, żeby je powstrzymać, spłynęły po policzkach, zostawiając na nich dwa identyczne ślady. Drew postanowił być twardy. Wiedział, że Kathryn prędzej czy później ucieknie się do płaczu, odwiecznej broni kobiet. Niestety widok jej łez już nie robił na nim wrażenia.

- Kiedyś sam mnie wybrałeś - powiedziała cicho.

- To było dawno temu. I wybrałem cię na żonę, a nie na kochankę. - Umilkł na chwilę. - Lecz ty wolałaś innego. Proponuję więc, żebyś zaczęła się pakować. Chcę, żebyś opuściła Swanslea, zanim ciało mojego ojca zostanie przywiezione z Irlandii.

- Nie.

- Nie jesteś w stanie sprzeciwić się mojej woli, Kathryn.

- Mogę i zamierzam to zrobić. Jesteś teraz markizem Templeston, człowiekiem bogatym i wpływowym, ale nawet ty nie zabronisz mi wzięcia udziału w pogrzebie George'a Ramseya. Poza tym muszę wypełnić swoje zobowiązania... - Urwała w pół zdania, dostrzegłszy osłupienie malujące się na twarzy Drew; widać do tej pory nikt nie ośmielił się mu przeciwstawić. Po chwili milczenia wzięła głęboki oddech i oznajmiła: - Nie masz nade mną władzy.

Nie czekając na jego reakcję, odwróciła się na pięcie i ruszyła alejką prowadzącą do wdowiego domku.

## 4

Oto bolesny cios.

Thomas Middleton, 1580-1627

Wren stanęła w progu i odetchnęła z ulgą. Margot pierwsza wpadła do domku i powarkiwaniem przywitała innych mieszkańców. Odpowiedziały jej piski, szczekanie i ćwierkanie. Znajome odgłosy oraz zapach farb podziały na Kathryn uspokajająco po niedawnym zamieszaniu, wywołanym przez myśliwych i nowego markiza Templeston.

Niestety spokój nie trwał długo, bo nagle w drzwiach pojawił się Drew.

- Jeszcze nie skończyliśmy. Co miałaś na myśli, gdy... Co to jest, u licha?

Wygląd oszczędnie umeblowanego pokoju o kremowych ścianach, zalanego światłem słonecznym wpadającym przez wysokie, nieosłonięte okna, kompletnie zaskoczył Ramseya. Kiedy ostatnio - czyli przed siedmiu lub ośmiu laty - złożył wizytę matce swojego ojca, która tu wtedy mieszkała, w zagraconym salonie panował półmrok i zaduch. W oknach wisiały grube story z aksamitu w kolo-

rze burgunda, na ścianach wielkie gobeliny i cenne olejne obrazy w złożonych ramach. Każdy skrawek wolnego miejsca zajmowały ciężkie mahoniowe meble z okresu Tudorów; większość z nich stanowiła posag starszej pani. Drew lubił babkę, ale nie znosił odwiedzin we wdowim domku, który cuchnął kurzem, pleśnią i rozkładem. Zawsze starał się wyciągnąć starszą damę do ogrodu.

Teraz Kathryn urządziła ogród w środku. Rozświetlone wnętrze, które z dawnym nie miało nic wspólnego, było pełne sztalug, płócien, słoików z pędzlami, farb, pojemników z tuszem i pudełek z węglem rysowniczym. Tętniło życiem. W dużych donicach rosły paprocie i inne rośliny, na drewnianej półce drzemała sowa, w słomkowym kapeluszu leżącym na regale z książkami, który zajmował jedną ze ścian, siedziała ruda wiewiórka. Niegdyś regał stał ukryty za koszmarnym gobelinem przedstawiającym plagi egipskie. Na stole, obok słoika z pędzlami, spał na poduszce malutki jeź, a lisiczka Margo schowała się pod stolikiem do kawy. Jedyny dysonans do tego pokoju wprowadzały gąbki z zasuszonymi motylami i ćmami oraz wypchane ptaszki i wydra stojąca na pniaku obok kominka.

- To moje mieszkanie i zarazem pracownia - powiedziała Kathryn. - A to moi podopieczni. - Wskazując na zwierzęta, mówiła i zachowywała się jak królowa. - Kończę dzieło, które rozpoczął ojciec: *Brytyjska flora i fauna*.

Drew podszedł do najbliższych sztalug i zobaczył sowę siedzącą na gałęzi. Omal jej nie dotknął,

by się upewnić, że to naprawdę tylko malunek. Ptak wyglądał jak żywy, a sama akwarela była niemal dziełem sztuki.

- To praca twojego ojca?

Gdy Wren przecząco pokręciła głową, Andrew szerzej otworzył oczy ze zdumienia. Dobrze znał rysunki i obrazy sir Wesleya Markinsona, sławnego i szanowanego przyrodnika, a jednocześnie doskonałego artysty. Dziesiątki ich zdobiło ściany londyńskiej rezydencji markiza Templeston.

- Nie wiedziałem, że masz taki talent.

- Ja też nie, póki zdrowie taty nie zaczęło szwankować. - Dostrzegłszy sceptyczny wyraz na twarzy Drew, wzruszyła ramionami. - Och, umiałam malować. Wiele dziewcząt to potrafi. Malowanie akwarelami jest częścią edukacji szlachetnie urodzonych kobiet, podobnie jak robótki ręczne, gra na fortepianie i układanie kwiatów, ale wieloletnia nauka jeszcze nie czyni nas artystkami.

Ramsey skinieniem głowy wskazał na obraz.

- To owszem.

Wren się uśmiechnęła.

- Desperacja bywa najlepszym nauczycielem.

- Nie rozumiem.

- Gdy tu przyjechałam, ojciec zachorował. Ręce tak mu drżały, że nie mógł utrzymać pędzla ani ołówka. W dodatku coraz gorzej widział. Ale jeszcze kiedy czuł się dobrze, przyjął zamówienie Muzeum Brytyjskiego na akwarele przedstawiające zwierzęta i ptaki w ich naturalnym otoczeniu. Oprócz tego przyrzekł sobie, że skończy dzieło

swojego życia, i nie chciał nawet słyszeć o rezygnacji z ambitnych planów. Tak więc robił wszystko dwa razy. Kolorowe ilustracje i anatomiczne rysunki, które wykonywał do swojej książki, odtwarzał na płótnie dla muzeum. Nazywał je swoją osobistą arką Noego. Ja stałam się jego ręką i oczami. Nauczył mnie wszystkiego, co wiedział o przyrodzie i jej malowaniu.

- Tego również? - spytał Drew, pokazując na wydre, zbiór motyli i wypchane ptaki umieszczone w szklanych gablotkach.

Kathryn lekko wzruszyła ramionami.

- Nie. Żywe zwierzęta przyniósł mi gajowy twojego ojca, pan Isley. - Umilkła na chwilę. - Wprawdzie korzystałam z okazów motyli i *Fringilla coelebs*, ale nie ja je upolowałam i zasuszyłam. To część kolekcji, którą odziedziczyłam po Bertrandzie.

- Bertrandzie? - Imię było znajome. - Staffordzie?

- Tak. Po Bertrandzie Staffordzie. Moim mężu.

- Twoim mężu? - Drew popatrzył na nią z niedowierzaniem. - Wyszłaś za Bertranda Stafforda? Na Boga, Kathryn! On miał chyba ze sto lat!

- Sześćdziesiąt siedem. - Wren poczuła się w obowiązku stanąć w obronie mężczyzny, którego poślubiła.

- Przysięgłbym, że ponad dziewięćdziesiąt.

- Nie.

- Ale na tyle wyglądał. - Ramseyowi zakręciło się w głowie na myśl, że Kathryn Markinson zostawiła go przed ołtarzem, żeby wyjść za jednego z kolegów swojego ojca. Chudego, zasuszonego, po-

marszczonego i przygarbionego staruszka o kaprawych oczach, który mógłby być jej dziadkiem. I, tak się złożyło, najszynniejszego w Anglii profesora zoologii i entomologii. - Co, u licha, cię opętało, że rzuciłaś mnie dla Bertranda Stafforda?

- Nie rzuciłam cię dla niego - powiedziała Wren zduszonym głosem, walcząc z łzami.

- Doprawdy? - spytał Drew sarkastycznym tonem. - A jak nazwać to, co mi zrobiłaś? O dziesiątej rano na próżno czekałem na ciebie w kościele świętego Pawła. Gdzie wtedy byłaś? Preparowałaś z Bertrandem motyle? Studiowałaś anatomię wydry? Bo chyba nie mężczyzny. Nie szanownego pana profesora, skoro mogłaś badać moją. Więc co porabiałaś, kiedy ja czekałem przy ołtarzu? Co okazało się tak ważne, że zapomniałaś o naszym ślubie?

- Zostaw moją mamę!

## 5

Każdy człowiek ma dobrego anioła i złego anioła\*.  
Którzy tylko nim się zajmują przez całe życie.

Robert Burton, 1577-1640

Drew nie zdawał sobie sprawy, że krzyczy, póki od drzwi nie dobiegł go zagniewany dziecięcy głosik. Odwrócił się i zobaczył, że do pokoju wpada jasnowłosy malec i pędzi w jego stronę.

- Mama? - Przeniósł wzrok z chłopca na Kathryn i poczuł się tak, jakby wbito mu nóż w serce. - Jesteś matką? Masz dziecko?

Wren aż się skuliła pod jego oskarżycielskim spojrzeniem.

- Nie krzycz na moją mamę!

- Co... Auu! Ugryzł mnie! - Andrew podskoczył jak oparzony i huknął na Kathryn: - Nie stój tak! Przywołaj go do porządku, skoro jesteś jego matką!

- Przestań, Kit. - Wren schyliła się, odciągnęła synka od nogi gościa, po czym wzięła go na ręce i spojrzała mu prosto w oczy. - Co mówiłam ci o gryzieniu?

- Że gryzą tylko niegrzeczni chłopcy.

- A ty jesteś niegrzeczny?

- Nie.

- Więc już nigdy więcej tego nie zrobisz. Rozumiesz?

Syn z powagą skinął głową.

- Tak, mamusiu.

- A teraz pokaż, że jesteś dobrym chłopcem, i przeproś Drew.

- Nie.

- Kit... - Ton Kathryn nie pozostawiał żadnych wątpliwości co do tego, że jest niezadowolona.

Malec dotknął jej mokrych policzków, a następnie pokazał palcem na obcego mężczyznę.

- On był niedobry. Zrobił ci krzywdę.

- Nie, kochanie - powiedziała łagodnie Wren. - Andrew nie jest złym człowiekiem i nie zrobił mi krzywdy, tylko mnie zasmucił.

- Paniczu Kit! - Pulchna kobieta, kilka lat starsza od Kathryn, oparła się o framugę drzwi, łapiąc powietrze. - Och, tak mi przykro, pani Stafford. Akurat szliśmy przez ogród, gdy usłyszeliśmy krzyki. - Przycisnęła dłoń do piersi. - Próbowałam go złapać, ale prześliznęła się przez żywopłot i popędził pani na ratunek. Przepraszam, że go nie upilnowałam, ale musiałam nadłożyć drogi, żeby obejść krzewy...

- Wszystko w porządku, Ally. Nic się nie stało.

- Wszystko w porządku? - oburzył się Drew. - Nic się nie stało? A co ze śladami zębów na mojej nodze? Ten mały gałgan mnie ugryzł.

- Panno Allerton, przedstawiam pani lorda Andrew Ramseya, szesnastego markiza Templeston.



Lordzie Templeston, oto panna Harriet Allerton, młodsza córka wicehrabiego Rushfielda i guwernantka Kita.

Wren skutecznie odwróciła uwagę poszkodowanego od winowajcy. Nowy markiz ukłonił się dwornie, jak przystało na dżentelmena, i powiedział z uśmiechem:

- Miło mi panią poznać, panno Allerton.

- Mnie również, sir.

- Przykro mi, że przeze mnie podopieczny uciekł spod pani skrzydeł. - Drew mówił do guwernantki, ale w rzeczywistości jego słowa były skierowane do Kathryn. - Nie zdawałem sobie sprawy z tego, że krzyczę.

- Wybaczamy ci obie - rzuciła krótko Wren i zwróciła się do opiekunki: - Dziękuję, Ally. Przyprowadzę Kita na obiad. - Zaczekała, aż kobieta wyjdzie z pokoju, a następnie spojrzała na synka. - Teraz twoja kolej. Przepróż brata za to, że go ugryzłeś.

- Brata? - powtórzyli jednocześnie Drew i Kit.

- Tak. Lordzie Ramsey, przedstawiam panu brata, pana Christophera George'a Ramseya - Zmierzyła jasne loki malca. - Znanego wszystkim jako Kit.

Drew chciał zaprotestować, wyprzeć się pokrewieństwa, ale nie mógł nie zauważyć, że chłopiec wygląda dokładnie tak samo jak on w jego wieku. Miał wrażenie, jakby patrzył na swój portret z dzieciństwa. Kit zdecydowanie był Ramseyem, co oznaczało, że jest synem George'a.

Sam wiedział bez najmniejszych wątpliwości, że nie on go spłodził. Chyba że... Nie, zdecydowanie potrząsnął głową. Od powrotu z Europy utrzymy-

wał intymne kontakty z paroma kobietami, ale z całą pewnością żadna z nich nie uczyniła go ojcem. Jego kochanki były osobami raczej wyrachowanymi i nie omieszkałyby pokazać mu bękarta. Albo przedstawiłyby wnuka markizowi Templeston i od niego zażądały pieniędzy.

Najbardziej jednak interesowała go matka Kita. Zmierzył ją wzrokiem, domagając się potwierdzenia swych podejrzeń.

- Więc on jest...

Wren uniosła podbródek i spojrzała mu prosto w oczy.

- Twoim dziedzicem.

- Na litość boską, Kathryn! To nie pora na grę w słówka. Dobrze wiesz, o co pytam. Nie jestem głupcem ani ślepcem. Dostrzegam rodzinne podobieństwo. I chętnie uznam Kita za swojego dziedzica, uprawnionego do tytułu, majątku i mojej opieki. Nie wątpię, że łączą nas więzy krwi. Zastanawiam się tylko, czy jest moim przyrodnim bratem czy synem.

- Bratem. Jego ojcem był George.

- Skąd ta pewność?

- Jestem matką Kita.

Drew spojrzał na chłopca, który zerkał na niego ciekawie z bezpiecznych matczynych objęć, i poczuł silne ukłucie w sercu. Powinien być mój. Przez chwilę wpatrywał się w Kathryn, błagając ją w milczeniu, żeby cofnęła swoje słowa, żeby przyznała się do kłamstwa. Bo gdy wypełniał swój obowiązek, walcząc z Napoleonem, jego była narzeczona wyszła za Bertranda Stafforda. A kiedy po zwycięstwie pod

Waterloo przez wiele miesięcy pielęgnował ciężko rannego towarzysza z dzieciństwa i najbliższego przyjaciela, ona pochowała starego męża i została kochanką markiza Templeston. Gdy zaś wrócił z Julianem do Anglii, Kathryn urodziła Christophera George'a Ramseya.

- Bez wahania uwierzyłeś, że byłam kochanką George'a - zauważyła Wren, dostrzegłszy powątpiewanie w jego oczach. - Dlaczego nie wierzysz, że Kit jest moim synem?

Bo póki go nie zobaczyłem i nie usłyszałem, jak woła „mamo”, mogłem sądzić, że się co do ciebie pomyliłem. Bo chciałem, żebyś mnie przekonała, że nie byłaś jedną z kochanek mojego ojca. Bo choć wiem, że to prawda, nie potrafię znieść myśli, że leżałaś naga w jego ramionach. Bo powinnaś leżeć naga w moich ramionach. Bo ja powinienem być ojcem Kita.

Odruchowo dotknął lewego policzka. Czerwony ślad już zniknął, ale nie pamięć o uderzeniu.

- Może dlatego, że tak żywo zareagowałaś na stwierdzenie, że byłaś kochanką mojego ojca.

- Zareagowałam na twoje świadome okrucieństwo. Zareagowałam na twoje grubiaństwo. Co w tym dziwnego, że George pragnął drugiego dziecka i właśnie mnie wybrał na matkę swojego syna?

Patrzyła na Drew, czekając, aż znowu wybuchnie gniewem, ale tym razem jego przystojna twarz pozostała nieprzenikniona i spokojna jak u powściągliwego angielskiego lorda, nieco znudzonego tematem rozmowy. Zastanawiała się przez chwilę, ile czasu zajęło mu wyćwiczenie przed lustrem wy-

razu uprzejmej obojętności. Zazdrościła mu opanowania, ale jednocześnie jego wyniosłość i pogarda sprawiały jej ból.

- Przypuszczam więc, że bez oporów zostałeś kochanką pięćdziesięcioletniego mężczyzny.

Atak był nagły, a zniewaga tym bardziej bolesna, że wypowiedziana bez cienia emocji.

- A co w tym dziwnego? - odparowała Wren, starając się ukryć prawdziwe uczucia równie skutecznie, jak on. - Nie miałam również oporów, gdy wychodziłam za mąż za mężczyznę dużo starszego. Zresztą George zachował młodzieńczą twarz i sylwetkę oraz nadzwyczajny wigor. Był łagodny, cierpliwy i...

- Bogaty i utytułowany? - podsunął Drew.

Podobny do ciebie. W ostatniej chwili ugryzła się w język.

- Dobry. Zamierzałam powiedzieć, że był łagodny, cierpliwy i dobry.

Andrew pokręcił głową z niedowierzaniem. Jego ojciec miał wiele zalet, ale cierpliwość i łagodność z pewnością do nich nie należały.

- Na pewno mówimy o tym samym człowieku? Nigdy u niego nie zauważyłem tych cech.

- Może dlatego, że znałeś go od innej strony. Jako rodzica, sędziego, para. Natomiast ja znałam go...

- W biblijnym sensie.

Kathryn rozgniewał jego szyderczy ton.

- Powiedz, co bardziej cię ubodło. To, że twój ojciec dał mi syna i dom, czy to, że okazał wspaniałomyślność, choć cię porzuciłam?

Ramsey wzruszył ramionami.

- To, że pozwolił ci zamieszkać w Swanslea.  
- Myślałam... - Potrząsnęła głową. - Myślałam. - Zamrugła, walcząc z łzami. - Ale najwyraźniej się myliłam. W niczym nie przypominasz ojca.

- Tego bym nie powiedział. Z pewnością jestem bogaty i utytułowany.

- Szkoda, że stałeś się cyniczny.

- W takim razie nie zdziwi cię prośba, żebyś wyniosła się z mojej posiadłości najszybciej, jak to możliwe.

Wren postawiła synka na podłodze i wzięła go za rączkę.

- Ani trochę. Jeśli będziesz tak dobry i dasz mi kogoś do pomocy, spakuję rzeczy Kita i panny Allerton. Jutro przeniesiemy je tutaj.

Nie miała pojęcia, jak we trójkę zmieszczą się we wdowim domku, zwłaszcza że dużo miejsca zajmowały jej prace i menażeria, ale już powzięła decyzję.

- Przyślę ci kogoś do pomocy, a rano dostarczę środek transportu - obiecał Drew. - Ale mój brat i dziedzic zostanie w Swanslea Park.

Wren cofnęła się, jakby ją uderzył. Jej serce zmroził strach.

- Nie możesz rozdzielić mnie z synem.

- Zapewniam cię, że jest to w mojej mocy - odparł spokojnie.

- Sam pomysł zasługuje na pogardę.

- Gardź mną, jeśli chcesz, ale pamiętaj, że jako markiz Templeston jestem prawnym opiekunem twojego syna.

- Prawnym opiekunem Kita jesteś jako jego star-

szy brat, a nie markiz - sprostowała Wren. - Lecz zgodnie z ostatnią wolą twojego ojca nie masz prawa usunąć mnie ze Swanslea ani zabrać mi dziecka, chyba że znudzi cię tytuł oraz majątek i dla kaprysu pozwolisz się wydziedziczyć.

Ramsey nie mógł uwierzyć własnym uszom.

- Co wiesz o ostatniej woli mojego ojca?

- Zdaje się, że więcej niż ty. Wiem, że George umieścił w niej szczegółowe dyspozycje odnośnie do Kita i mnie. Nie tylko mi o nich powiedział, ale również je odczytał i upewnił się, że wszystko zrozumiałam. Kopia testamentu znajduje się w sejfie w jego gabinecie. Zapis jest całkiem jasny i zgodny z prawem. I dobrze zrobisz, jeśli będziesz o tym pamiętał, Andrew.

Nachyliła się, szepnęła coś synkowi do ucha i poszła z nim do kuchni, traktując gościa jak powietrze.

## 6

Jest istotnie rzeczą pożądaną mieć dobre pochodzenie, ale cała chwała należy się naszym przodkom.

Plutarch, 46-120

Kathryn mówiła prawdę. Drew starannie złożył dokument i schował go do koperty. Często oskarżał ojca o brak odpowiedzialności, a teraz przekonał się, że George Ramsey, piętnasty markiz Templeton, dobrze zadbał o przyszłość Kita i jego matki. Zapis, którego dokonał na rzecz nieślubnego syna i kochanki, świadczył o głębokim uczuciu i godnej podziwu przezorności.

Zgodnie z jego ostatnią wolą, spisaną przed dwoma laty, większą część majątku, ruchomości i nieruchomości związane z tytułem markiza oraz posiadłości należące do hrabiego Ramsey, wicehrabiego Birmingham i barona Selby, dziedziczył szesnasty markiz, a po jego śmierci - siedemnasty.

Wyjątek stanowił Swanslea Park. Wchodzące w jego skład ogrody, domy dzierżawców i ziemia należały teraz w całości do najstarszego syna, natomiast główny budynek miał przypaść w udziale prawowi-

tym spadkobiercom lub potomkom Andrew Ramseya albo Kathryn Markinson Stafford, którzy będą wspólnie nim dysponować do czasu, aż ich spadkobiercy albo potomkowie osiągną dojrzałość. Jeśli Andrew Ramsey i Kathryn Markinson Stafford nie zostawią prawowitych spadkobierców, rezydencja, ogrody, domy dzierżawców i pastwiska przejdą po ich śmierci na własność koła łowieckiego Trevingshire.

Wdowi domek i park otaczający Swanslea otrzymuje do wyłącznego użytku Kathryn, a po jej śmierci obie nieruchomości przejdą pod zarząd funduszu powierniczego opiekującego się majątkiem legalnych spadkobierców albo potomków Andrew Ramseya lub Kathryn Markinson Stafford. Ponadto nowy markiz Templeston przeznaczy dziesięć tysięcy funtów rocznie na utrzymanie wspólnie zarządzanej posiadłości i wdowiego domku.

Choć George Ramsey uznał Kita za swojego syna i spadkobiercę uprawnionego do dziedzicznych tytułów, wykluczył możliwość przejęcia przez niego Swanslea Park na własność.

Kodycyłu, o którym wspomniał Martin Bell, nie było w kopii testamentu przechowywanej w sejfie.

Markiz wyznaczył hojną roczną pensję Kitowi, Kathryn oraz innym swoim kochankom i ich dzieciom, które narodzą się w ciągu dziewięciu miesięcy od jego śmierci. Drew przeczesał dłonią włosy i zmarszczył czoło. Ciekawe, jak miałyby rozpoznać te kobiety albo ich potomstwo. Mógł jedynie liczyć na to, że zmarły dołączył ich listę do kodycyłu.

Zgodnie z testamentem Andrew został jedynym



prawnym opiekunem wszystkich dzieci ojca z wyjątkiem Kita, co do którego wszelkie decyzje musiały podejmować wspólnie z Kathryn. Nie mógł zabrać chłopca z domu ani z nim podróżować bez jego matki lub jej zgody, podobnie jak zatrudniać i zwalniać opiekunek, guwernantek ani nauczycieli. Nie mógł wysłać przyrodniego brata do szkoły z internatem bez porozumienia z Kathryn, a także zaaranżować mu małżeństwa.

Kit był podopiecznym nowego markiza i jego dziedzicem, ale George Ramsey zadbał o to, żeby Andrew musiał we wszystkich sprawach dotyczących chłopca naradzać się z jego matką.

Kathryn z kolei nie mogła zabronić Drew spędzania czasu z Kitem ani w jakikolwiek sposób utrudniać mu z nim kontaktów. Wolno jej było wprawdzie zatrudnić i zwolnić każdą nianię, guwernantkę lub nauczyciela bez zgody markiza Templeston, ale nie mogła wysłać syna do szkoły z internatem. Nie miała jedynie prawa głosu w kwestiach finansowych i związanych z dziedzicznymi tytułami; ostatnie słowo należało do Drew. W razie śmierci matki jedynym opiekunem Christophera do czasu osiągnięcia przez niego pełnoletności zostawał Andrew Ramsey. Gdyby on umarł, zanim chłopiec dorośnie, opiekę nad nim powinna sprawować Kathryn wspólnie z zaufanym doradcą George'a, Martinem Bellem lub wyznaczoną przez niego osobą.

Drew westchnął głęboko. Jeszcze przed godziną żył w błogiej nieświadomości, a tu raptem dowiedział się o istnieniu przyrodniego brata, podopiecznego

i dziedzica w jednej osobie. Jakby tego było mało, w jego życiu znowu pojawiła się Kathryn, choć myślał, że już nigdy się nie spotkają. W dodatku wyglądało na to, że los po raz drugi ich ze sobą związał.

Wstał z masywnego skórzanego fotela i podszedł do ściany. Schował testament do sejfów i nastawił szyfr. Wieszając z powrotem obraz przedstawiający ulubionego wierzchowca drugiego hrabiego Munnerlyn, uśmiechnął się do siebie. Przodek jego matki widać miał poczucie humoru, skoro uwiecznienie zwierzęcia zlecił za sówitą zapłatą Holbeinowi; słynny nadworny malarz lubił malować damy do złudzenia przypominające konie.

- Kółko graniaste, czworokanciaste. Kółko nam się połamano, a my wszyscy bęc!

Odgłosy zabawy dobiegające z ogrodu zmały ciszę gabinetu. Ramsey podszedł do okna, uchylił je lekko i oparł się o framugę.

Na trawie przy labiryncie strzyżonych żywopłotów leżeli Kathryn i Kit. W pewnym momencie chłopiec pisnął z radości i zaczął fikać koziołki.

- Patrz na mnie, mammo.

- Patrzę, kochanie.

Drew uśmiechnął się, gdy Kathryn zaczęła bić synkowi brawo.

- Teraz twoja kolej, mamusiu.

Wren potrząsnęła głową.

- Pokażę ci, jak to się robi - zawołał Kit.

Wykonał kolejnego fikołka, ale matka znowu pokręciła głową.

- Proszę!

Kathryn zerknęła przez ramię na dom, jakby chciała sprawdzić, czy nikt nie patrzy. Drew szybko odsunął się od okna.

- Dobrze. Może spróbujemy razem?

Zebrała spódnice jedną ręką.

Nie odważy się, pomyślał Andrew, dostrzegając kwiaty namalowane na czarnych pończochach. Serce zadudniło mu w piersi. A jednak! Omal się nie roześmiał się, gdy Kathryn uklękła, położyła głowę na ziemi i przetoczyła się na plecy. Potem jeszcze raz i jeszcze raz, aż znieruchomiała przy żywopłocie, z suknią zadartą tak wysoko, że widać było podwiązki.

Zachwycony Kit klasnął w dłonie, zerwał się z trawy i podbiegł do matki. Chwycił ją za rękę i próbował dźwignąć, ale ona z chichotem opierała się jego wysiłkom.

- Pokręć mnie, mamo.

Wren przez chwilę udawała, że się zastanawia, po czym wstała z ziemi, poprawiła spódnice i wzięła malca na ręce. Przytuliła go mocno i zaczęła wirować. Gdy w końcu zakręciło się jej w głowie, opadła na kolana i uściskała synka.

- Och, Kit, tak cię kocham.

- Ja ciebie też, mamusiu.

Chłopiec ciasno otoczył ramionkami jej szyję, a kiedy matka chciała delikatnie uwolnić się z uścisku, żeby złapać oddech, zażądał:

- Jeszcze.

- Już nie mogę - powiedziała Kathryn z uśmiechem.

- Przez ciebie mam zawroty głowy i brak mi tchu.

Jej słowa sprawiły, że Drew poczuł się, jakby dostał obuchem w głowę.

„Jeszcze”, poprosił, domagając się kolejnych pocałunków.

„Już nie mogę. Przez ciebie mam zawroty głowy i brak mi tchu.”

Zacisnął powieki, usiłując odpędzić wspomnienie tamtej księżycowej nocy w ogrodzie księżnej Richmond. Na próżno. Zbyt wiele dni i nocy poświęcił na rozpamiętywanie wszystkich chwil, które razem spędzili, żeby je raptem przekreślić. Właśnie wtedy poprosił ukochaną, żeby za niego wyszła. Teraz otworzył oczy i zobaczył, że Kathryn patrzy w okno.

Zwabiony wesołym śmiechem dyskretnie obserwował jej zabawę z synkiem, ale zdradziła go zasłona powiewająca na wietrze. Brązowe oczy spotkały się z szarozielonymi i znalazły w nich odpowiedź na nieme pytanie.

Ona też pamiętała.

Pamiętał.

Na tę myśl zaparło jej dech w piersiach. Dostrzegłszy Andrew w oknie gabinetu, odruchowo uniosła rękę i próbowała przyglądać niesforne kosmyki. Nie mogła oderwać od niego wzroku. Choć przez ostatnie cztery lata trochę się zmienił, a jego ciemnobrązowe włosy przyprószyła siwizna, nadal był najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego w życiu spotkała.

Hrabiego Ramseyego poznała w czasie swojego pierwszego londyńskiego sezonu. Wojna się skoń-

czyła, Napoleon przebywał na wygnaniu na Elbie. Liczący sobie wtedy dwadzieścia siedem lat Drew właśnie odszedł ze stanowiska oficera w Ministerstwie Spraw Wojskowych. Przydzielony do sztabu podpułkownika Granta otrzymał zadanie łapania francuskich szyfrów i rekrutowania ludzi, którzy przekazywaliby je Wellingtonowi. Nie wyglądał na swój wiek i choć na co dzień miał do czynienia z niebezpiecznymi sprawami, udało mu się zachować młodzieńczą niewinność, idealizm i nieco arogancką pewność siebie, charakterystyczną dla uprzywilejowanych młodych ludzi.

Teraz, cztery lata później, niewinność, idealizm i arogancja zniknęły bez śladu. Została jedynie pewność siebie, wzmocniona przez przeżycia wojenne, które wycisnęły piętno również na jego twarzy. W kącikach oczu i wokół ust pojawiła się siateczka cienkich zmarszczek, czoło porały głębsze bruzdy. Po Waterloo zostały blizny na ciele i sercu, ale zahartowany, lekko zgorzkniały, gniewny i cyniczny mężczyzna, który zastąpił dawnego Andrew, był równie atrakcyjny, jak on i dwa razy bardziej intrygujący.

Wren westchnęła. Przez lata nosiła w sercu wspomnienie narzeczonego i marzyła o tym, żeby znowu go zobaczyć, paść mu w ramiona. Jednocześnie nie chciała spełnienia tych życzeń. W skrytości ducha wołałaby, żeby Drew, ochłonawszy z gniewu, uznał się za szczęściarza i docenił odzyskaną wolność. Miała nadzieję, że Andrew Ramsey nie traci czasu na złudzenia, bo dziewczyna, którą uważał za czarodziejkę, już nie istniała.

W wieku dwudziestu dwóch lat była naiwna i rozmarzona. Przez całe życie trzymana pod kloszem, miała przejść spod skrzydeł ojca pod opiekę męża. Do debiutu w towarzystwie przygotowała ją ciotka Edwina.

Wren nauczyła się prowadzić dom, poznała najlepsze krawcowe, modystki, jubilerów. Składała przedpołudniowe wizyty i odpowiadała na każde zaproszenie. Zapamiętywała dziesiątki tytułów, nazwisk i twarzy. Została przedstawiona na dworze.

Zakochała się w Londynie, ale wszelkie atrakcje stolicy nie mogły się równać z jej pierwszym spotkaniem z dorosłym Andrew Ramseyem. Znała go od zawsze, jednak przez całe dzieciństwo widzieli się zaledwie kilka razy. Ich ojcowie, markiz Templeton i sir Wesley Markinson, byli przyjaciółmi, lecz ich rodziny nie obracały się w tych samych kręgach. Jako syn bogatego para, Drew poszedł do Eton i do Cambridge, natomiast ona pobierała nauki w domu.

Kiedy ujrzeli się ponownie w czasie londyńskiego sezonu, w jednej chwili zakochała się w nim do szaleństwa. Wysoki, ciemnowłosy i przystojny wyglądał jak księżę z bajki, o którym śniła. Gdy poprosił ją do tańca, była tak zdenerwowana, że niemal potykała się o "własne stopy. Lecz jemu jej niezręczność najwyraźniej nie przeszkadzała. Słuchał jej z rozbawieniem, a pod koniec wieczoru sprawiał "wrażenie równie nią zauroczonego, jak ona nim. Następnego dnia rano złożył jej wizytę, później odwiedzał ją niemal codziennie. Wren miała wrażenie,

jakby dobra wróżka przeniosła ją w bajkowy świat. Stała się idealnym dodatkiem do wieczornych przyjęć i balów: czarująco niewinna, dowcipna i błyskotliwa, była ozdobą Drew, z zachwytem chłoneła każde jego słowo, całkowicie polegała na jego sędzie i znajomości świata.

Tkwiła w błogiej nieświadomości, póki, dużo później, los nie dał jej nauuczki, że bajka nie zawsze kończy się słowami że: „żyli długo i szczęśliwie”. Dobrze przyswoiła tę lekcję. W ciągu czterech lat od ostatniego spotkania z Drew została żoną, matką, wdową, sierotą i zasmuconą kochanką. Dogłębnie poznała ból straty. Jej jedyną pociechą był Kit.

Ledwo pamiętała tamtą naiwną dziewczynę, ale wspomnienia o Drew pozostały boleśnie świeże. Tak żywe i niezatarte, że nie dostrzegła w nim żadnej zmiany, kiedy pojawił się niczym dzielny rycerz, żeby uratować ją przed psami.

Dopiero teraz zauważyła ślady cierpienia. On również poznał, co to żal. Przyjechał do Swanslea, żeby pochować ojca. Spojrzała na Kita. Malec nie zdawał sobie sprawy z ogromu straty, ale jego brat mocno ją odczuł.

Wren przełknęła łzy. Andrew Ramsey, którego zapamiętała, był bardziej chłopcem niż mężczyzną. Pełen cnót, bohater bez skazy, istniał tylko w jej marzeniach. Teraz zobaczyła człowieka starszego, doświadczonego przez życie, gniewnego, cień dawnego złotego młodzieńca. Nie chciała jednak pozbyć się cennych wspomnień, które przez lata przechowywała.

Nie zamierzała również się okłamywać. Drew stanowił zagrożenie dla jej spokoju ducha, osiągniętego z tak wielkim trudem. Już raz się w nim zakochała. Czy mogła powtórzyć błąd? Teraz, kiedy musiała myśleć o synku i jego przyszłości? Potrząsnęła głową. Nie wolno jej ryzykować. Powinna trzymać się jak najdalej od nowego markiza.

Spojrzała na dom. Zasłona nadal powiewała na wietrze, ale okno gabinetu było puste. Wren odetchnęła z ulgą.

Andrew zniknął.



## 7

Pewnym jest tylko to, że nic nie jest pewne.

Pliniusz Starszy, 23-79

Całe popołudnie Wren spędziła na szkicowaniu w zalesionej części Swanslea Park. Skupiła się na pracy, żeby nie myśleć o Drew. Remedium poskutkowało. Udało się jej skończyć kilka szczegółowych rysunków: dwa studia leśnego anemonu rosnącego na terenie parku i imponujący wstępny szkic pustki w locie. Wracając do wdowiego domku, gratulowała sobie sukcesu.

Niestety gdy otworzyła drzwi, ujrzała siedzącego na kanapie w salonie mężczyznę, o którym usilnie starała się zapomnieć.

- Szkoda, że nie wypiałś z nami herbaty.

Wren oparła sztalugi o ścianę przy drzwiach, a rysunki położyła na stoliku.

- Z nami?

- Z panną Allerton i ze mną.

- Piłeś herbatę z guwernantką?

Markiz uniósł brew.

- Nie podejrzewałem cię o snobizm. Panna Al-

lerton może i miała w życiu pecha, ale jest córką wicehrabiego.

- Nie jestem snobką. Regularnie pijam herbatę z Ally. Dobrze wiem, że przewyższa mnie pozycją społeczną. Zatrudniłam ją nie tylko ze względu na doskonałe referencje, ale również we względu na pochodzenie. Po prostu zaskoczyło mnie, że znalazłaś czas na pogawędkę ze zwykłą nauczycielką.

- Znałem jej nieżyjącego brata. Walczyliśmy razem w Belgii. Panna Allerton pytała mnie o nowe wieści ze stolicy, a ja z przyjemnością zaspokoilem jej ciekawość. Okazało się, że mamy tam wspólnych znajomych.

- Twoje towarzystwo na pewno sprawiło jej przyjemność - powiedziała Wren, siląc się na obojętność, ale zdradził ją ton głosu.

- Dlaczego miałoby być inaczej. Wiele osób dobrze się ze mną czuje. Może wydawać się to dziwne, ale potrafię być miły. - Zrobił pauzę dla wywołania efektu. - Prawdopodobnie na moje nietypowe zachowanie wpłynęła twoja, rzucająca się w oczy, nieobecność.

- Pracowałam.

Drew przesunął się na kanapie i zerknął na rysunki.

- Niezłe - stwierdził.

Już drugi raz ją pochwalił. Spojrzała na niego łaskawym wzrokiem.

- Dziękuję.

- Prawdę mówiąc, zawsze byłaś utalentowana. Nie wiedziałem tylko, że masz również talent plastyczny.

Sama wystawiła się na atak, pozwalając, żeby najpierw rozbroił ją komplementem, a potem zadał bolesny cios. Westchnęła ze znużeniem.

- Wyjdź z mojego domu. Wkroczyłeś na cudzy teren.

Ramsey przeciągnął się i ziewnął.

- To niemożliwe, bo ja jestem jego właścicielem.

- Do ciebie należy tylko ziemia - sprostowała. - Jeśli zadałeś sobie trud przeczytania ostatniej woli swojego ojca, na pewno o tym wiesz.

- Przeczytałem testament. - Andrew wstał i zaczął chodzić po pokoju. - I masz całkowitą rację. Rzeczywiście wdowi domek jest zapisany tobie, ale ponieważ stoi na mojej ziemi, chyba nie można mi zarzucić, że wkraczam na cudzy teren.

- Doskonale zdajesz sobie sprawę, że to nonsens. Do swoich dzierżawców nie wszedłbyś bez pozwolenia, ale mnie nachodzisz bez skrpułów.

- A dlaczego nie, skoro ty nachodzisz mój dom?

- Ja zostałam zaproszona. Ty nie.

Drew podszedł do kanapy i nachylił się tak mocno, że jego oddech poruszył włosy Kathryn.

- Istotnie - szepnął. - Ojciec nie zaprosił mnie do Swanslea Park ani razu w ciągu trzech lat, odkąd tutaj mieszkasz. Ciekawe dlaczego?

- Byłeś we Francji.

- Wróciłem trzy lata temu. Ojciec o tym wiedział. Często jedliśmy razem obiad w naszym klubie i rozmawialiśmy przy brandy.

- George twierdził, że obowiązki zatrzymują cię w Londynie.

- Naprawdę? Jak śmiał wtajemniczać cię w moje życie, podczas gdy sam nic mi nie mówił o swoim? Nie miałem pojęcia o istnieniu przyrodniego brata. On też o mnie nie słyszał. Raczej nie byłem głównym tematem rozmów przy tym stole. - Zmierzył ją wzrokiem i dostrzegł, że jej ciemne rzęsy rzucają cień na policzki. - Z drugiej strony chyba lepiej nie wspominać przy herbatce o dawnej miłości kochanki. Zwłaszcza kiedy tym ukochanym jest syn obecnego protektora.

Ranił ją ze świadomym okrucieństwem, ale Wren słyszała ból w jego głosie.

- Wcale nie było tak, jak sądzisz, Drew.

- A jak było?

- Póki żył mój ojciec, każdego popołudnia piliśmy razem herbatę we wdowim domku. Jeśli George akurat przebywał w Swanslea, często nam towarzyszył. - Uśmiechnęła się do wspomnień. - Po śmierci mojego ojca jego wizyty stawały cię coraz rzadsze. Odwiedzał mnie raz albo dwa razy do roku, zwykle na Boże Narodzenie. W końcu zaczęłam jeść podwieczorki w pokoju dziecięcym razem z panną Allerton i Kitem.

Zamknęła oczy.

- Musiałaś czuć się samotna.

Spojrzała na niego uważnie, oczekując kolejnego ataku, ale jeśli się z niej naigrawał, wyraz twarzy niczego nie zdradzał.

- Tak - odparła po chwili.

- A mój ojciec przeciwnie.

Wren uniosła brew w niemym pytaniu.

- Miał drugą kochankę.
- Słyszałam. Twój kolega ze studiów wspomniał, że jedna utonęła razem z nim.
- Tak.
- Przykro mi.
- Z czyjego powodu?
- George'a, jego... przyjaciółki, jej rodziny. - W jej oczach zalśniły łzy. - A także z twojego, mojego i Kita.

- Mojego?

Był szczerze zdumiony, że Kathryn mu współczuje, choć ostatnio powiedział jej wiele niemiłych rzeczy.

- Wiem, co to znaczy stracić ojca, najbliższego przyjaciela, osobę, którą kochasz najbardziej na świecie.

Na widok zasmuconej twarzy, która setki razy pojawiała się w jego marzeniach na jawie, Andrew poczuł ściskanie w gardle. Przełknął ślinę i odchrząknął.

- Były również inne.

W oczach Kathryn odmalowało się zdziwienie, a on nagle zapragnął wziąć ją w objęcia i ukoić jej ból.

- Oprócz młodej kobiety, która płynęła z nim na jachcie, mój ojciec miał jeszcze parę kochanek w Anglii i na kontynencie. - Ujrzawszy jej minę, stwierdził: - Niemożliwe, żebyś o nich nie wiedziała. Czytałaś jego testament.

- Nie czytałam testamentu.

- Ale wiedziałaś o ziemi i wdowim domku.

- Tylko dlatego, że kiedy tu przyjechalśmy,

George podarował domek mojemu ojcu, a ja go po nim odziedziczyłam.

- Nie...

- Wszystko odbyło się zgodnie z prawem. Mam tytuł własności. Obawiałam się, że możesz spróbować mi go odebrać, gdy zostaniesz markizem, ale George mnie uspokoił i obiecał, że umieści swoje życzenie w testamencie. Celowo użył mojego nazwiska po mężu, bo wiedział, że nie podważysz zapisu na rzecz pani Bertrandowej Stafford. Najwyraźniej się mylił.

Usta Drew wykrzywił lekki grymas.

- Nie. Rzeczywiście nie sprzeciwiłbym się, żeby pani Bertrandowa Stafford odziedziczyła domek czy otaczający go teren. Rozpoznałbym nazwisko i przypomniał sobie o patronacie mojego ojca nad badaniami przyrodniczymi Stafforda, ale nie miałbym powodu ani ochoty naruszać jej prywatności.

- Chyba że okazałaby się matką twojego brata.

Jej uwaga zabolęła, lecz Andrew pomiął ją milczeniem. Odwrócił się i zaczął chodzić po pokoju. Przez chwilę obserwował wiewiórkę, która wyszła ze słomkowego kapelusza i teraz skubała nasiona, suszone jagody i orzechy leżące na małej srebrnej tacy.

- Co jeszcze ci mówił?

- Że uznał Kita za swojego syna i zadbał o jego przyszłość. Uprzedził, że ty będziesz jego prawnym opiekunem, ale obiecał, że jako matka będę miała ostatnie słowo w kwestii jego wychowania i edukacji aż do osiągnięcia przez niego dojrzałości i że nikt nie będzie mógł zmienić tego postanowienia. Powiedział, że Martin...

- Znasz Martina Bella? Doradcę mojego ojca?

- Oczywiście. Przyjeżdżał tu często, kiedy jeszcze żył mój ojciec. To on załatwił sprawę wdowiego domku i sporządził testament mojego ojca. George zapewnił mnie, że Martin zajmie się wszystkim, więc nie będziesz miał powodu wtrącać się w moje życie, a ja nie będę musiała cię widywać ani z tobą rozmawiać, jeśli nie zechcę. Ani słowem nie wspomniał o swoich kochankach.

- Zatem nie wiesz, że obarczył mnie prawną i finansową odpowiedzialnością za wszystkie te kobiety i ich potomstwo. - Drew się uśmiechnął. - Jak widzisz odziedziczyłem nie tylko Swanslea Park, tytuł markiza i Kita, ale również, w pewnym sensie, ciebie.

## 8

Od wzniosłości do śmieszności tylko jeden krok.

Napoi eon Bonaparte, 1769-1821

Wren prychnęła z oburzeniem.

- Nie można nikogo odziedziczyć!

- Owszem. - Drew potrząsnął głową. - Przyznam, że go nie doceniałem! Okazał się bardzo zapobiegliwy. Za każdym razem, kiedy zarzucałem mu, że za dużo uwagi poświęca miłośnikom, a za mało interesom, uśmiechał się i mówił, że nie musi się o nie martwić, bo ja biorę na siebie wszystkie obowiązki.

- Ale dlaczego George...

- Przewidział, że go nie zawiodę. Był pewien, że zrobię to, o co poprosił. Liczył na moją odpowiedzialność. Finansował prace twojego ojca i podarował mu wiejski domek, a ja nie miałem o tym pojęcia. Mógł dokonać zapisu na rzecz pani Bertrandowej Stafford, dać nazwisko nieślubnemu synowi, powierzyć twoje sprawy Martinowi albo innemu doradcy, a ja niczego bym nie zauważył ani o to nie dbał. Kit nie zagraża mojej pozycji. Młodszy synowie, z prawego lub nieprawego łoża, nie dzie-



dziczą tytułu. Ale już ojciec postarał się o moje zainteresowanie.

- W jaki sposób?

- Prosząc, żebym zaopiekował się jego kochankami i ich dziećmi. Ponadto ulokował cię w jedy-  
nym miejscu, do którego nikogo bym nie wpuścił,  
i uwzględnił w testamencie.

- Przecież nie wiedziałeś, że wyszłam za Bertranda.

- W dokumencie występujesz nie jako pani Bertran-  
dowa Stafford, tylko Kathryn Markinson Stafford.

- Naprawdę?

- Zadbaj o to, żebym nie pomylił cię z kimś innym.

W oczach Wren malowało się niedowierzanie, że  
zdradził ją człowiek, którego uważała za serdeczne-  
go przyjaciela.

- Zostawił mnie jak mebel.

- Jesteś samotną kobietą - przypomniał Drew. -  
Nie masz ojca, brata, męża ani kochanka, który by  
cię chronił i utrzymywał.

- Nie potrzebuję, żeby ktokolwiek mnie utrzy-  
mywał! - wybuchnęła Kathryn. - Sama sobie pora-  
dę. Właśnie kończę pracę, za którą mój ojciec do-  
stał sowe wynagrodzenie.

- Te pieniądze nie wystarczą ci na długo.

- Postaram się o następne zlecenie.

- Kto zapłacił twojemu ojcu za Brytyjską florę  
i faunę?

Wren zawahała się na ułamek sekundy.

- Założyciel Królewskiego Towarzystwa Ochro-  
ny Brytyjskiej Flory i Fauny.

- Czyli?

- George Ramsey, markiz Templeton - odparła Kathryn z niechęcią.

Drew przeszył ją spojrzeniem.

- Właśnie.

- Jestem pewna, że kiedy książka zostanie opublikowana, dostanę inne zamówienia.

- Sir Wesley Markinson może by je dostał, ale ty nie masz formalnego wykształcenia ani uznania, którym cieszył się twój nieżyjący ojciec albo mąż. A jeśli opublikujesz pracę pod jego nazwiskiem, kto będzie wiedział, że ty ją dokończyłaś? Kto da ci zlecenie?

Wren spiorunowała go wzrokiem i nic nie odpowiedziała.

- No? - ponaglił ją Andrew.

- Po prostu sama wydam drukiem swoją następną pracę - oświadczyła.

- Za co? Twój ojciec był parem, ale tytuł i dochody przepadły wraz z jego śmiercią. Z kolei gdybyś po mężu odziedziczyła jakiś majątek, nie musiałabyś tu mieszkać. Nie stać cię na opublikowanie własnej książki.

- Nie jestem zupełnie pozbawiona środków do życia. - Kathryn dumnie uniosła brodę. - Ciocia Edwina, która umarła zeszłej jesieni, zostawiła mi pewną sumkę i dom w Lake District. Niewiele, ale wystarczy, żeby się utrzymać. Poza tym mam talent. Zdobęde zlecenia.

- Masz wielki talent - zgodził się Drew. - Ale to nie wystarczy. Nie obejdiesz się bez pomocy.

- Dam sobie radę.

- Nie musisz. Chętnie sfinansuję wydanie twojej następnej pracy.

Wren przyjrzała mu się uważnie.

- W zamian za co?

- Za podpis na dokumencie, w którym zrzekniesz się wszelkich praw do wdowiego domku i Kita.

Kathryn usiadła na najbliższym krześle, bo kolana nagle odmówiły jej posłuszeństwa.

- Nie.

- Podrzyj akt własności tego domku i oddaj mi Kita, a zapłacę za każdy twój projekt. Jeśli nie chcesz przenieść się do Lake District, umieszczę cię w domu, który sama wybierzesz, byle daleko stąd.

Wren zerwała się z krzesła tak gwałtownie, że omal nie uderzyła Ramseyego głową w brodę. Cofnęła się o krok.

- Możesz wziąć domek, możesz wziąć, co tylko chcesz, ale nigdy nie zrezygnuję ze swoich praw do Kita. Kocham go.

- W takim razie obawiam się, że jesteśmy na siebie skazani.

- Jeszcze kilka godzin temu nie miałeś pojęcia o jego istnieniu. Najlepiej będzie, jak stąd wyjedziesz. - Spojrzała mu w oczy. - Wracaj do Londynu, Drew, i zapomnij, że kiedykolwiek nas widziałeś.

- Niczego bardziej nie pragnę. Pozostaje jednak faktem, że ojciec wyznaczył mnie na waszego opiekuna, a ja nie zamierzam uchylać się od obowiązków.

W tym momencie dostrzegł w jej jasnych włosach trzy zielone listki ostrokrzewu. Odruchowo wyciągnął rękę i strzepnął je na podłogę. Kathryn drgnęła.

- Nie mogę wrócić do Londynu i zapomnieć o tobie.

- Dlaczego? Przez ostatnie cztery lata o mnie nie pamiętałeś.

Nie mogła już cofnąć tych słów. Odwróciła się pospiesznie, żeby Drew nie zobaczył łez w jej oczach. Bała się, że mylnie weźmie je za oznakę słabości, tęsknoty, żalu. Albo czegoś więcej.

- Tak sądzisz? - spytał cicho.

Ciepły oddech owiał jej ucho i poruszył włoski na karku. Kathryn zeszywniała. Na plecach wyraźnie poczuła guziki kamizelki Andrew.

- Chciałbym zapomnieć - szepnął.

Położył dłonie na jej ramionach i delikatnie odwrócił ją do siebie. Gdy nachylił ku niej głowę, serce zabiło jej mocniej. Zwilżyła wargi koniuszkiem języka i opuściła powieki.

Pocałunek był gorący, pełen pasji i gniewu, niemal karzący. Drew przygarnął Kathryn, wsunął palce w jedwabiste włosy, opuścił dłonie na jej plecy. Jedną ręką objął jędrną pierś, drugą zaczął pieścić krągłe biodra. Kiedy przez cienki muślin poczuł jej rozpalone ciało, krew zagotowała mu się w żyłach warem.

Zaskoczona własną reakcją Wren zarzuciła mu ramiona na szyję. Od bliskości męskiego ciała i słabej, znajomej woni mydła do golenia ugięły się pod nią kolana. Kiedy Drew skubnął płatek jej ucha, a potem musnął wargami miejsce, gdzie żyły pulsowały jak szalone, gwałtownie wciągnęła powietrze i przywarła do niego kurczowo. W tym momencie jęknął głucho i odsunął się tak raptownie, że omal

nie straciła równowagi. Spojrzała na niego oszołomiona i dotknęła palcami swoich ust.

- Nie rozumiem...

- Czego? - przerwał jej burkliwym tonem. - Tego, że przyjechałem, by wyrzucić z rodowej posiadłości kochankę ojca i w ten sposób uniknąć skandalu na pogrzebie markiza i jego drugiej kochanki, i stwierdziłem, że jest nią jedyna kobieta, którą poprosiłem o rękę? Czy tego, że nieoczekiwanie znowu wpadłem w jej sidła? - Zaśmiał się krótko. - Ja sam nic nie rozumiem.

Wren czym prędzej zgasiła w sobie isierkę nadziei, roznieconą przez pocałunek.

- Chcesz pochować... przyjaciółkę George'a w Swanslea Park?

- A gdzie indziej według ciebie? W Irlandii w zbiorowej mogile dla biedaków?

Przejechał palcami włosy w wyrazie frustracji.

- Ale twoja matka...

- Moja matka nie żyje, a ja uważam, że należy okazać chrześcijańskie miłosierdzie nieszczęsnej młodej kobiecie, która dzieliła ostatnie chwile z moim ojcem. Zresztą nie mam innego wyjścia. Zginęła razem z nim i właśnie dlatego, że mu towarzyszyła. Nic o niej nie wiemy, nikt nie zgłosił się po ciało. Poza tym ojciec prosił, żebym zaopiekowałem się jego kochankami. Sądziś, że źle robię?

- Nie.

- Wysłałem Martina do Irlandii. Do Swanslea Park powinien dotrzeć za dwa tygodnie. Wtedy wyprawię dwa pogrzeby. Kobietę pochowam na rodzinnym cmentarzu. Ojciec chyba tego by sobie życzył.

Wren pokiwała głową.

- Gdy w gazetach ukaże się nekrolog, do Swanslea zaczną przybywać goście. Poproszę pana Isleya, żeby zajął się moimi zwierzętami, a panna Allerton zostanie z Kitem. Uważam, że twój brat powinien razem z tobą stanąć nad grobem waszego ojca.

- A ty?

- Opuścę wdowi domek i zniknę ze Swanslea Park do czasu, aż wyjadą wszyscy żałobnicy. - Przygryzła dolną wargę i opuściła wzrok. - O reszcie zdecydujemy później.

- Rano oświadczyłaś, że nikt na świecie nie zabroni ci wzięcia udziału w pogrzebie George'a Ramseya - przypomniał Drew.

- To było, zanim się dowiedziałam, że razem z nim chcesz pochować jego przyjaciółkę.

Słowa Kathryn boleśnie go rozczarowały. Spodziewał się raczej zapewnienia, że słusznie postępuje.

- Czy na zmianę twojej decyzji wpłynęła wieść o istnieniu innych kochanek?

- Nie. Po prostu zrozumiałam, że dobrze robisz. Z początku nie wiedziałam, że chodzi ci o to, żeby uniknąć skandalu, który na pewno by wybuchł, gdyby jedna kochanka uczestniczyła w pogrzebie drugiej. - Uniosła głowę i napotkała jego wzrok. - Już raz dostarczyłam ludziom powodu do plotek i spekulacji. Nie musisz się obawiać, że znowu narażę cię na upokorzenie.

Ramsey poczuł ściskanie w żołądku. To nie Kathryn go rozczarowała, tylko jego własne postępowanie. Osiągnął cel i wygonił ją ze Swanslea, ale zwy-

cięstwo nie dało mu satysfakcji. Przed oczami przesunęło mu się jego puste życie i nagle, o dziwo, zapragnął, żeby została.

- A co z Kitem? Jeśli stanie obok mnie przy trumnie, ludzie się nim zainteresują. Pomyślałaś, jak wyjaśnię jego obecność?

- Możesz wszystkim mówić, że to syn Bertranda Stafforda.

- Sądzisz, że ktokolwiek mi uwierzy? Zwłaszcza że Kit nie jest ani trochę podobny do Bertranda, za to jest niezwykle podobny do mnie?

- Więc powiedz prawdę.

- Żeby ludzie zaczęli nazywać go bękartem? Postradałaś rozum?

- Jest nieślubnym dzieckiem.

- I chcesz, żeby w ten sposób napiętnowali twojego syna?

Wren westchnęła.

- Oczywiście, że nie. Zwłaszcza ci złośliwi plotkarze, którzy uważają się za wyższe sfery. Ale nic się na to nie poradzi.

- Zostań z nami i weź udział w pogrzebie.

- Po co? - spytała Kathryn ze zdumieniem.

- Żeby bronić syna.

- Broniałam Kita od chwili, gdy pierwszy raz wzięłam go na ręce - oświadczyła z żarem.

Na twarzy Drew malował się całkowity spokój i determinacja.

- W takim razie nie sprawi ci trudności mówienie każdej osobie, która będzie miała czelność o to zapytać, że Kit jest mój.

- Że jest twoim dziedzicem?
- Nie. Moim synem.
- Oni wszyscy widzieli, jak... czekałeś na mnie przy ołtarzu. Londyńska śmietanka wie, że nie wzięliśmy ślubu.
- Kto jak kto, ale ty powinnaś wiedzieć, że nie trzeba brać ślubu, żeby mieć dziecko.
- Potrafią liczyć. My nie... my nigdy... Kit nie jest twoim synem.
- Powinien nim być - odparł Drew gwałtownie, wypowiadając na głos myśl, która dręczyła go, odkąd ujrzał chłopca. - Dla ludzi jest nasz i koniec.
- Pomyślał, że wyszłam za Bertranda, żeby dał mu nazwisko.
- A tak nie było? - Zrobił krok w jej stronę. - Mój ojciec uznał za stosowne powierzyć cię mojej opiece, a ja zamierzam spełnić jego wolę i przejąć cię wraz z resztą spadku.
- Oszalałeś!
- Serce Kathryn zaczęło się tłuc o żebra. Drew przyjeżdża do Swanslea Park, żeby ją usunąć z rodzinnej posiadłości, a teraz nagle oznajmia, że się nią zaopiekuje.
- Całkiem możliwe - przyznał, patrząc jej w oczy.
- Chcesz, żebym... .
- Chcę ciebie.
- Ale...
- Wiem, że to nie ma sensu. Dawno temu wyrzuciłem cię z mojej pamięci i serca. Przynajmniej tak sądziłem, widzę jednak, że się pomyliłem, czego dowiódł nasz pocałunek.



Wyciągnął rękę i delikatnie pogładził opuszkami jej policzek.

Jego dotyk spowodował, że Wren ogarnęło drżenie. Zapanowała nad sobą z wielkim trudem.

- Nie.

Drew przesunął palcem po jej ustach.

- Ja też nie jestem ci całkiem obojętny. - Dotknął kciukiem jej dolnej wargi. - Istnieje między nami silna więź. Zawsze istniała. Należałoby ją sprawdzić.

Kathryn popatrzyła na niego z ogniem w oczach.

- Nie mogę.

- Dlaczego? - Obdarzył ją zniewalającym uśmiechem. - Dlaczego nie chcesz zrobić tego ze mną?

Jego słowa przeszły ją niczym sztylet i zostawiły krwawiącą ranę. Odsunęła się gwałtownie.

- Przez ostatnie cztery lata błagałam Boga, żeby przebaczył mi krzywdę, którą ci wyrządziłam.

- Więc twoje modlitwy zostały wysłuchane.

- Błagałam Boga, a nie ciebie.

- Ale to ja zostałem skrzywdzony. Powinnaś modlić się o moje przebaczenie.

- Modliłam się. Miałam nadzieję, że kiedyś na nie zasłużę, ale nie za wszelką cenę.

- I dobrze, bo choć jestem gotów spróbować, nie wiem, czy zdołam ci wybaczyć i zapomnieć o przeszłości, jeśli mi ulegniesz.

- Zbyt wiele wydarzyło się między nami...

- Za mało. Widziałem setki młodych mężczyzn umierających w bitwach. Słyszałem ich modlitwy i ostatnie spowiedzi. Wiem, jaka to rzadkość otrzymać w życiu drugą szansę, dlatego swoją zamierzam

wykorzystać jak najlepiej. Będziesz dzielić ze mną łóżę, Kathryn. To tylko kwestia czasu.

- Przejmiesz spadek po ojcu?

- Nie chcę umrzeć, żałując, że nigdy się z tobą nie kochałem. - Przeniósł spojrzenie na jej pełne usta. - Nieważne, że przede mną był mój ojciec i Bertrand Stafford. Muszę cię posiadać.

- Sądziłam, że masz serce, ale najwyraźniej się myliłam.

- W takim razie pasujemy do siebie, bo to samo myślałem o tobie - odparował Drew i ruszył do wyjścia. Przy drzwiach obejrzał się przez ramię. - Nie jestem zaślepionym starcem, którego możesz owinąć sobie wokół palca. Nie zmienię postanowienia i nie nagnę się do twojej woli. Kiedyś, dawno temu, chciałem, żebyś została moją żoną. Teraz pragnę jedynie tego, co dałaś innym.

Wren spiorunowała go wzrokiem.

- Masz dwa tygodnie, żeby przywyknąć do tej myśli - dodał Andrew z uśmiechem.

## 9

Świat jest teatrem, aktorami ludzie,  
Którzy kolejno wchodzą i znikają.  
Każdy tam aktor nie jedną gra rolę.\*

William Szekspir, 1564-1616

Dwa tygodnie. Kathryn cicho zamknęła drzwi pokoju dziecięcego i zeszła po schodach do głównego holu. Minęła jadalnię i przeszła przez kuchnię na tył domu. Drew postawił jej ultimatum i dał dwa tygodnie na oswojenie się z myślą, że zostanie jego kochanką.

Z wieszaka stojącego przy drzwiach zdjęła czarną etolę, zarzuciła ją na ramiona i wyszła na wieczorny chłód. Żwirową ścieżką biegnącą przez ogrody ruszyła w stronę wdowiego domku.

Tego dnia Andrew Ramsey zachowywał się bardzo władczo. Wkrótce po jego wyjściu zjawił się lokaj w żałobnym stroju i "wręczył jej liścik skreślony charakterystycznym pismem Drew. Szesnasty markiz Templeston informował ją, że w czasie jego pobytu w Swanslea Park śniadania, obiady i kolacje

\*\*\*Przekład Leona Ulricha.

będą podawane o zwykłych porach, a on oczekuje jej obecności przy stole.

Podczas kąpienia Kita i układania go do snu Kathryn przeprosiła pannę Allerton, że przez jakiś czas nie będą wspólnie jadać posiłków w pokoju dziecięcym. Guwernantka, choć nieco rozczarowana, wcale nie była zaskoczona. Wiedziała, że tryb życia nieuchronnie ulega zmianie, gdy przyjeżdża pan domu. Tak samo działo się za poprzedniego gospodarza Swanslea Park.

Wren kopnęła kamyk leżący na ścieżce. Powiedziała Ally, że wprawdzie musi stosować się do wymagań nowego markiza Templeston, ale tylko dopóki nie przyjadą goście, czyli jakieś dwa tygodnie. Przez te dwa tygodnie miała przywyknąć do myśli, że zostanie kochanką Andrew Ramseya.

Drew najwyraźniej nie zamierzał jadać i sypiać samotnie. Pozwolił jej na ostatni wspólny 'wieczór z synem i przyjaciółką, ale z liściku wynikało, że następnego dnia powinna zjawić się w głównej jadalni.

Szła wzdłuż starannie przystrzyżonych bukszpanów, obok grządek z ziołami, ozdobnych krzewów i posągów. W blasku księżyca, który niedawno wszedł, zobaczyła kamienną ławkę stojącą pośrodku zielonego trawnika i otoczoną ze wszystkich stron przez krzaki róż. Usiadła na niej i głęboko odetchnęła aromatycznym powietrzem. Jej cienka suknia szybko nasiąkała rosą, ale Wren machnęła na to ręką. Do rana materiał wyschnie i nikt się nie zorientuje, że siedziała po nocy w ogrodzie różanym i dumiała o przyszłości.

W ciągu ostatnich czterech lat dziesiątki razy ma-

rzyła o dzieleniu łoża z Drew i wspólnych śniadaniach, ale chciała zostać jego żoną, a nie kochanką. Teraz jej pragnienie było bliskie spełnienia, ale musiałaby zrezygnować z romantycznych mrzonek i szacunku do siebie samej.

Zmarszczyła brwi. Już raz schowała głęboko dziewczęce rojenia i strzegła ich przed brutalną rzeczywistością, kiedy poślubiła mężczyznę, który mógłby być jej ojcem. Zawsze go lubiła i uważała za dobrego, starszego wujka, a kiedy świat się jej zawalił, Bertrand pospieszył na ratunek, proponując swoje nazwisko i opiekę. Wyszła za niego z wdzięcznością.

Ożenił się z nią, wędząc, że jej serce jest zajęte. Godził się na tyle uczucia, ile mogła mu dać. Do tej pory był kawalerem i nagle zaczęło mu się podobać, że może pokazać przyjacielom i kolegom ładną żonę. Stwierdził, że małżeństwo jest całkiem przyjemne.

W przeciwieństwie do niego Wren nie spotkała niespodzianka. Tak jak oczekiwała, czas jej płynął w otoczeniu podstarzałych akademików, zakurzonych stosów greckich i łacińskich książek oraz dziesiątków zasuszonych okazów flory i fauny. Życie małżeńskie było spokojne, ale raczej nudne dla młodej kobiety, którą kiedyś trzymał w ramionach i całował Drew Ramsey.

Kathryn westchnęła. Chcąc być dobrą żoną, została sekretarką, asystentką i gospodynią Bertranda. Gdy zachorował dziesięć miesięcy po ślubie, czuwała dniami i nocami u jego łoża, pielęgnując go troskliwie. Kiedy umarł, straciła wszystko. Dom, w któ-

rym mieszkali, stanowił dodatek do skromnej pensji w muzeum, więc musiała go zwolnić dla naukowca zatrudnionego na miejsce Bertranda.

Opuściła wzrok na czarną suknię. Po śmierci męża zrezygnowała z jasnych kolorów i przeprowadziła się z ojcem do wdowiego domku w Swanslea. Trzy lata później nadal tu mieszkała i nadal nosiła żałobę.

O niebiosa! Jakże miała dość czerni! Do tego stopnia, że w zeszłym roku zaczęła ozdabiać ją wymyślnymi wzorami. Godzinami malowała na bieliźnie i pończochach kolorowe rośliny i zwierzęta, misterne studia natury.

Lekko uniosła spódnicę. Obie kostki oplatały zielone winorośle i karmazynowe kwiaty w kształcie gwiazd. Na widok dzieła ożywiającego monotonię smutnego stroju wezbrał w niej cichy śmiech. Pod wpływem impulsu wstała, uniosła ręce nad głowę i zaczęła wirować po trawniku. Poruszając się w takt muzyki, którą tylko ona słyszała, wskoczyła na ławkę i wykonała wdzięczny piruet.

Raptem zaczęła się zastanawiać, co by powiedział Drew, gdyby zobaczył, jak tańczy w blasku księżyca niczym pogańska królowa. Zatrzymała się w pół obrotu. Jak zwykle kiedy myślała o Andrew, naszły ją wspomnienia, tym razem z balu u księżnej Kerry. Westchnęła głęboko, przypominając sobie, co czuła, gdy ukochany trzymał ją w ramionach i prowadził w tańcu po sali balowej, gdy uśmiechała się do niego i widziała uśmiech w jego ciemnobrązowych oczach. Dobrze pamiętała, jaki smutek ją ogarnął, kiedy musiała go pożegnać i wrócić z ciotką do domu.

Nagle zakłuło ją serce. Opadła na ławkę i podciągnęła kolana pod brodę. Jej ramiona zadrżały od tłumionego szlochu, kiedy wtuliła twarz w fałdy sukni i dała upust gorącym łzom. Wspomnienia sprawiały ból. Jeszcze niedawno oddałaby wszystko, żeby znowu napotkać jego ciepłe spojrzenie, znaleźć się w jego objęciach. Oddałaby wszystko, żeby poczuć się uwielbianą. Dlaczego więc teraz myśl, że ma zostać jego kochanką, budziła w niej sprzeciw? Czyżby się bała, że nie będzie darzona taką samą miłością jak żona? Drew jej pożałował, ale nie kochał. To tylko jego zraniona duma domagała się zadośćuczynienia.

A czego ona pragnęła? Nie musiała długo szukać odpowiedzi. Pragnęła miłości. I poczucia bezpieczeństwa. Chciała, żeby Drew patrzył na nią z uczuciem, żeby dał jej schronienie w swoich ramionach i miejsce w sercu. Potrząsnęła głową, odpędzając głupie myśli. Domagała się jedynej rzeczy, której nie mógł jej dać, po tym, jak go zawiodła.

Zmarszczyła brwi. Dlaczego nie potrafi wyzbyć się płonnych marzeń? Dlaczego nie przyjmie jego ultimatum? Lepiej mu ulec, niż z nim walczyć. Poza tym wszystko jest lepsze niż samotność.

Już nie była niedoświadczoną dziewczyną. Miała dziecko. Wiedziała, czego się spodziewać. Dlaczego więc nie pójść do niego od razu? Ponieważ jej szczęście przyćmiłaby świadomość, że utraciła resztkę niewinności.

Opuściła kolana i wytarła łzy rąbkiem sukni. Płacz wcale jej nie pomógł. Czuła się jeszcze gorzej,

a w dodatku rozboleła ją głowa. Miała suche gardło, spuchnięte oczy i czerwony nos.

Nagle doleciał ją znajomy Zapach, a w głębi ogrodu dostrzegła mały pomarańczowy ogienek. Nie widziała Drew, ale domyśliła się, że stoi w altanie pośrodku labiryntu i pali cygaro.

Przez długą chwilę wpatrywała się w ciemność. Zastanawiała się, czy ją zauważył i dlaczego nie ujawnił swojej obecności. A może właśnie to zrobił? Wstała z ławki i stwierdziła, że ognek zniknął. Rozprostowała plecy i wzięła głęboki oddech. W powietrzu nadal unosiła się słaba woń dymu. Wciągnęła ją w płuca i ruszyła do wdowiego domku. W głowie miała jeszcze większy zamęt niż do tej pory.

Drew szybko opuścił rękę i ukrył cygaro w dłoni, wyzywając się od głupców. Kathryn zobaczyła pomarańczowy błysk i na pewno zorientowała się, że jest obserwowana. Nie byłaby zadowolona, że widział jej radosny taniec, a potem wybuch żalu, że szpiegował ją w najbardziej intymnych momentach. Nigdy by mu tego nie wybaczyła.

Usłyszał jej ciche westchnienie, a po nim odgłos kroków i chrzęst żwiru niknący w oddali. Chciał za nią pójść, upewnić się, że bezpiecznie dotarła do domu.

Został jednak w altance jeszcze długo po jej odejściu, walcząc z pokusą, żeby za nią pobiec i błagać o to, na co czekał tyle lat. Zgasił cygaro i wyciągnął nogi przed siebie. Siedział bez ruchu, póki wilgoć i chłód nie zmusiły go do powrotu. Poszedł prosto do gabinetu ojca, nalał sobie dużą



brandy i usiadł przy kominku w głębokim skórzanym fotelu.

Kathryn miała rację. Chyba postradał rozum. Nie umiał inaczej wyjaśnić swojego dziwnego zachowania. Gdy tylko ją pocałował, zapomniał o całym cierpieniu, jakby nigdy go nie doświadczył. Zapomniał o całym świecie. Istniała tylko ona, jej usta i ciało.

Rzeczywiście oszalał. Czyż sam jej nie oświadczył, że nie widzi powodu, by gościć w Swanslea Park cudzą kochankę? Czy nie zażądał, żeby się wyniosła? Dlaczego więc raptem ją poprosił, żeby włożyła czarny welon i stanęła przy nim na pogrzebie jego ojca? Dlaczego ją uprzedził, by przywykła do myśli, że będzie dzielić z nim łóżko?

Bo jej pożałował. Odetchnął głęboko. Tak, to było aż takie proste i jednocześnie skomplikowane. Pragnął jej przed ślubem, który nie doszedł do skutku, i później. Pragnął od chwili, gdy pierwszy raz ją ujrzał, i lata rozstania nie ugasiły tej żądzy.

Fakt, że była kochanką jego ojca, powinien budzić w nim wstręt. I budził, do diaska! Aż ścisnęło mu trzewia. Lecz gdyby Kathryn nie uległa markizowi Templeston, nie urodziłby się Kit. A poznawszy przyrodniego brata, nie wyobrażał sobie, że mogłoby go nie być. Powinna zniechęcać go świadomość, że Kathryn również opłakuje jego ojca, ale duma, poczucie godności i rozsądek przegrywały w walce z dużo silniejszym przeciwnikiem: pożądaniem.

Pragnął jej nawet w żałobie i zamierzał pojąć. W tym wypadku najwyraźniej nie miał sumienia i wstydu.

Spojrzał na pusty kieliszek i zmarszczył brwi. Dał jej dwa tygodnie, a przez ten czas zamierzał ją uwodzić. Wstał z fotela, podszedł do barku i nalał sobie drugą porcję brandy. Już słyszał szydercze uwagi. Zdawał sobie sprawę, że nie będzie końca plotkom, gdy ludzie odkryją, że związał się z kobietą, która przed czterema laty wystawiła go na pośmiewisko. I Z góry się bał, co powie Julian St Jacques.

Postawił kieliszek na stoliku, zdjął fular i rozpiął kołnierzyk koszuli. Opadł na fotel, wyciągnął przed siebie nogi w długich lśniących butach i zapatrzył się w niebiesko-pomarańczowe płomienie. Podczas gdy wszyscy zaczęli szeptać za plecami nowego markiza i wątpić w jego poczytalność, najlepszy przyjaciel wprost nazwie go idiotą.

I nic dziwnego. Julian nie zawaha się przed wygarnięciem mu prawdy w oczy, nie będzie się bawił w uprzejmości i ukrywał dezaprobaty. Przyjaźń, która połączyła ich w dzieciństwie, umocniła się w szkole i na uniwersytecie, przetrwała ekscesy młodości i liczne miłostki, stała się nierozzerwalna podczas wojny, w obliczu śmierci i zniszczenia.

Ramsey uniósł kieliszek, powąchał trunek, zakręcił nim i pociągnął solidny haust. Razem z Julianem przeżywali triumfy i tragedie. Zbyt wiele tragedii. Najpierw umarła matka Drew i dziecko, które nosiła w łonie, potem dziesiątkami ginęli w bitwach ich podwładni, a teraz przedwcześnie odszedł ojciec.

Andrew westchnął. Wkrótce dojdzie jeszcze jedna śmierć. Nie potrafił sobie wyobrazić życia bez Juliana, ale wątpił, czy przyjaciel dożyje następn-

go lata. Po Waterloo chirurg polowy wydobyl część kul, lecz ani on, ani lekarze w kraju nie byli w stanie usunąć całego śrutu i wyleczyć wszystkich ran. St Jacque powoli dogorywał.

Ich więź ocalała mimo wielu prób, łącznie z jego narzeczeństwem i niedoszłym ślubem. Gdy Kathryn nie pojawiła się w kościele, Julian namawiał go, żeby o niej zapomniał. Lecz on ją kochał i chciał się dowiedzieć, dlaczego go porzuciła. Kiedy odmówiła spotkania, wysłał w swoim imieniu przyjaciela, ale jemu wcale nie poszło lepiej. Panna Markinson nie chciała się widzieć z żadnym z nich.

Tydzień później Andrew Ramsey wstąpił do armii Wellingtona, żeby wziąć udział w walce przeciwko Napoleonowi. St Jacque poszedł w jego ślady i przez większą część kampanii pocieszał Drew, że bardzo dobrze się stało, że uniknął małżeństwa z pozbawioną serca córką sir Wesleya Markinsona.

Po bitwie pod Waterloo Drew poświęcił całą energię i spory majątek na leczenie Juliana i starannie unikał poruszania wszelkich tematów, które mogłyby go zdenerwować. Do boju szedł z obrazem Kathryn w pamięci, ale przez ponad cztery lata nie wypowiedział na głos jej imienia.

Uśmiechnął się krzywo, gdy wyobraził sobie nieuniknioną reakcję przyjaciela na wieść, że w ciągu jednego dnia ponownie uległ czarowi dawnej narzeczonej.

Nie było najmniejszych wątpliwości, że szesnasty markiz Templeston jest skończonym głupcem. Głupcem, który nade wszystko chciał cofnąć wska-

zówki zegara. Wrócić do tamtego krótkiego okresu po Kongresie Wiedeńskim, a przed Stoma Dniami Napoleona, kiedy poznał pannę Markinson i zaczął się starać o jej rękę. Życie wydawało mu się pełne obietnic, zanim narzeczona zostawiła go przed ołtarzem, zanim wybuchł skandal, zanim on sam uciekł do Belgii, żeby w walce zagłuszyć ból serca, zanim jego ojciec został kochankiem Kathryn.

Nieraz rozmyślał o tym, co by było, gdyby przypadkiem znowu ją spotkał. Teraz już wiedział. Wychylił resztkę brandy i zgasił lampy. Jeszcze długo siedział w ciemności, rozświetlanej jedynie przez żar tłący się w kominku.

Pocałował ją i czas się zatrzymał.

Znalazł odpowiedź na pytanie, które dręczyło go przez ostatnie cztery lata. Teraz z kolei zastanawiał się, czy Kathryn przyjmie jego ultimatum i jak on rano przy śniadaniu spojrzy jej w oczy.

## 10

Kiedy popatrzę ci w oczy,  
Mój ból się w radość przeistoczy,  
A gdy twe usta pocałuję,  
Zaraz się uzdrowiony czuję.\*

Heinrich Heine, 1797-1856

Personel od wczesnego rana sprzątał dom i czynił przygotowania do pogrzebu. Nim markiz pojawił się w jadalni, służba zatrzymała zegary, zasłoniła lustra i udrapowała w oknach żałobne kiry. W drzwiach Andrew omal nie zderzył się z pokojówką niosącą belę czarnej krepy.

Minął kredens, na którym stały tace ze smakowicie pachnącym jedzeniem, podszedł do okien i zasunął ciężkie aksamitne story, odcinając dopływ światła porannego słońca. Dopiero wtedy usiadł przy stole i nalał sobie kawy ze srebrnego dzbanka.

Sięgnął po złożoną gazetę i zerknąwszy na nagłówki, stwierdził, że pochodzi sprzed tygodnia. Czytał ją w Londynie, ale mimo to zaczął przeglądać strony.

\*Przekład Jerzego Płudowskiego.

- Dzień dobry, milordzie. Pozwoliłem sobie nałożyć panu śniadanie.

Kamerdyner postawił przed nim talerz z jajecznicą i dwoma suchymi tostami.

Drew machnął ręką.

- Czekam na panią Stafford. Poślij kogoś na górę, Newberry.

- Pani Stafford już jadła, milordzie.

- Miała mi towarzyszyć przy porannym posiłku.

- Pani Stafford wcześniej wstaje, milordzie. Długo na pana czekała, aż w końcu zjadła śniadanie w pokoju dziecięcym razem z paniczem Kitem i guwernantką, a potem wróciła do wdowiego domku, do pracy.

- W takim razie złożę jej wizytę.

Dopił kawę, ale jajecznicę zostawił nietkniętą.

- Panny Wren nie ma w domku, milordzie. Szki-cuje w lesie.

- Wiesz, gdzie?

- Nie, milordzie, ale prosiła mnie, żebym w południe kazał podstawić bryczkę dla panny Allerton i panicza Kita i wysłał wraz z koszem z lunchem do zagajnika przy strumieniu, niedaleko młyna.

- Czy powóz już jest przygotowany?

- Nie, milordzie.

- To dobrze, bo nastąpiła zmiana planów. Ja zawiozę lunch pani Stafford.

Andrew skrzywił się i na chwilę zamknął oczy.

- Panicz Kit będzie bardzo rozczarowany, milordzie.

- Później mu to wynagrodzę - powiedział Drew i dodał pod nosem: - Jeśli tak długo pożyję.

Kamerdyner zmierzył go wzrokiem.

- Smacznego, milordzie.

- Dziękuję, Newberry, ale dzisiaj nie będę jadł śniadania.

- Rozumiem. Coś jeszcze, milordzie?

Drew już miał potrząsnąć głową, ale w porę się rozmyślił.

- Na razie nic.

- Jak pan sobie życzy, milordzie.

Newberry uklonił się i cicho wyszedł z pokoju. Kilka minut później zjawił się z małą tacą, na której stał cynowy kubek. Postawił go przed markizem i zabrał pustą filiżankę.

- Co to jest? - zapytał Ramsey, nie podnosząc wzroku znad prasy.

- Grzane mleko z korzeniami, na pańskie dolegliwości, milordzie - wyjaśnił kamerdyner, podchodząc do okna i rozsuwając story.

- Nie! - krzyknął Drew i uniósł gazetę, żeby zasłonić twarz przed jaskrawym światłem.

Niestety było za późno. Promień słońca przeszył mu oczy i wbił się prosto w obolały mózg.

- Przepraszam, milordzie. - Newberry wrócił do stołu, delikatnie wyjął gazetę z rąk markiza i podsunął mu kubek. - Od razu poczuje się pan lepiej.

Andrew ostrożnie powąchał parujący napój.

- Co wchodzi w skład tej mikstury?

Kamerdyner zignorował jego pytanie.

- Radzę wypić ją duszkiem, milordzie.

Ramsey spróbował łyk i omal się nie Zakrztusił.

- Tego się nie da przełknąć.

- Pan pozwoli, milordzie. - Newberry zatkał mu nos jedną ręką, a drugą przystawił kubek do ust. - No, zaraz panu pomoże.

- Nie byłbym tego taki pewien - burknął Drew tonem rozdrażnionego dziecka.

Sługa niemal się uśmiechnął.

- Proszę mi zaufać, milordzie.

- Dlaczego?

- Pański ojciec ufał. Mój wywar zawsze stawił go na nogi.

- Markiz pił ten diabelski dekokt?

George Ramsey zwykle prosił o wino do obiadu, po obiedzie delektował się porto i od czasu do czasu pozwalał sobie na kieliszek brandy do cygara, ale Drew nigdy nie widział, żeby ojciec nadużył alkoholu.

- Po śmierci markizy prawie codziennie przez dwa lata. Nie mógł zasnąć, więc zamykał się w swoim gabinecie i co noc upijał do nieprzytomności. Kiedy wrócił do Londynu, pojechałem razem z nim i nauczyłem tamtejszego kucharza, pana Chapella, przygotowywać leczniczy napój.

- Nie miałem o tym pojęcia.

- Oczywiście. Człowiek na takim stanowisku nie mógł dopuścić do tego, żeby alkohol przeszkadzał mu w pracy.

Drew się zamyślił.

- Od jak dawna tu jesteś, Newberry?

- Następnej wiosny minie ćwierć wieku, sir - odparł z dumą kamerdyner.

- Służąc mojemu ojcu przez dwadzieścia pięć lat, musiałeś dobrze poznać.



- Lubię tak myśleć.

- Jakim był człowiekiem?

Newberry uniósł brew.

- Milordzie?

Drew nie zdołał powstrzymać uśmiechu.

- Wiem, jak się spisywał w roli ojca, lecz nie znałem go jako człowieka albo pracodawcy. Patrzyłem na niego oczami syna, nawet kiedy dorosłem.

- Dobrym, mądrym, uczciwym, lojalnym wobec rodziny i przyjaciół, wiernym pamięci swojej ukochanej żony - wyrecytował kamerdyner z wielkim przekonaniem.

- Dobry, uczciwy człowiek z wieloma kochankami. Ile z nich przedstawił w Swanslea Park?

- Żadnej, milordzie.

- Z wyjątkiem pani Stafford.

Newberry bez słowa potrząsnął głową.

- A panicz Kit?

- To syn lorda Templestona.

- Więc kim dla mojego ojca była pani Stafford?

- Jest matką panicza Kita. Gdy chłopiec się urodził, lord Templeston chciał oddać pannie Wren apartament markizy, ale ona odrzuciła propozycję i została we wdowim domku razem z synem. Kiedy markiz postanowił umieścić panicza Kita w rezydencji, panna Wren spała w pokoju dziecięcym, póki nie zjawiła się panna Allerton. Wtedy pani Stafford wyprowadziła się z powrotem do domku. Nie próbowała zająć miejsca pańskiej matki ani w tym domu, ani w sercu pańskiego ojca. Kiedy markiza umarła, lord Templeston wyniósł się ze wspólnej sy-

pialni. Kazał ją na nowo umeblować i wraz z sąsiednim pokojem przygotować dla pana i pańskiej żony; apartament dla nowożeńców stał pusty aż do pańskiego przyjazdu. A zachowanie panny Wren zawsze było nienaganne. Ona jest prawdziwą damą. - W głosie sługi brzmiał szczerzy podziw.

Uwagi Drew nie umknęło, że mówiąc o Kathryn, kamerdyner używa jej przydomku.

- Kiedyś nią była - powiedział cicho.

Kiedyś była moją damą.

- Pański ojciec doskonale potrafił ocenić czyjś charakter. Zawsze sądziłem, że pan również posiada ten dar.

Przed domem już czekała bryczka zaprzęzona w kucyka, osiodłany wierzchowiec był przywiązany z tyłu, kosz z lunchem stał na siedzeniu. Ramsey chwycił wodze i szybko ruszył podjazdem. Ból głowy rzeczywiście ustąpił, ale cierpka uwaga kamerdynera nadal dźwięczała mu w uszach. Minęło dwadzieścia lat od chwili, kiedy sługa ostatni raz go skarcił, ale Drew odczuł jego naganę równie boleśnie, jak wtedy, gdy został przyłapany na wykradaniu słodyczy z kuchni.

Cmoknął na kucyka i skręcił w stronę młyna. Aż do dzisiaj Newberry sądził, że nowy markiz odziedziczył po ojcu dar oceniania ludzi. Drew prychnął z lekceważeniem. On sam zaczął weń wątpić, kiedy Kathryn Markinson zostawiła go czekającego przy ołtarzu. Wcześniej był przekonany, że jest doskonałym sędzią charakterów, o czym świadczyła jego

pozycja w Ministerstwie Spraw Wojskowych oraz dobór przyjaciół. Ludzie powierzali mu swoje życie, a Drew nie miał wątpliwości, że zasługuje na ich zaufanie... aż do tamtego feralnego dnia.

Newberry mógł uważać inaczej, ale doświadczenie z Kathryn nauczyło Andrew, że źle osądził ją za pierwszym razem. Na szczęście wyciągnął z tego błędu naukę i nie zamierzał więcej go powtórzyć. Uznał, że co najwyżej słabo się zna na kobietach. Dla każdego, kto zadałby sobie trud spojrzenia w jego przeszłość, byłoby jasne, że gdyby umiał oceniać ludzi tak jak ojciec, przede wszystkim nie zakochałby się w Kathryn Markinson. Później, w dniu swojego ślubu, nie stałby sam przed ołtarzem i nie zrobił z siebie głupca.

Gdy wjechał na ostatnie wzniesienie, dostrzegł Kathryn siedzącą na kocu z grubym szkicownikiem na kolanach. Kiedy usłyszała turkot kół, podniosła wzrok i pomachała ręką, ale na jego widok powitalny uśmiech zamarł na jej wargach.

- Co tu robisz? - Zamknęła blok do rysowania i odłożyła go na bok, ale nie wstała.

- Przywiozłem ci lunch.

Ramsey zatrzymał bryczkę i sięgnął po koszyk piknikowy.

- Panna Allerton i Kit mieli go przywieźć.

- Nastąpiła zmiana planów. Postanowiłem ich wyręczyć.

Odwiązał swojego konia i puścił go wolno na trawę, a następnie usiadł na kocu obok Kathryn.

- Wolałabym zjeść lunch z Kitem i Ally.

- Też tak sobie pomyślałem, ale mimo wszystko przyjechałem.

Spiorunowała go wzrokiem.

- Sam zdecydowałeś, prawda, milordzie?

Drew zignorował sarkastyczny komentarz i przyjrzał się jej uważnie. Kathryn wyglądała źle. Twarz miała bladą i ściągniętą, oczy przekrwione i podpuchnięte, nos czerwony i błyszczący. Było widać, że płakała całą noc. Przemknęło mu przez myśl, że to on jest odpowiedzialny za jej stan, przynajmniej częściowo, ale nie mógł pozwolić, żeby poczucie winy zrobiło rysę na zbroi, którą przywdział. Nie mógł dopuścić do tego, żeby Kathryn prześliznęła się przez jego mur obronny, żeby po raz drugi wzięła w oblężenie jego serce i duszę, bo wiedział, że nie przeżyłby kolejnego rozczarowania.

- Kit i Ally czekali na nasz piknik, chyba ostatni przed pogrzebem, a ty wszystko zepsułeś. Na pewno są tak samo rozczarowani twoją decyzją jak ja.

- Wynagrodzę im zawód.

- Naprawdę? Jak?

- Obiecałem Kitowi, że nauczę go jeździć konno.

- W stajni nie znajdziesz dla niego odpowiedniego wierzchowca. - Wskazała na czarnego kucyka zaprzęzonego do bryczki. - Dales nie jest przyuczony do siodła.

- Wiem, co mam w stajniach.

- Więc złożyłeś Kitowi obietnicę, której nie możesz dotrzymać.

Drew zamknął oczy i policzył w myślach do dziesięciu.

- Zawsze dotrzymuję obietnic. Już wysłałem koniusza do wioski po kuce, żeby Kit mógł wybrać sobie tego, który najbardziej mu się spodoba.

- A co z panną Allerton? Jej również zamierzasz kupić kucyka?

Wren nie umiała powstrzymać się od kąśliwości. Była zła, że Andrew Ramsey widzi ją w takim stanie. Drażnił ją wyraz nagany w jego oczach. Nie podobało się jej, że markiz jest w stanie decydować o jej przyszłości, a w dodatku uważa, że ma do tego prawo. A najbardziej dokuczała świadomość, że już jej nie kocha.

Zachowanie dystansu, gdy rzucał niemiłe uwagi, groźby i oskarżenia albo stawiał ultimatum, było dostatecznie trudne, natomiast trzymanie się od niego w bezpiecznej odległości, kiedy wyciągał rękę do zgody i okazywał wspaniałośćomyślność, wydawało się prawie niemożliwe.

Drew przygryzł dolną wargę, żeby się nie roześmiać.

- Zazdrosna?

- Oczywiście, że nie!

- Więc powinno cię ucieszyć, że istotnie coś obiecałem pannie Allerton.

Wren zaniemówiła.

- Kiedyś jej ojciec, lord Rushfield, hodował jedne z najlepszych koni w Anglii. Niestety za bardzo lubił grę w kości i w rezultacie musiał sprzedać stajnię, żeby popłacić długi. - Sięgnął po koszyk. - Szkoda, że nie widziałas twarzy panny Allerton, kiedy wspomniałem o swoich zamiarach wobec Ki-

ta. Była równie podniecona, jak on. Dopiero po chwili wykrztusiła, że jeszcze nie zaczął brać lekcji.

Kathryn próbowała zlekceważyć nutę krytyki w jego głosie, ale bez powodzenia.

- Rozumiem.

- Wątpię. Bo wtedy byś wiedziała, że pannie Alerton bardzo brakowało jazdy konnej. Powiedziałem, że może korzystać z moich wierzchowców, i zaprosiłem ją na poranne przejażdżki.

- Tylko na przejażdżki? - wyrwało się Wren.

Drew parsknął śmiechem.

- Powiedz mi, Kathryn, czy zawsze rano jesteś w złym humorze, czy to coś wyjątkowego?

- Nie spałam dobrze.

- Nie służy ci rzeńskie nocne powietrze?

- Dobrze wiesz. Przecież byłeś w ogrodzie.

- Domyślałam się, że wyczułaś moją obecność.

- Owszem. Węchem.

Markiz uniósł brew.

- Naprawdę?

- Palisz cygara o bardzo charakterystycznym zapachu.

- A ty masz bardzo dobre powonienie.

Czule przesunął palcem po jej zaczerwienionym nosie. Wren cofnęła się gwałtownie.

- Przekupiłeś mojego syna i jego guwernantkę, żeby przywieźć mi obiad. Doceniam twoje poświęcenie, ale wiem, że jesteś bardzo zajęтым człowiekiem, więc nie zatrzymuję cię dłużej.

Ramsey się uśmiechnął.

- Nie dostałaś mojego listu? - Otworzył kosz

i zaczął wypakowywać kryształ, porcelanę i sztuce. - Nie rozumiałaś, że od tej pory będziemy do-  
trzymywać sobie towarzystwa w czasie posiłków?

- Poinformowałeś mnie, że oczekujesz mojej  
obecności przy stole podczas śniadań, obiadów  
i kolacji - sprostowała. - Nic nie wspomniałeś o lun-  
chach.

- Dziś rano nie raczyłaś zjawić się w jadalni. Są-  
dziłem więc, że będziesz mi wdzięczna za umożli-  
wienie ci rehabilitacji.

- To nie ja powinnam się zrehabilitować. Czeka-  
łam na ciebie ponad godzinę.

- Wiem - powiedział z rozbijającą uczciwością.  
- Przepraszam, ale zasnęłam. Po twoim odejściu  
jeszcze chwilę posiedziały w ogrodzie, kończąc  
cygaro. Potem wróciłem do domu i resztę długiej  
nocy spędziłem w skórzanym fotelu w gabinecie oj-  
ca. Przy okazji wysuszyłem butelkę doskonałej  
francuskiej brandy. Zasnęłam dopiero o świcie.

Po wargach Kathryn przemknął lekki uśmiech.

- Przynajmniej jednemu z nas udało się choć tro-  
chę pospać. - Ukradkowym gestem poprawiła włosy. - Pewnie wyglądam okropnie.

Drew potrząsnął głową.

- Nie dla mnie.

Wyjął jedzenie z koszyka i odkorkował butelkę  
wina. Nałożył na talerz pół pieczonej dzikiej kac-  
ki, kawałek sera, kromkę świeżego chleba oraz doj-  
rzałą, soczystą gruszkę.

Poruszona ciepłem w jego oczach i czułością  
w głosie Kathryn sięgnęła po inny talerz, żeby po-

kryć zmieszanie, i w lśniącej powierzchni ujrzała swoje odbicie. Zmarszczyła brwi.

- Pochlebiasz mi.

Drew wziął od niej naczynie, przygotował jej taką samą porcję jak sobie, po czym nalał obojgu wina.

- Powinnaś wiedzieć, że uciekanie się do pochlebstw nie należy do moich wad.

Wren położyła pełny talerz na kolanach.

- Większość ludzi uważa umiejętność pochlebiania za zaletę, a nie za wadę.

- Nieszczerość nie jest zaletą.

- Do wczoraj nie przypuszczałam, że w ogóle masz jakieś wady.

Skubnęła mięsa i popiła je łykiem wina.

- Wszyscy je mają. Nie gram w karty ani nie piję w nadmiarze jak niektóre ze znanych mi osób, ale przyznam, że lubię piękne konie, drogie cygara i kosztowną brandy. Nie jestem również utracjuszem z natury. Po powrocie z wojny stwierdziłem, że cieszę mnie wygody. Buzujący kominek, delikatna pościel, miękkie materace, dobrze skrojone ubrania i najlepsze skórzane buty, jakie można dostać.

Kathryn milczała przez chwilę.

- Może to dziwne, ale nie pamiętam żadnych twoich wad, tylko same zalety.

Ramsey jednym haustem wychylił szklaneczkę i dolał sobie wina.

- Bo przy tobie zawsze starałem się dobrze zachowywać.

- Ja również. Zastanawiające, że po tym wszystkim, co nas łączyło, okazuje się, że tak naprawdę



wcale się nie znaliśmy. Jak mogliśmy myśleć, że uda się nam wspólnie przeżyć całe życie?

- Byliśmy zakochani.

Jego ciche słowa trafiły ją prosto w serce.

- Raczej ja byłem zakochany w tobie. - Drew wytrzymał jej wzrok. - Wierzyłem, że ty czujesz to samo.

- Czułam.

- Więc dlaczego tak się skończyło?

Wren pochyliła głowę.

- Dzisiaj przy śniadaniu czekałabym dłużej, ale służba zaczęła wieszać kiry i zatrzymywać zegary - szepnęła. - Musiałam wyjść. Nie mogłam tego znieść.

- Wiem. Ja też.

- Nie potrafię uwierzyć, że on nie żyje.

- Ja też.

Kathryn podniosła oczy.

- To niemożliwe, że już nigdy go nie zobaczę.

- Widzę, że kochałaś mojego ojca równie mocno, jak ja.

- Może nawet bardziej.

Drew zmarszczył brwi.

- Jak mogłabym go nie kochać? Dał mi syna.

- Dlaczego cię nie poślubił, żeby syn pochodził z prawego łóża?

- Nie mógł.

- Oczywiście, że mógł.

- Nigdy nie przestał kochać twojej matki. Przy łóżu śmierci złożył jej przysięgę. - Uśmiechnęła się ze smutkiem. - George zawsze dotrzymywał obietnic, podobnie jak ty.

- Co obiecał?

- Że nikt nie zajmie jej miejsca. Przyrzekł, że nigdy się nie ożeni i nie uczyni innej kobiety markizą Templeston, nie pozwoli, żeby inne dzieci miały pierwszeństwo przed jej synem.

Drew głośno wciągnął powietrze.

- Chryste! Słyszałaś to od niego?

Wren potrząsnęła głową.

- O ile się orientuję, powiedział to tylko jednej osobie.

- Więc skąd o tym wiesz?

- Zwierzył się mojemu ojcu. W ten sposób chyba go przepraszał, że nie zaproponował mi małżeństwa.

- Powinien był cię poślubić.

- Nigdy nie chciałam zostać markizą - powiedziała z wymuszonym uśmiechem.

Tylko hrabiną.

- Ale ty i Kit...

- Staliśmy się częścią twojego życia, czy ci się to podoba, czy nie.

Drew uniósł szklaneczkę i spojrzał jej w oczy.

- Za życie. Miejmy nadzieję, że kiedyś nauczymy się, jak przeżyć je najlepiej.

Wren spełniła toast. Wyglądało na to, że zaczyna coraz lepiej się rozumieć.

## 11

Żadne inne uczucie tak skutecznie nie pozbawia umysłu wszelkiej zdolności rozumowania i działania jak strach.

Edmund Burke, 1729-1797

Wren obudziła się nagle i stwierdziła, że leży na kocu, z głową opartą o umięśnione udo w płowozółtych bryczesach. Przesunęła wzrok niej i zobaczyła lśniąca czarne buty ze skóry, obejmujące nogę aż do kolana. Serce zadudniło jej w piersi, krew zaszumiała w uszach. Usiadła gwałtownie.

- Spokojnie, Kathryn. Wszystko w porządku.

Głos był ciepły i kojący, podobnie jak dotyk ręki na jej włosach. Wren odprężyła się i uśmiechnęła.

- Co się stało?

Drew ogarnęła nieprzewarto ochoto, żeby ją pocałować. Nachylił się tak nisko, że poczuł na ustach jej oddech, i znieruchomiał, czekając na zachętę. Lecz Kathryn najwyraźniej nie przejrzała jego zamiarów, więc się wyprostował.

- Byłaś zmęczona. Zasnęłaś.

- Jak długo spałam? - Miała tak suche gardło, że własny głos zabrzmiał obco w jej uszach.

Markiz spojrział na słońce.

- Godzinę.

Nadal rozleniwiona Wren zasłoniła oczy przedramieniem i jęknęła cicho.

- Zupełnie tego nie rozumiem.

- Nie chciałybym myśleć, że znużyło cię moje towarzystwo - powiedział Drew cierpko. - Ale prawdopodobnie tak podziałał trunek. - Przeciągnął się i ziewnął. - Nie musisz się wstydzić. Zjedliśmy lunch, wypiliśmy butelkę wina i mamy za sobą nieprzespaną noc. Nic dziwnego, że się zdrzemnęłaś. Mnie też korciło, żeby wyciągnąć się obok ciebie.

- Dlaczego tego nie zrobiłeś? - Samą siebie zaskoczyła tym pytaniem.

- A kto by nad tobą czuwał i strzegł cię przed sforami ogarów i ich właścicieli?

- Margo została w domu, a ja nie czuję się tu zagrożona.

- No, nie wiem. - Jego głos był niski i zachrypnięty. - Margo stanowi ogromną pokusę dla ogarów, natomiast ty, w takiej pozycji, byłabyś jeszcze większą dla myśliwych.

Wyciągnął rękę i nasunął jej suknię na łydki, zakrywając purpurowe kwiatki i kolorowe motyle namalowane na jasnozielonych pędach winorośli, które wiły się wokół jej kostek. Już same pończochy przyciągały uwagę. Zobaczył je przypadkiem, gdy Kathryn obróciła się we śnie. Zamierzał jedynie poprawić zadartą spódnicę i halki, ale niechcący odsłonił ukryty wzór.

Wren zeszywniała. Tembr jego głosu i wyraz twarzy wzbudziły jej czujność. Uklękała, zaczęła spieszenie zbierać przybory do rysowania i chować je do plecaka. Drew wprawdzie zachował się jak dżentelmen, ale nie powinna zasypiać jak kamień pod gołym niebem, z dala od domu.

- Nie pomyślałam o myśliwych. - Rozejrzała się spłoszona. - Zawsze czułam się tutaj bezpiecznie, ale teraz...

Gdyby nie on, byłaby sama i bezbronna, całkowicie zdana na łaskę osób, które znalazłyby się w pobliżu. Sięgnęła po szkicownik, ale Drew przytrzymał jej dłoń.

- Nie ma powodu do strachu. Przy mnie nie groziło ci żadne niebezpieczeństwo.

Wren zadrżała. Strzegł jej przed intruzami, ale kto obroniłby ją przed Andrew Ramseyem? Kto śmiałby powstrzymać markiza przed spełnieniem zachcianki?

Drew westchnął z irytacją. Kiedy patrzyła na niego tymi przenikliwymi szarozielonymi oczami, odnosił wrażenie, że zagląda mu prosto w duszę.

- Spałaś. Nie widziałem nic złego w tym, że...

Ale zobaczył wzory namalowane na pończochach i nie mógł zapomnieć o delikatnych rysach małej niebieskookiej nimfy, która zerkała zza purpurowego kwiatu zdobiącego wewnętrzną stronę uda Wren, tuż poniżej podwiązki. Te barwne obrazki stanowiły przeciwieństwo precyzyjnych rysunków, którymi ilustrowała *Brytyjską faunę i florę*, oraz akwarel zamówionych przez Muzeum Brytyjskie. Prace przegna-

czone do publikacji były wiernym i drobiazgowym odwzorowaniem natury, zaś prywatne dzieła sztuki ukazywały królestwo fantazji, gdzie w ogrodach kwiatowych zmienionych w tropikalną dżunglę hasały drzewne nimfy, rusałki, elfy, boginki i chochliki.

- W porządku! Przepraszam. Rzeczywiście nie było to dżentelmeńskie zachowanie, ale skorzystałem z okazji...

Kathryn wyrwała rękę z uścisku i odsunęła się na brzeg koca, najdalej od niego, jak to możliwe. Patrzyła na niego oczami wielkimi jak spodki, Ramsey dostrzegł w nich strach i aż miał ochotę sprawdzić, czy raptem nie wyrosły mu rogi i ogon. Podobny wyraz widywał nieraz na twarzach żołnierzy idących do bitwy, ale nigdy u kobiety i to w czasie pokoju.

Od razu się zorientował, co Kathryn zamierza. Ukląkł błyskawicznie i próbował chwycić za brzeg jej sukni, ale w dłoni został mu czarny półbut.

Wren natychmiast zrezygnowała z ucieczki i zdecydowała się na walkę. Jej lęk w mgnieniu oka przerodził się w determinację.

- Oddaj mi but - rozkazała chłodnym tonem.

Drew wstał i ostrożnie spełnił jej polecenie, choć nie była uzbrojona. Wren wyrwała mu zgubę z ręki.

- Co mi zrobiłeś?

- Nic.

- Więc za co przepraszałeś?

- Za to, że nie zachowałem się jak dżentelmen.

- A na ile nim byłeś?

- Tylko się przyglądałem twoim dziełom.

Wren obrzuciła go podejrzliwym spojrzeniem.

Jej oczy mówiły, że oczekiwała dużo gorszego wyznania.

- Przejrzałeś mój szkicownik, kiedy spałam?

Potrząsnął głową.

- Podziwiałem inne twoje prace. - Zobaczył, że Kathryn nadal nie rozumie, ale nie chciał kłamać. - Florę i faunę namalowaną na pończochach.

Otworzyła usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

Drew odetchnął z ulgą. Nie dlatego, że pozbawił ją mowy, ale dlatego, że już nie wyglądała na przerażoną ani na gotową do morderstwa i nie uważała go za potwora. Wziął to za dobry znak.

- Szczególnie spodobała mi się drzewna nimfa zerkająca zza purpurowego kwiatu. - Zbadawszy jej reakcję, dodał: - Chyba na prawym udzie, tuż pod podwiązką.

Syknął z bólu, gdy w pierś uderzył go twardy półbut.

- Na litość boską, Kathryn! Ja tylko patrzyłem!

- Jak mogłeś!

- Spódnice zadarły ci się niemal do pasa. Musiałbym być ślepy, żeby niczego nie zauważyć.

- Dżentelmen by mnie przykrył.

- Zrobiłem to.

- Dopiero, jak się napatrzyłeś!

- Musiałbym być ślepcem, głupcem albo eunuchem, żeby nie spojrzeć, a nie jestem żadnym z nich. - Schylił się po but i oddał go Wren. Drgnęła, gdy ich palce przypadkiem się zetknęły, ale mimo to sięgnął po jej dłoń. Była lodowato zimna. Po-

gładził ją kciukiem. - Wiem, że myślisz inaczej, ale wiedz, że możesz mi ufać.

Kathryn prychnęła z pogardą, ale nie zabrała ręki.

- Przyznaję, że patrzyłem na twoje nogi - powiedział Drew. - I co wielkiego się stało? - Drugą dłoń uniósł jej podbródek i zajął w oczy. - Przecież nawet cię nie dotknąłem.

- Zrobiłeś to, kiedy spałam. - Jej głos drżał z emocji, jakby zaraz miała się rozpłakać. - Nie dałeś mi żadnego wyboru.

- A uniosłabyś suknię i pokazała mi malunki, gdybym poprosił?

- Oczywiście, że nie!

Markiz wzruszył ramionami.

- Dlatego nie pytałem.

- Nic cię nie usprawiedliwia.

- Może i nie, ale również nie czyni potworem. Mimo że twoje nogi są niewiarygodnie zgrabne, jakos udało mi się pohamować. Choć ich widok był bardzo podniecający, nie sprowokował mnie do tego, żebym rzucił się na ciebie, zadarł ci spódnice i wykorzystał.

Usłyszał, że Kathryn gwałtownie wciąga powietrze, i zorientował się, że powiedział niewłaściwą rzecz. Gdy wyrwała rękę z jego dłoni i cofnęła się ze strachem w oczach, nagle zrozumiał jej gwałtowną reakcję. Ktoś ją skrzywdził. Stafford wprawdzie był starcem, ale z jakiego innego powodu zostawiłaby narzeczonego tuż przed ślubem i zaledwie parę tygodni później wyszła za kolegę ojca?

- Kathryn - zaczął cichym, łagodnym tonem, ja-



kim przemawia się do spłoszonych koni i dzieci. - Czy Bertrand Stafford wziął cię siłą? Czy dlatego za niego wysłaś?

Wren potrząsnęła głową.

- Bertrand nigdy... On nigdy by...

- Ale ktoś to zrobił.

Nie odpowiedziała. I wcale nie musiała. Serce podeszło mu do gardła, ręce zaczęły drżeć.

- Kathryn...

W szarozielonych oczach malowało się współczucie.

- To już przeszłość. Nie mówmy o tym więcej. Jeśli nie ze względu na mnie, to ze względu na Kita i ciebie.

Włożyła but, zwinęła koc, wzięła koszyk i plecak, a następnie wsiadła do bryczki, chwyciła wodze i ruszyła w stronę domu. Drew dosiadł wierzchowca i pogalopował za nią.

## 12

Rzeczy nie zawsze są takie, jakimi się wydają.

Platon, 427-347 p.n.e.

Stał przy oknie biblioteki wychodzącym na trawnik i patrzył, jak jego koniuszy i hodowca z wioski prowadzą podjazdem kucyki.

Nie poruszył więcej bolesnego tematu, lecz to nie oznaczało, że o nim zapomniał. Postanowił jedynie odłożyć tę sprawę, póki miał co innego na głowie. Chryste, ależ dręczyła go myśl, że Kathryn nie zjawiła się w kościele w dniu własnego ślubu, bo jakiś mężczyzna ją wcześniej napastował. I bolało, że nie zaufała mu na tyle, by opowiedzieć, co ją spotkało. Jeśli nie Bertrand Stafford, to kto? Kto mógł zrobić taką rzecz? Kogo chronił? Obcego? Któregoś ze znajomych? Swojego ojca? Jego ojca?

Zadrżał gwałtownie. Chwycił się parapetu i opadł na kolana. Jego ojciec. Nie mogło być innego wyjaśnienia. Kathryn kogoś chronił. Kogo, jeśli nie ojca swojego dziecka? Tak, nagle wszystko nabierało sensu. Patronat nad badaniami Wesleya Markinsona, podarowanie mu wdowiego domku, niezwykle testament.

Ale gwałcić narzeczoną własnego syna? Czy George Ramsey był do tego zdolny? Do oczu Drew napłynęły łzy. Kochał ojca. I choć zarzucał mu brak odpowiedzialności, szczerze go podziwiał. Po śmierci żony markiz powziął upodobanie do młodych kobiet, ale nigdy nie wykazywał niestosownego zainteresowania panną Markinson. Całym sercem pochwalał wybór Andrew i naprawdę lubił przyszlą synową. Niemożliwe, żeby... A jednak wydarzyło się coś strasznego, co całkiem zmieniło życie jego i Kathryn.

Ramsey westchnął. Ktoś musiał znać prawdę. Kto, jeśli nie prawnik i doradca, wtajemniczony we wszystkie sprawy lorda Templestona? Martin Bell z pewnością wiedział dostatecznie dużo o romanсах jego ojca i interesach z Wesleyem Markinsonem oraz Bertrandem Staffordem, żeby po powrocie z Irlandii udzielić mu kilku odpowiedzi.

Prędzej czy później odkryje sekret Kathryn. To tylko kwestia czasu. Zamknął oczy i wziął głęboki oddech, czując, że zbliża się ból głowy. Ścisnął nasadę nosa kciukiem i palcem wskazującym, powoli wypuścił powietrze z płuc. Przebywał w Swanslea Park dopiero jeden dzień, a już wplątał się w kłopoty. Był przygotowany na spotkanie z jedną z kochanek ojca, ale nie spodziewał się, że ujrzy Kathryn Markinson.

Miał wrażenie, jakby przy każdym kroku coraz bardziej grzązał w bagnie. Obecność Kathryn Markinson przyprawiała go o ciągły niepokój. Czuł, że musi poznać odpowiedzi na dręczące go pytania, i po-

stanowił, że je znajdzie. A potem wszystko naprawi.

W tym momencie otworzyły się drzwi biblioteki i stanął w nich kamerdyner.

- Wszystko w porządku, milordzie?

- Tak, oczywiście. Dlaczego pytasz?

Newberry odchrząknął dyskretnie.

- Wydawało mi się, że potrzebuje pan pomocy, milordzie.

Dostrzegłszy znaczącą minę sługi, Drew zorientował się, że klęczy na podłodze przy oknie. Wstał pospiesznie i wytarł oczy wierzchem dłoni.

- Już dobrze, Newberry. Dziękuję za troskę.

- Nie ma za co, milordzie. - Po chwili milczenia kamerdyner oznajmił: - Riley właśnie przyprowadził z wioski kucyki, po które pan go wysłał. Prosi pana do stajni.

- Dobrze.

- Przepraszam, milordzie, ale nie jestem pewien, czy dobrze zrozumiałem Riley'a. - Newberry teatralnie zawiesił głos. - Rzeczywiście powiedział „kucyki”?

- Tak. Przygotowałem niespodziankę dla panicza Kita.

- Rozumiem, milordzie.

- Każdy chłopiec powinien dostać własnego kucyka do jazdy, a chciałem, żeby panicz Kit miał wybór. Poprosz pannę Allerton, żeby sprowadziła panicza Kita na dół. - Drew się zawahał. - I pošlij kogoś do wdowiego domku. Niech przekaże pani Stafford moją prośbę, żeby dołączyła do nas na padoku i wzięła ze sobą szkicownik.

- Według życzenia, milordzie.

Markiz włożył surdut i skórzane rękawiczki.

- Tutaj poczekam na pannę Allerton i panicza Kita.

Newberry uklonił się i wyszedł z biblioteki. Piętnaście minut później zjawiła się Harriet Allerton z podopiecznym.

- Dzień dobry, milordzie. Chciał pan nas widzieć?

- Tak.

Drew nie zdołał powstrzymać uśmiechu na widok buntowniczej miny, która pojawiła się na twarzy chłopczyka, kiedy guwernantka lekko trąciła go w plecy.

- Przywitaj się z jego lordowską mością, Christopherze.

Malec opuścił wzrok i wymamrotał słowa powitania.

- Dziękuję, że przyszliście. Mam niespodziankę dla Kita.

Chłopiec natychmiast się rozchmurzył i uśmiechnął do brata. Andrew wyciągnął rękę, żeby zmierzić mu włosy, ale Kit schował się za pannę Allerton.

- Chciałbym, żebyście oboje mi towarzyszyli.

- Milordzie, nie sądzę... - W głosie guwernantki zabrzmiała nuta konsternacji.

- Tylko do stajni.

- Do stajni?

- Poprosiłem panią Stafford, żeby się do nas przyłączyła - dodał Andrew dla zachęty. - Jak pani pamięta, dziś rano coś Kitowi obiecałem, a ja zawsze dotrzymuję obietnic.

- Przyrzekł pan nauczyć Kita jeździć konno, ale

obawiam się, że w Swanslea Park nie ma wierzchowca odpowiedniego dla dziecka w jego wieku.

- Mam prawie cztery lata - wtrącił malec.

Drew uśmiechnął się do niego.

- A chłopiec w twoim wieku powinien umieć jeździć konno.

- Ale, milordzie...

Markiz podniósł rękę, uprzedzając protest guwernantki.

- Wszystko w porządku, panno Allerton. Rano wysłałem do wioski swojego koniuszego po kilka kucyków. Kit będzie mógł sobie któregoś wybrać.

- Wybrać?

Oczy Harriet Allerton się roziskrzyły, głos lekko zadrżał z podniecenia. Jeszcze chwila, a stateczna kobieta zapomniałaby o godności i zaczęła skakać jak małe dziecko.

Drew się roześmiał.

-Tak.

-Z ilu?

- Na podjeździe naliczyłem ich siedem, różnej wielkości i budowy.

Panna Allerton spojrzała na podopiecznego. Kit miał na sobie krótkie spodnie, pod kolanami zapinane na guziki, pończochy robione na drutach i skórzane buciki ze sprzączkami.

- Sądzę, że to strój odpowiedni na wycieczkę do stajni i oglądanie kucyków, ale kiedy zaczniesz lekcje, będą mu potrzebne długie buty do jazdy, spodnie, marynarka i rękawiczki.

Markiz skinął głową.

- Wezwę mojego krawca i szewca. Zamówię dla niego kilka kompletów strojów do jazdy i garniturów żałobny. - Szerokim gestem wskazał na drzwi. - Idziemy?

Zanim dotarła do wdowiego domku, drżała ze zdenerwowania, strachu, pożądania i tęsknoty oraz setki innych emocji, których nie potrafiła nazwać. Bała się władzy, jaką nad nią miał Drew, ale z drugiej strony był jedynym mężczyzną, jakiego w życiu kochała, i nie sądziła, żeby jej uczucie kiedykolwiek wygasło. Omal nie domyślił się jej tajemnicy, - więc kazała mu nigdy więcej nie poruszać tego tematu i odjechała w panice, zostawiając go samego na łące.

Westchnęła ciężko. Teraz pragnęła jedynie zrzucić z siebie ciężar, ujawnić sekrety z przeszłości. I zrobiłaby to, gdyby wiedziała, że jej uwierzy. Bez chwili wahania. Lecz póki nie miała tej pewności, nie mogła wyznać mu prawdy.

Usiadła na drewnianym stołku przed sztalugami i przez prawie godzinę próbowała skupić się na szczegółach budowy i ubarwieniu skrzydełek angielskiej ćmy z gatunku *Noctuidae lepidoptera*. Niestety bez wielkiego powodzenia. Puszka Pandory została otwarta i już nie można było jej zamknąć. Kiedy tajemnica wyjdzie na jaw, życie Kathryn i osób, które kochała, całkiem się zmieni.

Nie chciała zmarnować efektów wielogodzinnej pracy, więc wypłukała pędzel i odłożyła go na stolik. Gdyby George nie umarł... Gdyby Drew nie przyjechał do Swanslea Park... Gdyby tak bardzo go nie kochała...

Jak zawsze, gdy nie mogła skupić się na malowaniu, sięgnęła po jeża zwiniętego w kłębek na aksamitnej poduszce, uszytej ze starego płaszcza, i zaczęła głaskać miękkie futerko na brzuchu zwierzątka. Erin, od *Erinaceus europaeus*, rodziny ssaków z rzędu owadożernych, zaczął mruczeć niemal tak głośno jak kot. Wren słuchała tego kojącego dźwięku i wyglądała przez okno na gęsty żywopłot z *Ilex aquifolium*, czyli angielskiego ostrokrzewu, za którym rysowały się w oddali dachy Swanslea Park. On tam był. I odkąd uciekła z nieoczekiwanego pikniku, nie mogła przestać o nim myśleć. Nie pomagała ani praca, ani zabawa polegająca na używaniu nazw łacińskich zamiast potocznych, ilekroć jej wzrok padł na kogoś z przedstawicieli brytyjskiej fauny lub flory. Nawet szczecinka Erina przypominała jej lekko szpakowate włosy Andrew. Nie mogła zapomnieć wyrazu jego oczu, kiedy nachylił się, żeby ją pocałować, ani rozmowy, która potem nastąpiła.

Zachowała się okropnie, podejrzewając go, a nawet oskarżając, że ją wykorzystał, kiedy spała. Na koniec rzuciła w niego butem i odjechała bez słowa. Potraktowała go niesprawiedliwie i zareagowała zanadto gwałtownie, ale nie była w stanie się pohamować.

Choć nie należała do osób łatwowiernych, zaufała mu, a on zawiódł tę ufność. Z drugiej strony nie zrobił nic strasznego. Nawet jej nie dotknął, tylko patrzył. Wiedziała, że gdyby nie był dżentelmenem, mogłoby ją spotkać coś gorszego.

Chyba że... Całkiem możliwe, że bardziej nią



wstrząsnęła jej własna reakcja na jego przyznanie się do winy niż zdrada zaufania. Lubiła pocałunki Drew. Kiedyś, dawno temu, tęskniła za jego śmiałymi pieścizotami. Jeszcze teraz, po kilku latach, pamiętała ciepło rąk dotykających jej piersi przez cienki muślin wieczorowej sukni.

W skrytości ducha czuła satysfakcję, że Drew podziwiał jej dzieło i zwrócił uwagę nie tylko na kwiaty i drzewną nimfę, ale również na kształt jej nóg. Poznała to po wyrazie jego twarzy. Nawet nie starał się ukryć zachwytu ani żądy.

Nie doceniła jego szczerości ani komizmu sytuacji, ale rozbawiła ją chłopięca niewinność malująca się na jego twarzy, kiedy zapytał, czy uniosłaby spódnice, gdyby ją o to poprosił. Zaprzeczyła z oburzeniem, ale w rzeczywistości chciało jej się śmiać. Jak wtedy, dawno temu, gdy była beztroska, niewinna i szaleńczo w nim zakochana.

Kiedy nagle rozległo się pukanie, drgnęła przestraszona. Wstała ze stoika i podeszła do drzwi. Raptem uświadomiła sobie, że nadal tuli do siebie Erina. Włożyła jeża do kieszeni starego płaszcza wiszącego przy wejściu i otworzyła drzwi.

Na progu stał ten sam lokaj, który poprzedniego dnia dostarczył jej list od markiza.

- Wysłał mnie pan Newberry, bo jego lordowska mość prosi, żeby pani przyszła do stajni. I miałem jeszcze powiedzieć, żeby pani wzięła ze sobą szkicownik.

Wren przez chwilę zastanawiała się nad odrzuceniem prośby, ale ciekawość zwyciężyła.

- Dobrze.

Służący zerknął na krótkie rękawy jej sukni.

- I lepiej niech pani weźmie szal. Zrobiło się chłodno.

Kathryn wrzuciła do plecaka blok do rysowania i kilka węgla, zdjęła płaszcz z wieszaka i wyszła z domku.

## 13

Kto chce rozkoszować się radością - musi ją dzielić.  
Szczęście bowiem narodziło się jako jedno z bliźniąt.

George Gordon, lord Byron, 1788-1824

Kit omal nie wyskoczył ze skóry. Chwycił guwer-  
nantkę za rękę i niecierpliwie pociągnął ją do wyj-  
ścia. Po drodze co chwilę oglądał się, czy Andrew  
za nimi idzie.

Gdy tylko w polu widzenia pojawiły się stajnie,  
puścił dłoń panny Allerton i popędził przez traw-  
nik w stronę wybiegu dla koni.

- Hola, paniczu Kit! - zawołał główny koniuszy  
Swanslea Park i złapał chłopca, który próbował  
przeczołgać się pod ogrodzeniem. - Proszę grzecz-  
nie poczekać, aż powiem, że można bezpiecznie  
wejść na padok.

Malec odął usta, ale posłuchał Rileya. Uwiesz-  
ony na poręczy, przyglądał się, jak stajenny oprowa-  
dza po wybiegu gniadego kuca.

- Ten mi się podoba! - krzyknął z entuzjazmem. -  
Mogę na nim pojeździć?

Koniuszy wzruszył ramionami.

- Musi panicz zapytać jego lordowską mość.  
Kit odwrócił się do brata.
- Mogę, jego lordowska mość?
- Wasza lordowska mość - poprawia go guwernantka.
  - Drew - powiedział brat z uśmiechem, kucając przed chłopcem. - Inni muszą mnie tytułować jego lordowską mością, natomiast ty, jako członek rodziny, masz prawo zwracać się do mnie po imieniu. Jestem Andrew, ale możesz mi mówić Drew. Rozumiesz?
  - Malec z powagą skinął głową.
  - Dobrze. Ja mam na imię Christopher. - Wolno wymówił trudne słowo. - Ale możesz mi mówić Kit.
  - Zgoda. - Drew uściskał mu dłoń, po czym się wyprostował i odwrócił do koniuszego. - Jak Dartmoor?
  - Nieujeżdżony, ale dobrze się zapowiada.
  - A pozostałe? - zapytał markiz, wskazując głową na zwierzęta, które stajenni prowadzili po dziedzińcu.
  - Wybrałem najlepsze, ale jeszcze trzeba nad nimi popracować.
  - Ramsey wzruszył ramionami.
  - Nie sądziłem, że kiedyś zacznę hodować kuce, ale skoro w stajniach jest dość miejsca...
  - Ma pan słabość do tych kudłatych uparciuchów - zauważył Riley półżartem. - Zwłaszcza odkąd pan wie, że niektóre z nich odesłano by do kopalni albo na rzeź.
  - Bardzo pan musi lubić kuce - dodała z uśmiechem panna Allerton.

- Kit już je zobaczył, więc obawiam się, że nie pozostanie mi nic innego, jak zatrzymać wszystkie. Poza tym gdyby się okazało, że kucyk, w którym się zakocha, jest dla niego nieodpowiedni, i tak musiałby dostać drugiego.

W tym momencie chłopiec dojrzał matkę zmierzającą ku stajniom i puścił się ku niej biegiem.

- Mamo! Chodź zobacz!

Złapał ją za spódnice i pociągnął w stronę padoku. Chwilę później stanęli przy płocie.

- Nadal się boisz, że go rozczaruję?

Wren była tak wpatrzona w przejętą twarz synka, że aż podskoczyła, gdy poczuła na ramieniu silną dłoń i ciepły oddech na karku. Upuściła plecak na ziemię i z całej siły dźgnęła łokciem w twardy męski brzuch.

Drew stęknął z bólu.

- Do diaska! Za co to było?

- Nie znoszę, kiedy się mnie straszy i napastuje.

- Napastuje?

Skinęła głową.

- Ja tylko położyłem ci dłoń na ramieniu, żeby zwrócić twoją uwagę.

- Nie lubię, gdy ktoś mnie dotyka.

- Ktoś czy ja?

- Obcy.

- Nie jestem obcy, Kathryn - powiedział Andrew z wyrzutem.

- Wiem.

- W takim razie nie masz nic przeciwko dotykowi?

Nuta nadziei wyraźnie pobrzmiwająca w jego głosie wprawiła ją w zakłopotanie, odparła więc dyplomatycznie:

- Nie słyszałam, jak się zbliżasz.

- To moja wina. Przy następnej okazji narobię dużo hałasu, żeby cię nie zaskoczyć.

Panna Allerton uniosła brew i z lekkim zdziwieniem spojrzała na Kathryn. Markiz wcale się do niej nie podkradał. Po prostu była tak pochłonięta obserwowaniem Kita, że zapomniała o bożym świecie.

Wren tymczasem zdążyła ochłonać. Znowu zareagowała zbyt gwałtownie. Nigdy nie potrafiła przewidzieć, kiedy ogarnie ją ślepa panika, i nie zawsze umiała w porę się opanować. Wiedziała jednak, że Drew, nawet wściekły, nigdy nie zrobiłby jej krzywdy. Przy nim była bezpieczna, tak jak przy ojcu, Bertrandzie czy George'u. Jednocześnie w jego obecności nagle stawała się świadoma własnego ciała. Czuła się piękna i pożądana po raz pierwszy od czterech lat. I ufała mu.

Pod wpływem impulsu zarzuciła mu ramiona na szyję.

- Och, Drew, bardzo ci dziękuję! Dotrzymałeś obietnicy!

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Andrew odwzajemnił uścisk. - Poprosiłem pannę Allerton, żeby pomogła nam w wyborze.

Kathryn oblała się rumieńcem.

- Och, Ally, wybacz. Ja nie... - Dopiero teraz zauważyła, że wszyscy na nich patrzą: Kit, guwernantka, koniuszy i paru stajennych. Opuściła ręce i chcia-

ła się cofnąć, ale markiz ją przytrzymał. Zakłopotana odwróciła twarz i bąknęła: - Przepraszam.

Ramsey pomasował sobie żebra.

- Za to, że mnie uściskałaś czy że uderzyłaś?

Podniosła wzrok i przez chwilę szukała oznak gniewu na jego twarzy.

- Za to, że uderzyłam. Naprawdę nie chciałam.

- Twój uścisk wynagrodził mi chwilę bólu.

Schylił się po plecak i podał go Kathryn. Gdy uśmiechnęła się ciepło, nagle zniknął cały świat i zostali tylko oni. Andrew jak zahipnotyzowany wpatrywał się w jej oczy.

- Drew! - Kit szarpnął go za brzeg surduta i zapytał, pokazując palcem: - Ten też jest mój?

- To zależy od ciebie. Pan Riley zebrał w wiosce kucyki, które czekały na dobrego właściciela. Oto one.

Oczy chłopca zrobiły się wielkie jak spodki.

- Naprawdę?

Brat posłał mu szeroki uśmiech.

- Naprawdę.

- Wszystkie są moje?

Andrew przeniósł spojrzenie na głównego koniuzszego. Riley potrząsnął głową.

- Zatrzymamy tego, który najbardziej ci się spodoba i który będzie najlepszy do nauki jazdy. Reszta zostanie tutaj, póki nie znajdziemy dla nich odpowiednich domów.

Kit zmarszczył czołko, niezbyt uszczęśliwiony myślą, że kiedyś będzie musiał się rozstać z pozostałymi konikami.

- A co z mamą? Ona nie ma kuczka.

Markiz popatrzył na Kathryn.

- Twoja mama może sobie jakiegoś wybrać, ale nie wiem, czy nie wolałaby jednej z naszych klaczy.

- Mamo, którego chcesz?

- Kit, skarbie, ja nie jeżdżę wierzchem.

- Nie lubisz jazdy konnej? - zdziwił się Drew.

- Bardzo lubię konie, ale dorastałam w mieście i nigdy nie miałam swojego wierzchowca. Zawsze chodziliśmy na piechotę albo braliśmy dorożki.

- To weź sobie jakiegoś do powozu - podsunął Kit.

- Naprawdę nie jest mi potrzebny. Bardziej się przyda jakiemuś dziecku, które będzie go kochać.

Ramsey nie przypuszczał, że Kathryn nie potrafi jeździć konno. Wszystkie jego znajome były świetnymi amazonkami. Nagle przypomniał sobie, że w Londynie regularnie odrzucała jego zaproszenia do Hyde Parku, twierdząc, że na pewno woli towarzystwo swojego przyjaciela Juliana.

- Pamiętam, że codziennie proponowałam ci przejażdżki, a ty zawsze odmawiałaś.

Kathryn nic nie odpowiedziała.

- Pomyślałam nawet, że jesteś kokietką i chcesz pobudzić mój apetyt, żebym bardziej energicznie zaczął się starać o twoją rękę.

- Nigdy nie byłam kokietką, ale przyznaję, że chciałam zaostriżyć twój apetyt. Nie sądziłam jednak, że odrzucanie zaproszeń na przejażdżki może mieć taki skutek. Wiedziałam, że jesteś doskonałym jeźdźcem, i po prostu wolałam nie wprawiać cię w zakłopotanie w obecności twoich przyjaciół.

Drew bacznie się jej przyjrzał.



- Nie potrafisz jeździć konno?

Wren przygryzła dolną wargę.

- Nigdy w życiu nie siedziałam na koniu.

- W takim razie musimy udzielić ci paru lekcji - stwierdził Andrew i zwrócił się do koniuszego. - Co o tym sądzisz, Riley?

Mężczyzna zdjął czapkę i podrapał się po głowie.

- Hm, może Addy? Kilka lat temu odesłał ją pan na emeryturę. Potrafi być uparta i narowista, ale jest spokojna.

- Za stara i chodzi tylko stępa. Pani Stafford zanu-  
dziłaby się na śmierć. Myślę, że lepsza będzie Felicity.

- Tak. Felicity jest posłuszna, cierpliwa, dobrze ułożona i wytrzymała.

- To naprawdę niepotrzebne, Drew - wtrąciła Kathryn. - Zresztą pan Riley będzie zajęty ucze-  
niem Kita.

- O, nie, proszę pani, nie ja będę uczył panicza, tyl-  
ko pan Andrew, to znaczy jego lordowska mość. -  
Koniuszy otworzył furtkę i dał znak stajennemu, że-  
by wprowadził na padok następnego szetlanda, tym  
razem karego z dużą białą gwiazdą na czole, białymi  
skarpetkami i białą łatą na piersi. - Ja jestem od ujeź-  
dżania.

- A Ally? - zapytał Kit. - Też będziesz się uczyć  
jeździć? Którego kucyka wybierasz? Bo mi tamten  
podoba się najbardziej.

Guwernantka uśmiechnęła się domyślnie.

- Nie bój się, nie wybiorę go.

- Dlaczego? - Chłopiec był wyraźnie obruszony.

- Panna Allerton to jedna z najlepszych amazo-

nek w Anglii - odezwał się markiz. - Potrzebuje trochę większego rumaka. Ten jest za mały dla dorosłej osoby.

- To dobrze! - ucieszył się Kit. - Bo właśnie jego chcę.

Andrew przyjrzał się zwierzęciu. Kuc wyglądał na wiekowego; przez zmierzwioną czarną sierść, szczególnie na łbie, przebijała siwizna.

- Kitowi najbardziej przypadł do gustu mój stary Galahad. Co o nim sądzisz, Riley?

Koniuszy odpowiedział szerokim uśmiechem.

- Tak sobie myślałem, że panu też się spodoba. - Podrapał staruszką po karku. - Nic dziwnego, przypomina panu Galahada. Jest dobre dziesięć lat młodszy od niego, ale z tych samych rodziców. Znalazłem go na targowisku. Dobrze ułożony jak na szetlanda, ale dobija dwudziestki i gdyby nie trafił się kupiec... - Riley zawiesił głos. - Na imię mu Lancelot.

- Jeśli jest choć w połowie tak dobry jak Galahad, Kit już nigdy nie będzie miał lepszego wierzchowca. - Ramsey zamrugał szybko. - Dokonałeś świetnego wyboru, bracie. Możesz go wziąć, oczywiście pod warunkiem, że twoja mama się zgodzi.

- Mogę go zatrzymać, mamusiu? Proszę!

Wren popatrzyła na synka, przeniosła wzrok na Drew i napotkała takie samo błagalne spojrzenie.

- Uważam, że mały chłopiec powinien mieć kucyka, żeby go kochać i się nim opiekować.

Kit objął ją za kolana i uściskał mocno.

- Dziękuję, mamusiu!

Kathryn schyliła się, wzięła malca na ręce i spojrzała mu w oczy.

- Ale musisz obiecać, że będziesz słuchał Andrew i pana Riley'a i robił dokładnie to, co ci każą. Zgoda?

- Zgoda.

- A zatem wszystko ustalone - stwierdził Drew. - Teraz pozwolimy Kitowi oswoić się z Lancelotem, a potem przedstawimy ci Felicity.

- Tak szybko? - W głosie Wren zabrzmiała nuta strachu.

- Im wcześniej, tym lepiej - skwitował Andrew i odwrócił się do koniuszego. - Musimy sprawdzić, czy damskie siodła są w dobrym stanie, i znaleźć coś dla Kita.

- Każę któremuś ze stajennych wyczyścić stare siodło Galahada.

- Zachowałeś je?

- Oczywiście. Wiedziałem, że kiedyś się przyda. Trzeba je tylko wypolerować. Podobnie jak damskie siodła, których kiedyś używała pańska matka. - Riley spojrzął na Wren i dodał: - Proszę się nie obawiać. Felicity jest łagodna jak anioł. Będzie panią dobrze traktować. W mig nauczymy panią jeździć.

- Nie mam stroju do jazdy ani butów - oznajmiła Kathryn, patrząc na Drew.

- Półbuty będą w sam raz, a strój każemy ci uszyć. Zresztą w tej chwili go nie potrzebujesz. Wystarczy, że podciągniesz spódnice.

- Nie mogę...

- Dlaczego? - Na twarzy Andrew malowała się chłopięca niewinność, ale słowa były przeznaczone tylko dla jej uszu. - Boisz się pokazać światu swoje dzieła?

- Tobie? Tak!

- Ależ, moja droga Kathryn, czy nie po to je malowałaś? Sztukę należy podziwiać i doceniać. - Kąciki jego ust drgnęły w uśmiechu. - Mnie bardzo się spodobało to, co zobaczyłem.

Wren sapnęła z irytacją.

- Wolałabym, żebyś zapomniał, co widziałeś.

- Nic z tego. Nie mam aż tak krótkiej pamięci ani nie jestem aż taki szlachetny.

## 14

Nigdy nie obiecuj więcej, niż możesz dotrzymać.

Publiliusz Syrus, I w. p.n.e.

Późnym popołudniem wyraźnie się ochłodziło i zaczęło lekko mżyć, więc Drew musiał, aczkolwiek niechętnie, zmienić plany i odłożyć pierwszą lekcję jazdy do następnego ranka.

Wren nie miała nic przeciwko temu - prawdę mówiąc, najchętniej w ogóle by z niej zrezygnowała - natomiast Kit był niepokieszony. Z determinacją, która piętnastego markiza Templeston przyprowadziła o zdrość, odmówił powrotu do domu.

Matka próbowała mu wytłumaczyć powody decyzji Andrew, ale Kit nie chciał czekać tak długo. Koniecznie musiał pojeździć na swoim nowym kucyku.

- Odzywa się w nim Ramsey - mruknęła Wren pod nosem.

Z kolei panna Allerton próbowała ułagodzić malca, obiecując mu, że od tej pory będą rozpoczynać dzień od nauki jazdy, a inne zajęcia zostawiają na popołudnie.

Drew podejrzewał, że w tym wypadku guwernantce chodziło nie tylko o przekonanie podopiecznego. Negocjacje między chłopcem a dwiema kobietami ob-

serwował z mieszaniną rozbawienia, podziwu i zniecierpliwienia. W końcu jego brat wpadł w prawdziwą złość i wyglądało na to, że nieprędko ustąpi.

- Dość tego! - Andrew użył identycznego tonu, jakim zwracał się do swoich żołnierzy.

Kit umilkł zaskoczony i wytrzeszczył oczy, niepewny, jak się zachować. Jeszcze nikt nie podniósł na niego głosu ani nie przemawiał do niego w taki sposób.

- Czy mam rozumieć, że nie pójdziesz do domu z mamą i guwernantką, póki nie odbędziesz lekcji jazdy konnej? - zapytał markiz.

Chłopiec skinął głową.

- Powiedz to głośno.

- Tak - bąknął Kit.

- Tak, sir - poprawił go brat.

- Tak, sir.

- Dobrze, młody człowieku. - Andrew otworzył furtkę i wszedł na padok. - Będziesz więc miał pierwszą lekcję.

Malec pisnął z radości.

- Drew! - zaprotestowała Kathryn. - Nie powinienś nagradzać go za niegrzeczne zachowanie.

- Nie zamierzam nagradzać go za złe zachowanie, tylko udzielić mu pierwszej lekcji jazdy konnej, takiej samej, jaką kiedyś odebrałem od ojca Rileya.

- W takim razie ja też muszę odbyć swoją - stwierdziła Wren, drząc z zimna.

Andrew spojrział na jej przemoczony płaszcz.

- Chyba lepiej odłożymy ją do jutra, kiedy będziesz stosowniej ubrana.

- Nie.

Mogła składać charakterek syna na karb wywożenia się z Ramseyów, ale sama była równie uparta, jak on, choć dosłownie trzęsła się ze strachu na myśl o jeździe konnej. Drew się uśmiechnął, podziwiając w duchu jej odwagę.

- Wybacz, że powiem rzecz oczywistą, ale Kit okazał dużo więcej entuzjazmu do nauki jazdy niż ty.

- Mimo wszystko nalegam.

Panna Allerton, do tej pory przyglądająca się bez słowa potyczce między panią Stafford i lordem Templestonem, spróbowała interweniować.

- Muszę zaprotestować, milordzie. Prowadzenie lekcji w tym zimnie i deszczu nie jest rozsądne. Wszyscy przeziębicie się na śmierć.

- Nie ma obawy, panno Allerton - uspokoił ją Andrew. - Zapewniam panią, że nikomu nic nie grozi. Radzę wrócić do domu, przygotować Kitowi gorącą kąpiel i coś do jedzenia. Na pewno będzie zmęczony, głodny i brudny. I proszę zabrać plecak pani Stafford. Przyjdziemy niedługo. - Odwrócił się do Riley. - Proszę zabrać z padoku wszystkie zwierzęta oprócz Lancelota. Dam paniczowi Kitowi dziesięć minut na oswojenie się z kucykiem, a potem przeprowadzę go na resztę lekcji.

Koniuszy skinął głową i dał znak stajennym.

Gdy na wybiegu został sam Lancelot, Drew przeniósł braciszka przez płot. Pokazał mu, jak należy przywitać się z kucykiem, jak głaskać go po karku, jak prowadzić. Gdy upewnił się, że Kit sobie poradzi, wręczył mu lonżę i kazał przejść po padoku. Chłopiec był kompletnie przemoczony, ale uśmie-

chał się od ucha do ucha, z dumą paradując wzdłuż ogrodu.

- Spójrz na mnie, manio!

- Widzę, kochanie - odparła Wren, z rozbawieniem obserwując synka.

- No dobrze! - zawołał Ramsey. - Na dzisiaj wystarczy. Lancelot jest zmęczony i głodny.

- Wcale nie. - Kit odął usta, bliski kolejnego wybuchu.

- Owszem. - Markiz ukucnął przed malcem. - Pierwsza zasada obowiązująca dobrego jeźdźca głosi, że koń jest najważniejszy. Ty może jeszcze nie czujesz zmęczenia ani głodu, ale Lancelot tak. Ty przeszedłeś tylko od domu do stajni, a on musiał pokonać całą drogę od wioski. Ma już dość. - Wyprostował się i poklepał Kita po ramieniu. - Dobrze się spisałeś. Jestem z Ciebie dumny. Teraz zaprowadzisz kucyka do jego nowej siedziby, a ja będę siedział obok Ciebie. - Widząc, że Kathryn odchodzi od płotu, dodał: - Nie, ty poczekaś tutaj. Zaraz wrócę z Felicity. Zawrzesz z nią znajomość, a tymczasem Kit dokończy lekcję w stajni.

- Drew, myślę, że powinnam...

- Nie sądzę. Ja tu jestem nauczycielem. Rób, o co proszę.

- Robiłabym, gdybyś raczył poprosić - burknęła Wren.

Drew zmierzył ją karcącym spojrzeniem.

- Co to miało znaczyć?

- Dobrze, zostanę.

Przez całą drogę do kamiennego budynku Kit za-



sypywał starszego brata pytaniami. Jakiś czas później markiz wyszedł ze stajni, prowadząc piękną gniadą klacz czystej krwi. Kathryn od razu zwróciła uwagę na królewskie osadzenie łba i szyi oraz inteligentny wyraz ciemnych oczu. Zauważyła również, że Felicity jest osiodłana. Odetchnęła z ulgą, kiedy zobaczyła, że to męskie siodło.

- Jest piękna.

- Uhm - mruknął Drew.

Wprowadził klacz na padok i skinął na uczennicę.

Wren się zawahała.

- No, przywitaj się z nią. Nie zrobi ci krzywdy.

Kathryn weszła przez furtkę, zrobiła kilka ostrożnych kroków i stanęła w bezpiecznej odległości od zwierzęcia.

- Przecież mówiłaś, że lubisz konie. - Głos Drew był łagodny, ale stanowczy.

- Lubię.

- Więc podejdź bliżej. - Wyciągnął do niej rękę. - Zapewniam, że nic ci nie grozi.

Z bliska klacz wydawała się ogromna i choć miała łagodne spojrzenie, Wren wcale nie była przekonana co do jej uległości.

- Przecież bez strachu zbliżasz się do zaprzęgów - przypomniał Andrew. - Sam widziałem, jak głaszczesz Samsona i powozisz bryczką. Dlaczego boisz cię Felicity?

Podniósł jej rękę do szyi klaczy.

- Jest dużo większa, niż się spodziewałam.

- Jest dużo mniejsza niż konie powozowe.

- Wiem, ale myślałam, że będzie raczej taka jak

Lancelot albo Samson. - Wzruszyła ramionami. - Poza tym konie z zaprzęgów są przywiązane do powozu, a tymczasem ona...

- Jest osiodłana?

Wren skinęła głową.

- Sądziłam, że udzielisz mi takiej samej lekcji jak Kitowi.

- Udzielę.

Gdy tylko Kathryn się odprężyła i zaczęła czerpać przyjemność z nauki, wręczył jej lonżę i kazał oprowadzić Felicity po padoku. Kiedy po pewnym czasie dał jej znak, żeby się zatrzymała, posłała mu uśmiech. Oczy jej błyszczały.

- Wrócimy do stajni na resztę lekcji?

- Nie.

Kathryn zmarszczyła brwi.

- Ale Kit...

- Kit jest małym chłopcem, który przede wszystkim musiał nauczyć się słuchania poleceń i myślenia najpierw o kucyku, a potem o sobie. - Otworzył furtkę i skinął na Wren. - Wyjdź spokojnie. Felicity wie, jak się poruszać, żeby cię nie stratować.

- Dobrze ci poszło - pochwalił ją Andrew, gdy bez przygód dotarli na dziedziniec przed stajnią.

W tym momencie zjawił się stajenny ze skórzaną uprzężą. Podał ją markizowi, a sam wziął lonżę od Kathryn. Drew z wprawą założył klaczy munsztuk.

- Najważniejsze to zaufać nauczycielowi, koniowi oraz sobie i cieszyć się nowym doświadczeniem - stwierdził.

-Jak?

- Jeżdżąc.

- Kitowi nie pozwoliłeś jeździć.

- Bo nie chciałem nagradzać go za złe zachowanie, a poza tym musiałem najpierw zobaczyć, jak sprawuje się Lancelot. Pozwolę Kitowi go dosiąść, gdy się upewnię, że nic mu nie grozi. - Uśmiechnął się. - Wiem, że Felicity jest spokojna i posłuszna.

- Wątpię, czy mnie będzie słuchać - powiedziała Kathryn. - Przecież nigdy nie siedziałam na koniu. - Z niepewną miną popatrzyła na siodło. - W dodatku po męsku.

- Ale na pewno masz zbliżone doświadczenia.

Wren gwałtownie wciągnęła powietrze.

- Ja nigdy...

- Co? - Ramsey był wyraźnie zaskoczony.

Kathryn oblała się rumieńcem.

- Twoja uwaga była bardzo niestosowna.

- Podobnie jak jeżdżenie po męsku. Ale ten drobiazg nas nie powstrzyma. - Włożył nogę w strzemię, zwinnie dosiadł konia i zbliżył się do kamiennego bloku. - Podejdź tutaj i zbierz spódnicę.

Wren zerknęła na stajennego.

- Nie będzie patrzył - uspokoił ją Drew, po czym kazał chłopcu zamknąć oczy.

Gdy Kathryn uniosła suknię, Andrew dojrzał delikatne żółte różyczki zdobiące jej pończochy. Przesunął się na tył siodła.

- A teraz stań jak najbliżej Felicity i obróć się. - Widząc jej wahanie, powiedział: - Zaufaj mi.

Objął ją ramieniem w talii, uniósł bez najmniejszego wysiłku i posadził przed sobą.

- Jesteś bardzo grzeczna - szepnął jej do ucha. -  
A przy okazji, żółte róże prezentują się bardzo ładnie na czarnym tle. Dziękuję, że mi je pokazałaś, ale już możesz opuścić spódnicę.

Wren sapnęła z oburzeniem i czym prędzej obciągnęła suknię.

- Myślałam, że zamierzasz nauczyć mnie jeździć. Na twarzy Drew pojawił się szelmowski wyraz.
- Owszem. Kiedy skończymy przejażdżkę.

## 15

Pozwól dłoniom, niech błądzą jako dwaj włóczędzy  
Z tyłu, z przodu, powyżej, poniżej, pomiędzy.

John Donne, 1572-1631

Tę przejażdżkę przez lasy i pastwiska Swanslea Park Wren miała zapamiętać do końca życia. Deszczowe popołudnie na zawsze wryło się w jej serce, bo właśnie wtedy zakochała się po raz drugi w życiu.

Drew przyciągnął ją do siebie i otulił obszerną peleryną z foczego futra. Ubrania już wcześniej im przemokły, ale okrycie chroniło przed zimnymi podmuchami wiatru.

- Nigdy nie rozumiałam, co jest przyjemnego w polowaniu albo galopowaniu po łąkach - stwierdziła Kathryn. - Aż do tej pory nie wiedziałam, że chodzi przede wszystkim o poczucie mocy i wolności.

- Chodzenie stępa to nie to samo co pełny cwał, ale w damskim siodle wrażenia byłyby podobne.

- W damskim siodle brakowałoby mi ciepła i oparcia, które ty mi dajesz.

- Istotnie, ale z drugiej strony nie groziłyby ci pewne niebezpieczeństwa.

- Jakie?

- Na przykład takie, że spadniesz. - Otoczył ją mocniej ramionami i dodał z lekkim uśmiechem: - Albo że ktoś zacznie sobie swobodnie z tobą poczynać.

Kathryn uniosła brew.

- Nie zdawałam sobie sprawy, że w ogóle istnieje takie zagrożenie.

Drew nachylił się i musnął oddechem jej ucho.

- Owszem.

- Naprawdę? W takim razie proszę mi powiedzieć, lordzie Templeston, czego mogłabym się spodziewać, gdyby pan zaczął swobodnie sobie ze mną poczynać?

- Na przykład tego, że włożę dłonie pod pelerynę i rozepnę ci płaszcz.

Ujął wodze w lewą rękę, z prawej zębami ściągnął rękawiczkę, to samo zrobił z drugą, po czym obie schował do kieszeni peleryny. Następnie wprowadził swoje słowa w czyn.

Wren przygryzła wargę i wstrzymała oddech.

- Kiedy już uporam się ze wszystkimi guzikami, wsunę dłoń pod twój żakiet i...

Jego cichy głos hipnotyzował i jednocześnie podniecał. Kathryn miała wielką ochotę oprzeć się plecami o pierś Drew, ale uznała, że nowa pozycja byłaby bardzo niestosowna.

Ramsey chyba wyczuł jej niezdecydowanie, bo nachylił się i szepnął:

- W promieniu wielu mil nie ma nikogo oprócz nas, a ja nikomu nie powiem o twoim nieprzyzwoitym zachowaniu?.

- Do licha z przyzwoitością! - Wren zadarła spódnice, przerzuciła prawą nogę nad karkiem Felicity i usiadła okrakiem na końskim grzbiecie.

- Jestem tego samego zdania - oświadczył markiz i pocałował ją w szyję.

Wren zadrżała.

- Zimno?

- Nie. Proszę mi powiedzieć, lordzie Templeston, co spodziewałby się pan znaleźć pod moim żakietem.

- Dwie najbardziej niezwykle rzeczy, o jakich mężczyzna może śnić. - Dotknął wilgotnego muślinu, który przykleił się do ciała niczym druga skóra, podkreślając krągłości. Rozsznurował stanik sukni i delikatnie objął lewą pierś Kathryn. - Oto jedna - wyszeptał jej do ucha. - Trwa na posterunku jak dzielny żołnierz mimo chłodu, deszczu i obcej inwazji. - Puścił wodze i, prowadząc konia nogami, wsunął pod żakiet prawą rękę. - Jest i druga. Równie dziarska i wytrwała.

Nowe doznania całkiem oszołomiły Wren, ale nagle, nie wiadomo skąd, przysła jej do głowy pewna myśl i natychmiast oblał ją war.

- Czy ma pani jakieś zastrzeżenia, milady?

- Tylko jedno.

- Naprawdę? - Podrażnił kciukami stwardniałe brodawki. - Jakie?

- Tylko takie, że ubranie nie pozwala mi poczuć twojej nagiej skóry.

Z gardła Andrew wyrwał się zduszony jęk, a Kathryn przywarła do niego mocniej i zamknęła oczy.

- Mogę cię o coś zapytać?  
- Oczywiście.  
- Obiecasz, że mnie nie wyśmiejesz ani się nie obrzisz?

- Spróbuję.  
- Mówię poważnie. Musisz dać mi słowo.  
- Że nie będę się śmiał?  
- Ani nikomu nie powtórzysz naszej rozmowy.  
- Dobrze. Masz moje słowo.

Zaintrygowany Drew przerwał na chwilę pieszczoty, ale nie wyjął rąk spod żakietu.

- Urodziłam dziecko - powiedziała Kathryn takim tonem, jakby oznajmiała wielką nowinę.

- Wiem.

- Postanowiłam sama je karmić.

To rzeczywiście była niespodzianka. Kobiety z wyższych sfer zwykle oddawały niemowlęta mamkom.

- I...

- Bardzo to lubiłam - wyszeptała Wren. - Doznawałam niemal takiej samej przyjemności, jaką teraz ty mi sprawiasz. Dlatego pomyślałam sobie... to znaczy... zaczęłam się zastanawiać, czy inne czują to samo.

- Nie wiem. Nigdy nie znałem damy, która sama karmiłaby dziecko.

- Hm - mruknęła Wren i przez chwilę milczała. - A ty? Sądysz, że mógłbyś czerpać przyjemność...

- Z czego? Z karmienia dziecka?

- Nie, z ssania mojej piersi.

Ramsey nie przypuszczał, że może być jeszcze bardziej rozpalony, ale najwyraźniej się pomylił.

- Do licha, Kathryn! Cóż to za pytanie?



- Po prostu chciałam się dowiedzieć, czy jestem nienormalna. Wiem, że arystokratki, które same karmią dzieci, budzą zdziwienie. Słyszałam też, że dla wielu kobiet jest to nieprzyjemne. Byłam więc ciekawa, czy mężczyźni... czy ty... - Umilkła zażenowana.

- Mów, Kathryn. Nie wstydź się.

- Zastanawiałam się, czy odczuwałabym taką samą przyjemność, gdybyś zamiast dłońmi pieścił mnie ustami. Czy są mężczyźni, którzy zgadzają się robić takie rzeczy i nie uważają ich za szokujące, nieprzyjemne lub odrażające.

Drew nie roześmiał się na głos, ale niestety nie był w stanie opanować drżenia.

- Obiecałeś!

- Wiem i bardzo się staram, ale nie mogę uwierzyć, że nie znasz odpowiedzi na to pytanie.

- Cieszę się, że uważasz mnie za zabawną - obruszyła się Kathryn.

- Przede wszystkim uważam cię za niezwykle pociągającą. Zaszczycem, przywilejem i rozkoszą byłoby dla mnie ssanie twoich piersi.

Tak jak dla większości mężczyzn w Anglii, dodał w myślach, ale nie uznał za stosowne jej tego uświadomić.

- Naprawdę? - Wren odetchnęła z ulgą. - Czy to nie jest obrzydliwe lub nienaturalne?

- To najpiękniejsza i najbardziej naturalna rzecz na świecie - zapewnił ją z powagą. - I gdybyśmy nie jechali na koniu, w deszczu, widoczni jak na dłoni z tamtych domostw... - Wskazał głową na rząd chat

ciągnący się wzdłuż gościńca, który prowadził do wioski. - ...z radością bym ci to udowodnił.

Wren spojrzała w ślad za jego wzrokiem. Nawet nie zauważyła, kiedy przejechali przez całą posiadłość.

- Mówiłeś, że w promieniu mil nie ma nikogo.

- Bo tak było, ale przez jakiś czas nie zwracałem uwagi na to, gdzie idzie Felicity, i w rezultacie znaleźliśmy się w odległości ćwierci mili od domów dzierżawców. Lecz nie obawiaj się. Nikt nie nabierze podejrzeń, że robimy coś zdrożnego.

Rzeczywiście. Włosy mieli mokre, ale peleryna zakrywała ich oboje aż po kostki. Człowiekowi obserwującemu ich z daleka nawet nie przyszłoby na myśl, że markiz Templeston trzyma dłonie na jej piersiach.

- Ale gdybym chciał wprowadzić w czyn to, o czym przed chwilą rozmawialiśmy, musiałabyś odwrócić się twarzą do mnie, a wtedy zapewne spadlibyśmy z konia. Gdyby mimo wszystko udało się nam jakoś utrzymać na grzbiecie Felicity, musiałbym zanurkować pod pelerynę albo ją odrzucić i wystawić cię na zimno i ludzki wzrok. Gdyby wtedy ktoś nas przypadkiem zobaczył, straciłabyś reputację, bo nie byłoby żadnych wątpliwości, co robimy.

Wren się roześmiała.

- Mojej reputacji już nie zaszkodzi.

- Może w Londynie, ale nie tutaj. W Swanslea Park i okolicy wszyscy mają o tobie wysokie mniemanie.

- Nie wszyscy.

- Ci, którzy się liczą.

- Mimo że jestem matką nieślubnego dziecka markiza Templeston?

- Tak. Mimo tego.

Kathryn zadrżała.

- Dziękuję.

- Za co?

- Za to, co teraz powiedziałaś, za pierwszą lekcję i za przejażdżkę.

- Czy teraz ja mogę zadać ci osobiste pytanie?

Wren zeszywniała.

- T-tak, oczywiście.

- Czy kiedykolwiek żałowałaś, że za mnie nie wyszłaś?

- Każdego dnia przez ostatnie cztery lata.

- Dziękuję.

Andrew przyciągnął ją do siebie i uściskał mocno. W tym momencie spod peleryny dobiegł przenikliwy pisk. Spłoszona nieznanym dźwiękiem Felicity raptownie skoczyła w bok. Wren kurczowo złapała Drew za ręce, a on zatrzymał klacz i uspokoił ją, klepiąc po karku.

- Co to było, u licha? - zapytał

- Erin! O niebiosa! Zapomniałam o Erinie! Włożyłam go do kieszeni płaszcza, kiedy wychodziłam z domu.

Nagle Drew poczuł, że coś drapie go w dłoń.

- Erin?

- Skrót od *Erinaccus europaeus*.

- Czyli?

Wyjął rękę spod peleryny i ujrzał zwinięte w kłębek kolczaste stworzenie, wczepione zębami w skórę między jego kciukiem a palcem wskazującym.

- To mój jeź.

## 16

Zjednujemy sobie serca zaletami, którymi się szcycimy;

Zatrzymujemy je cnotami, które rzeczywiście posiadamy.

Jean-Baptiste Antoine Suard, XVIII w.

Andrew odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem.

- Wszystko w porządku? - zapytała Wren z troską i delikatnie uwolniła jego rękę od ostrych ząbków. - On nigdy nie gryzie. *Erinaceus europaeus* są z natury całkiem łagodne, chyba że coś je wystraszy.

- Zaryzykuję twierdzenie, że ten jest przestraszony.

Ramsey nie mógł opanować wesołości, natomiast Kathryn była bardzo skonsternowana.

- Tak mi przykro, Drew. Nie rozumiem, dlaczego się śmiejesz. Na pewno cię bolało.

Gdy Erin uspokoił się w jej dłoni, rozchyliła pelerynę, żeby włożyć go z powrotem do kieszeni płaszcza.

- Jak diabli - przyznał Drew. - I nadal boli. - Widząc, co zamierza Kathryn, powstrzymał ją: -

Nie chowaj go, tylko daj mnie. - Wyciągnął rękę.

Wren się zawahała.

- Jesteś pewien? Może znowu cię ugryźć.

- Nie zrobię mu krzywdy. I nie zamierzam przestraszyć. Po prostu włożę go do jednej z kieszeni peleryny. Są głębsze i, co ważniejsze, dalej od ciebie.

- Aha.

Ostrożnie umieścił jeża w ciepłej kryjówce, zakrył go skórzaną rękawiczką i zapiął klapkę na guziki.

- Tu będzie bezpieczny. I ja również.

- Pokaż rękę - powiedziała Wren.

Markiz spełnił polecenie. Ostre ząbki przegryzły cienką skórę między palcami na wylot i ranka mocno mu dokuczała, ale był dumny, że udało mu się zapanować nad odruchem i nie strząsnął jeża na ziemię, skazując go na pewną śmierć.

- Miewałem gorsze skaleczenia. Przeżyję.

Wren uniosła jego dłoń do oczu.

- Gdybyś nie zdjął rękawiczki, Erin by ją przeciął, a twojej skóry nawet by nie naruszył.

- Gdybym nie zdjął rękawiczek, nie czułbym tak dobrze twojego ciała. Ugryzienie *Erinaceus europaeus* to niewielka cena za tę przyjemność. - Poruszył palcami. - Widzisz, wszystko w porządku.

Kathryn starła kroplę krwi i delikatnie pocałowała go we wnętrze dłoni.

- Już lepiej? - spytała, podnosząc głowę.

Drew zacisnął rękę w pięść, zamykając w niej muśnięcie warg.

- Jeszcze żaden pocałunek tak szybko nie ukoił bólu od czasu, kiedy poinformowałem moją mamę,

że młodzi mężczyźni już ich nie potrzebują. Mia-  
łem wtedy dziesięć lat.

- Biedna lady Templeston. Musiałeś bardzo ją  
zranić. Wiem, że Kit złamie mi serce, gdy uzna, że  
jest za duży na moje uściski i całusy.

- Kit nigdy nie będzie za dorosły na twoje uści-  
ski i całusy. Mam nadzieję, że zdołamy mu to uświa-  
domić.

Wsunął rękę pod pelerynę i położył ją na jej  
brzuchu.

- Och, Drew - szepnęła Wren. - Wszyscy chłop-  
cy kiedyś dochodzą do wniosku, że są za starzy na  
matczyne pieścizny.

- Ale to właśnie matki wzywają, gdy są ranni  
i umierają w błocie na polu bitwy. - Andrew po-  
trząsnął głową, na próżno opędzając się od strasz-  
nych wspomnień. - Nie wyobrazasz sobie, jak to  
jest, kiedy się słyszy setki młodych mężczyzn wo-  
łających matki we wszystkich językach. Nigdy nie  
zapomnę tamtych scen. Nie zdarzyło się, żeby któ-  
ryś żołnierz przyzywał ojca, chyba że niebieskiego.

Ramsey zamknął oczy i oparł czoło o jej głowę.

- Modliłam się za ciebie - powiedziała cicho Kath-  
ryn. - Modliłam się, żebyś bezpiecznie i cało wrócił  
do domu.

- I wróciłem.

- Ale nie bez blizn.

- Fizyczne blizny to drobiazg. O wiele gorsze są  
wspomnienia, koszmary, strach, poczucie winy. Po  
powrocie do Anglii zostałem obwołany bohaterem,  
ale nadal budzę się w nocy roztrzęsiony. Też mi bo-

hater! - Prychnął z lekceważeniem. - Przez pierwsze dwa lata po Waterloo w wolnych chwilach, których nie poświęcałem na opiekę nad Julianem, upijałem się do nieprzytomności, żeby zapomnieć. Nadal to robię, kiedy nie mogę zasnąć. O ironio, piję francuską brandy.

Wren zaczerpnęła oddechu.

- Chętnie cię wysłucham.

- Wojna to nie temat, na który mężczyzna powinien rozmawiać z... - Omal nie powiedział „z ukochaną”. - Ze słabszą płcią.

- Rozumiem. Wolałeś opowiedzieć o swoich przeżyciach ojcu, spowiednikowi, przyjacielowi albo kolegom żołnierzom.

- Nigdy o nich nie rozmawiałem z ojcem, spowiednikiem ani kolegami. A zwłaszcza z najbliższym przyjacielem, który aż za dobrze zna okropności wojny.

- Zapewne - powiedziała Kathryn cicho i oparła się o jego pierś.

Przytulił ją bez słowa. Długo jechali w milczeniu przez park, w coraz większym deszczu, aż wreszcie Drew zaczął mówić.

Jednym tchem opowiedział o koszmarach i trudach wojny, o bitwach, o śmierci, o najgorszych chwilach. Po raz pierwszy mówił o rzeczach, które prześladowały go w snach. Gdy skończył, odetchnął głęboko. Już od lat nie zaznał takiego spokoju. Wiedział, że wspomnienia nie przestaną go nawiedzać do końca życia, ale czuł, że teraz sobie z nimi poradzi. Nareszcie zacznie sypiać zdrowym snem. Kath-

ryn nie mogła uwolnić go od bólu, który nosił w sercu, ale była gotowa dzielić z nim jego cierpienie, a to wiele znaczyło dla człowieka, który przez ostatnie cztery lata nie potrafił odnaleźć sensu życia.

- Już mi lżej na duszy - wyznał.

- Bez uścisku albo pocałunku?

- Dzięki współczuciu wyjątkowej kobiety. - Nachylił się i pocałował ją w kark. - Chciałbym wrócić do czasów, gdy miałem dziesięć lat i mama pocałunkiem koiła ból, kiedy się skaleczyłem. Chciałbym przeprosić za to, że ją zraniłem. - Kilka razy przełknął ślinę. - Chciałbym jej powiedzieć, jak bardzo ją kochałem.

- Już to zrobiłeś. Ona cię słyszy. Wie, co się dzieje w twoim sercu.

- Może, ale szkoda, że wtedy jej tego nie powiedziałem. Powinienem być pozwolić, żeby mnie do woli ścisnęła i całowała. Teraz żałuję, że wyrwałem się z jej objęć.

- Wybaczyła ci to od razu.

- Skąd wiesz?

- Bo sama jestem matką.

- Żałuję również, że nie walczyłem o ciebie - szepnął Drew. - Powinienem być czekać pod twoimi drzwiami, póki nie zgodziłabyś się ze mną zobaczyć. A gdybyś mnie nie przyjęła - wyważył drzwi. Mogłem zrobić dużo więcej, a ja uciekłem do armii Wellingtona.

- To nie twoja wina.

- Kochałem cię i zamierzałem poślubić.

- A ja porzuciłam cię na oczach ludzi. Miałeś pra-



wo oskarżyć mnie o złamanie obietnicy małżeństwa.

- Nawet o tym myślałem - przyznał Andrew. - Ale co by pomogło szarganie naszego dobrego imienia? Nie chciałem dostarczyć londyńskiej śmietance kolejnego tematu do plotek, a tym bardziej żądać od ciebie zadośćuczynienia. Nie brakowało mi pieniędzy. Straciłem natomiast jedyną kobietę, której pragnąłem.

- Przykro mi, że cię zawiodłam.

Markiz westchnął głęboko.

- Wiem, że nie zrobiłaś tego, żeby mnie skrzywdzić. Domyślałam się, że musiałaś tak postąpić. - W chwili gdy wypowiedział te słowa, żal i gniew, które nosił w sobie od tamtego feralnego dnia, wygasły niczym ognisko i pozostał po nich tylko dym. O krwawych ranach na sercu świadczyły już tylko blizny. - Mam jedynie nadzieję, że zaufasz mi na tyle, żeby mi opowiedzieć, co się wtedy wydarzyło.

- Och, Drew - szepnęła Wren głosem nabrzmiałym łzami.

- Już dobrze. Nie musisz teraz nic mówić, ale kiedy będziesz gotowa, chętnie cię wysłucham. - Uściskał ją mocno. - Pora wracać do domu.

Kathryn skinęła głową.

- Codziennie przed śniadaniem zażywam przejażdżki - powiedział Andrew. - Chciałbym, żebyś mi towarzyszyła.

- Musiałabym jechać na własnym koniu?

- Nie, póki nie nabierzesz wprawy.

- W takim razie chętnie.

- Jeszcze o coś zamierzam cię poprosić.

- O co?

Pod jego spojrzeniem Wren zrobiło się gorąco.

- O twoje słowo honoru, że żaden inny mężczyzna nie będzie dotykał twoich piersi. Ten zaszczyt rezerwuję wyłącznie dla siebie.

- Kiedy? - spytała bez tchu.

- Kiedy tylko zechcesz.

## 17

W małym chłopcu widać mężczyznę.

Przysłowie angielskie

Kit wybiegł ze stajni, wołając:

- Mamo, mamó, jeździłaś na koniu?

Riley złapał go z tyłu za koszulę, żeby nie spłoszył Felicity.

- Oczywiście - odpowiedziała Kathryn.

- Sama?

- Nie, jego lordowska mość mnie przewiózł.

- Coś się stało, milordzie? - zapytał koniuszy.

- Nie - odparł Ramsey krótko.

- Tak długo państwa nie było, że już się bałem, że Felicity wpadła do lisiej nory albo zgubiła podkawkę - wyjaśnił Riley, pomagając Wren zsiąść z konia.

- Wszystko w porządku - zapewnił Andrew, zeskoczył z siodła i oddał koniuszemu wodze. - Pani Stafford i ja objechaliśmy całą posiadłość. A Kit? - Zmierzył chłopcu włosy. - Jak spisywał się na pierwszej lekcji?

- Bardzo dobrze. Jakaś godzinę temu przysłała po

niego guwernantka, ale uprosił ją, żeby pozwoliła mu zostać, póki państwo nie wróca.

Malec chwycił brata za rękę.

- Chodź, Drew. Ty też, mamusiu. Zobaczycie, co robiłem. - Pociągnął markiza przez środek stajni; Wren szła za nimi. - To jest boks Lancelota. Widzicie? - Podskoczył, próbując zajrzeć do środka. - A to Jem. - Wskazał na stajennego, który wyglądał na jakieś jedenaście albo dwanaście lat. - Najpierw pomógł mi wyczyścić Lancelota i posprzątać jego boks, a później ja mu pomogłem w tamtych dwóch.

Drew z wielką ceremonią sprawdził rezultaty ich pracy i pochwalił Kita za staranność i troskę o kucyka, a Jema za to, że wziął panicza pod swoje skrzydła i nauczył go kilku ważnych rzeczy.

Kathryn uśmiechnęła się do synka. Był brudny i cuchnął końskim nawozem, ale wręcz tańczył z radości i uśmiechał się od ucha do ucha.

- Sprzątałeś boksy? - zapytała.

Chłopiec pokiwał głową.

- Pan Riley mówi, że prawdziwy jeździec musi nauczyć się dbać o swojego konia, zanim będzie mógł go dosiąść.

Wren z podziwem spojrzała na Drew.

- Więc to była pierwsza lekcja Kita?

- Podobnie wyglądała moja, kiedy awanturą próbowałem wymusić na ówczesnym głównym koniuszym, żeby pozwolił mi pojeździć na Galahadzie. Riley i ja byliśmy wtedy w wieku Kita. Jego ojciec zapędził nas obu do czyszczenia koni i sprzątnania stajni. Pamiętasz, Riley?

- Tak, sir. Tata przed każdą lekcją jazdy kazał nam wyrzucać gnój i szczotkować konie.

- Mamo, jak chcesz, możesz pomóc mi i Jemowi wyczyścić boks Felicity - zawołał Kit.

- Chętnie - odparła Wren z uśmiechem.

- O, nie. - Drew złapał ją za rękę. - Nie jesteś w odpowiednim stroju. A te buty zniszczysz w ciągu paru minut. - Nachylił się i spojrzał Kitowi w oczy. - Może zaczekamy, aż twoja mama będzie inaczej ubrana?

Chłopiec zmarszczył czoło.

- Nauczysz ją czyścić stajnie po jutrzejszej lekcji jazdy - zaproponował Andrew.

- Dobrze - zgodził się Kit i spojrzał na matkę. - Jutro też włożysz suknię?

Wren skinęła głową.

- Damy nie chodzą w spodniach.

Malec zwrócił się do brata z poważną miną.

- Ale wszystkie suknie mojej mamy wyglądają tak samo. Będziemy ją uczyć wygarniać nawóz?

- Oczywiście. - Markiz przygryzł policzek, żeby powstrzymać uśmiech. - Zobaczysz, że znajdę twojej mamie stosowny ubiór.

- Obiecujesz?

- Obiecuję. A teraz pora wracać do domu na herbatę. Pożegnaj się z Jemem, panem Rileyem i Lancelotem.

- Muszę już iść?

- Obawiam się, że tak. Panna Allerton na pewno przygotowała ci gorącą kąpiel i kolację.

- Dobranoc, Jem. Dobranoc, panie Riley. - Chłopiec stanął na palcach, żeby zajrzeć do kucyka, ale

po kilku nieudanych próbach odwrócił się do starszego brata. - Podniesiesz mnie, żebym mógł powiedzieć dobranoc Lancelotowi?

Kathryn mocniej zabiło serce, kiedy zobaczyła, jak Drew bierze Kita na ręce. Malec objął go za szyję i przytulił główkę do jego głowy. Nikt nie mógł wątpić, że łączą ich więzy pokrewieństwa. Podobieństwo rzucało się w oczy. Christopher Ramsey był jaśnowłosą miniaturką Andrew. Można by ich wziąć za ojca i syna. Gdyby przed czterema laty wszystko potoczyło się inaczej... Łzy ścisnęły ją za gardło.

Kit wyciągnął do niej rękę.

- Mamo, chodź popatrz, jak Lancelot je!

- Ty też powinienes coś zjeść - stwierdziła Wren, zbliżając się do boksu.

Chłopiec już chciał zaprotestować, ale markiz skarcił go wzrokiem.

- Jak brzmi druga zasada, której powinien przestrzegać dobry jeździec?

- Dobry jeździec robi, co mu się każe - wyrecytował Kit.

- A o co cię prosiłem?

- Żebym słuchał mamy i Ally.

Kathryn uśmiechnęła się do Drew nad główką syna. Andrew odpowiedział jej mrugnięciem.

- Grzeczny chłopiec. Teraz pożegnaj się ze swoim kucykiem, bo ja jestem głodny jak niedźwiedź.

Zaryczał groźnie, a malec wybuchnął śmiechem.

- Dobranoc, Lancelocie. Chodź, mamo. Musimy iść na kolację, bo Drew i ja jesteśmy głodni jak niedźwiedzie!.

Po drodze urządzili konkurs na najgłośniejszy ryk. Andrew wygrał tylko dlatego, że Kit zasnął mu na ramieniu, zanim dotarli do domu.

- Zaczekaj, Drew - powiedziała Wren przed drzwiami. - Wezmę go od ciebie. Jesteś przemoczony.

- Ty również. Zresztą nie pozwolę, żebyś dźwigała go po schodach. - Posiał jej domyślny uśmiech. - Nie martw się, Kathryn. Nie upuszczę go. Mam silne ręce.

- Istotnie. Doceniam twoją pomoc, ale nie rób sobie kłopotu. Ally i ja doskonale sobie poradzimy.

- Niewątpliwie, ale nie widzę powodu, dla którego tylko ty i panna Allerton miałybyście się zajmować Kitem. Ja też chcę coś zrobić, zwłaszcza że to całkiem przyjemne.

Dał jej znak, żeby szła przodem, a sam ruszył za nią do pokoju dziecięcego. Ally już na nich czekała. Rzuciła spojrzenie na podopiecznego i uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

- Przygotowałam kąpiel, ale nie ma sensu go budzić. Proszę położyć go do łóżka, milordzie.

Drew spełnił polecenie i cofnął się o krok. Wtedy Kathryn rozebrała synka, a guwernantka zamoczyła ręcznik w balii, z grubsza obmyła chłopca i założyła mu czystą piżamkę.

- Jestem ciekawa, milordzie, czy w stajni zostało choć trochę nawozu, czy Kit przyniósł cały na siebie?

Ramsey się roześmiał.

- Kit uparł się, żeby zostawić trochę dla mamy.

- Naprawdę?

- Tak - potwierdziła Wren. - Po jutrzejszej lekcji jazdy Kit będzie mnie uczył sprzątania stajni.

- Cóż, widać świetnie się bawił. - Ally westchnęła. - A już się martwiłam się, że brakuje mu męskiej ręki.

- Niepotrzebnie - powiedział Drew. - Panicz Kit ustanowił nowy rekord w rodzinie Ramseyów. Wyczyszczył kucyka i pomógł posprzątać trzy boksy. Ja w jego wieku uporałem się jedynie z dwoma.

- Więc nic dziwnego, że zasnął! - stwierdziła panna Allerton, wyraźnie będąca pod wrażeniem. - Rano uczcimy jego osiągnięcie. - Spojrzała na markiza, a potem na Wren. - Proszę mi wybaczyć śmiałość, ale uważam, że pan, milordzie, i pani Stafford powinniście zrzucić te mokre ubrania i wziąć ciepłą kąpiel.

Kathryn pochyliła się nad łóżkiem i pocałowała syna w czółko.

- Dobranoc, skarbie. - Otuliła go kołdrą. - Śpij smacznie.

Następnie pożegnała się z Ally i wyszła z pokoju dziecięcego. Drew dogonił ją na schodach.

- Dokąd się wybierasz?

- Do domu.

- Znowu pada.

- Trochę deszczu więcej na pewno mi nie zaszkodzi. I tak już jestem mokra. Muszę zajrzeć do zwierząt.

- Zwierzęta mogą poczekać do rana. Może zrezygnujesz ze spaceru w taki ziąb i skorzystasz z pokoju gościnnego?

Wren zmierzyła go wzrokiem.

- Wiem od pani Tanglewood, że zawsze jest tu dla ciebie przygotowany pokój. Tak zdecydował mój ojciec. Po co w ogóle masz wracać do wdowiego domku? Nie chciałabyś być bliżej synka?



- Chciałabym, ale dałam George'owi słowo, że pozwolę Kitowi na odrobinę samodzielności.

- Dlaczego cię o to prosił? - spytał Drew ze zdziwieniem.

- Bo uznał, że będę trzęsła się nad moim dzieckiem, co nie wyjdzie na dobre żadnemu z nas. - Skrzywiła się lekko. - I miał rację. Pod opieką Ally Kit wyrósł na śmiałego, wesołego chłopca zamiast na bojaźliwego albo rozpieszzonego. Jestem bardzo dumna z jego postępów.

- To kolejny powód, żebyś wróciła na górę i wy-moczyła się w gorącej kąpieli. A rano będziesz na miejscu i uczysz jego osiągnięcie. - Obdarzył ją czarującym uśmiechem. - Pokojówki równie dobrze mogą przygotować dwie wanny. Jeśli wrócisz do domku, będziesz musiała sama dźwigać i grzać wodę. - Widząc jej determinację, dodał: - Poślę Isleya, żeby zaopiekował się twoją menażerią.

- Nie, proszę. To starszy człowiek. Nie chcę, żeby wychodził na deszcz.

- W takim razie idę z tobą.

- Nie trzeba, Drew. Dziękuję.

- Pomogę ci nakarmić i napoić zwierzęta, a potem wrócimy tutaj na gorącą kąpiel i kolację.

- Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł.

- Ale ja owszem. Będę mógł chwilę dłużej porozmawiać z tobą na osobności. Chcę cię o coś poprosić.

- O co?

Drew uśmiechnął się tajemniczo.

- Powiem ci w drodze do domku.

## 18

Usta całowane nie tracą uroku, ale odnawiają się jak księżyc.

Giovanni Boccaccio, 1313-1375

- Co to za prośba? - zapytała Kathryn, gdy tylko przestąpili próg wdowiego domku.

Margo wybiegła im na powitanie, po czym śmignęła przez frontowe drzwi i popędziła żwirową ścieżką w stronę głównego budynku. Gdy lampy zapalone przez gospodynię rozproszyły wieczorny mrok, domek nagle ożył. Rozległy się piski, pomruki, ćwierkania, szelesty, tupot małych nóżek.

Andrew nie odpowiedział na pytanie, tylko wziął Kathryn w ramiona. Dotyk jego warg sprawił, że jej serce забиło mocniej. Objęła go za szyję i zatraciła się w pocałunku. Jeśli uznać całowanie za sztukę, Drew był jej mistrzem, a ona najbardziej gorliwą uczennicą.

Wplotła palce w gęste włosy i przywarła do niego mocniej, wdychając jego zapach. Oszołomiła ją własna gwałtowna reakcja. Gdy odchyliła głowę, Drew musnął wargami jej zamknięte powieki, a następnie wtulił usta w zagłębienie za uchem, gdzie krew tę-

niła do rytmu rozszalałych emocji. Pod Wren ugięły się nogi.

Nagle Andrew puścił ją i cofnął się o krok. Oddech miał przyspieszony, serce waliło mu jak młot. Kathryn była jeszcze piękniejsza niż przed laty. Omal zapomniał o jej urodzie. Swym zarostem lekko podrażnił jej kremową skórę, usta miała czerwone i nabrzmiące od pocałunków, oczy lekko zamglone i rozmarzone. Wyglądała jak panna młoda.

- Czekałem na to przez całe popołudnie - szepnął, delikatnie obwodząc palcem owal jej twarzy. - Ale warto było.

- Właśnie o to chciałeś mnie poprosić? - spytała Wren, odzyskawszy zdolność wyrażania myśli słowami.

Takie prośby mogła spełniać codziennie.

- Nie tylko.

- A o co jeszcze?

Drew uśmiechnął się i dotknął jej nosa, ale w jego oczach malowała się powaga.

- Gdzie twój rozsądek? Nie zgadzaj się pochopnie, póki nie usłyszysz, o co chodzi.

- Dobrze. O co więc chodzi?

Ramsey sięgnął do kieszeni peleryny, wyjął z niej Erina i podał go Kathryn, która już zaczęła karmić zwierzęta.

- Zdaje się, że jednego ci brakuje.

Wren umieściła jeża w legowisku.

- Wspomniałeś o jeszcze jednej prośbie.

- A co z Margo? - Drew zmienił temat. - Na pewno dobrze zrobiłaś, że ją wypuściłaś?

- Niedługo wróci. Nie znosi deszczu.

- Gdzie pobiegła?

- Do twojego domu. Kucharka co wieczór zostawia jej smakowitą kolację. Margo ją zjada, potem patroluje ogród i wraca do swojego mieszkania. - Wren wskazała na kosz stojący przy kominku, a następnie przeszła przez salon oraz krótki korytarz i otworzyła małą klapkę wyciętą w kuchennych drzwiach. - Pan Isley ją zrobił, żeby Margo mogła sama wchodzić i wychodzić. No więc, co to za prośba?

- Żebyś jutro po południu poszła ze mną do wioski. Ja umówiłem się z wielbnym pastorem Poolem, a chciałbym, żebyś spotkała się z właścicielem zakładu pogrzebowego panem Smalleyem i ustaliła szczegóły pochówku. - Zrobił pauzę. - Załatwiałem w życiu wiele różnych spraw, ale takiej nigdy. Pomyślałem więc, że ty...

Kathryn była wielce rozczarowana. Nie sądziła, że chodzi o tego rodzaju przysługę.

- Raczej ktoś inny powinien ci towarzyszyć - stwierdziła chłodnym tonem i wyszła w deszczową noc.

Drew ruszył za nią.

- A kogo proponujesz? - zapytał. - Newberry'ego? Panią Tanglewood? Pannę Allerton?

- Ally to dama. Jest młodszą córką wicehrabiego.

- I pracownicą. Potrzebuję kogoś, kto nie jest u mnie na służbie.

- Nie masz żadnych przyjaciół w hrabstwie?

- Nawet jeśli miałem, straciłem z nimi kontakt. Nie byłem w Swanslea od czterech lat. A ty z kimś się tutaj przyjaźnisz?

-Tylko z Ally.

Markiz przeczesał włosy dłonią.

- Nie mogę wziąć panny Allerton na spotkanie z pastorem. To tylko zatrudniona u mnie guwernantka, w dodatku niezamężna. Sama widzisz, że nie mam do kogo się zwrócić.

Nie powinna czuć się urażona, że Andrew poprosił ją o przysługę wyłącznie z braku innych możliwości, ale mimo wszystko...

- Oprócz mnie, a ja jestem... - Spuściła głowę.

- Wdową - dokończył za nią. - Lecz byłaś również... - Odchrząknął i spróbował jeszcze raz. - Przyjaciółką markiza Templeston. Pomyślałem sobie, że skoro ciebie i mojego ojca wiele łączyło, mogłabyś wziąć udział w przygotowaniach...

Uniósł jej brodę i spojrzał w oczy.

- Sam powiedziałeś, że nie chcesz, by jedna kochanka twojego ojca uczestniczyła w pogrzebie drugiej. Przyjechałeś do Swanslea, żeby temu zapobiec.

Szybkim krokiem ruszyła w stronę rezydencji. Drew dogonił ją w trzech susach, chwycił za łokieć i odwrócił do siebie.

- Chodziło mi jedynie o to, żeby uniknąć skandalu, ale wiesz, że zmieniłem zdanie. Nigdy nie rozmawiałem z właścicielem zakładu pogrzebowego, podczas gdy ty masz...

- Duże doświadczenie w planowaniu pogrzebów.

- Nie chciałem być gruboskórny.

- Ale tak właśnie sobie pomyślałeś?

- To prawda.

- I nic dziwnego. Jestem w żałobie od paru lat.

Pochowałam męża, ojca, ciotkę, sy... Rzeczywiście mam duże doświadczenie w tej dziedzinie. - Do oczu napłynęły jej łzy, ścisnęły gardło. - Mój syn nie widział mnie inaczej niż w czerni. - Otarła twarz wierzchem dłoni. - Tyle czasu minęło, odkąd ubierałam się w jasne stroje, że nawet nie pamiętam, jak wtedy wyglądałam.

Drew sięgnął pod pelerynę, wyjął z kieszeni kamizelki chusteczkę z delikatnego irlandzkiego płótna i podał ją Kathryn.

- Ale ja pamiętam - powiedział łagodnie. - Byłaś piękna. Nosiłaś cienkie muśliny w pastelowych kolorach: różowym, niebieskim, żółtym i zielonym. Pamiętam wszystkie twoje suknie, a zwłaszcza tę białą, którą miałaś na sobie na balu u księżnej Beresford, kiedy pierwszy raz cię zobaczyłem. I tę srebrną, którą włożyłaś do Vauxhall Gardens dwa dni przed naszym ślubem.

- W tamten wieczór, kiedy zostałeś wezwany do ministerstwa.

Wyciągnął rękę i odgarnął kosmyk, który przykleił się do jej wilgotnego policzka.

- Tak. Pułkownik Grant wezwał mnie wtedy do ministerstwa, żebym pomógł mu rozszyfrować wiadomość dotyczącą planu kampanii Bonapartego. Wiedziałem, że mój ojciec odwiezie ciebie i twoją ciotkę bezpiecznie do domu, ale mimo wszystko zostawiłem cię na koncercie z ciężkim sercem.

- Naprawdę? - zapytała Wren tak cicho, że ledwo ją usłyszał.

-Tak.

Opuszczenie Kathryn tamtej nocy, niemal w przeddzień ślubu, było jeszcze trudniejsze niż czekanie na nią przy ołtarzu dwa dni później. Nie żeby jej nie ufał. Po prostu już w chwili, kiedy się z nią rozstał, wiedział, że popełnił straszny błąd. Dobrze pamiętał obezwładniający żal i dręczące przecucie nieszczęścia, ale musiał stawić się na rozkaz. Najgorsze, że dowódca kazał mu czekać dwie godziny, zanim go przyjął, a w dodatku wydawał się zdziwiony jego widokiem.

Jadąc do biura Granta, wiele razy chciał zawrócić do Vauxhall. Szykowała się kolejna wojna z Francją i choć za dwa dni miał poślubić Kathryn, czuł, że jego marzenie o wspólnej przyszłości się rozwiewa.

- Przez lata obarczałem się winą za to, co nas spotkało - wyznał. - I nie mogę przestać myśleć o tym, że gdybym wtedy po ciebie wrócił, nasze życie byłoby teraz inne.

Wren zrozumiała, że Drew szuka u niej potwierdzenia, choć nie zadał pytania.

- Tak. Nasze życie byłoby zupełnie inne.

Andrew na próżno czekał, aż Kathryn powie coś więcej, wyjawii swój sekret, powód, dla którego zostawiła go przy ołtarzu.

- W takim razie podwójnie żałuję - rzekł w końcu. - I wiedz, że jesteś jeszcze piękniejsza niż wtedy. Nie miałem na myśli tego, że do twarzy ci w żałobie - dodał pospiesznie. - Ale na pewno czerń cię nie szpeci. Kolorowe suknie nie dodadzą ci w moich oczach urody, bo to już niemożliwe.

- Dziękuję.

Stała na palcach i serdecznie go ucałowała.

Drew wolałby wprawdzie namiętny pocałunek od lekkiego cmoknięcia w kącik ust, ale spontaniczny gest zaskoczył go i sprawił mu przyjemność. Gdy Kathryn się cofnęła, dotknął palcem jej warg.

- Czy to znaczyło „tak”?

Wren potrząsnęła głową.

- To było „dziękuję”.

-Aha.

- Ale ponieważ nie mogę znieść myśli, że będziesz zdany na łaskę pana Smalleya, pójdę z tobą jutro do wioski. Pod jednym warunkiem.

- Jakim?

Uśmiechnęła się wesoło.

- Ze przed wizytą zostawisz mi dużo czasu na kąpiel i przebranie się. Jak wiesz, rano mam naukę jazdy konnej, a potem lekcję wygarniania nawozu.

- Możesz się kąpać, jak długo zechcesz - obiecał Drew i pocałował ją w usta. - Dziękuję. A teraz chodźmy za przykładem Margo i poszukajmy czegoś do jedzenia.

Zamierzał wziąć Kathryn pod łokieć, ale rozmyślił się i sięgnął po dłoń. Trzymał ją mocno, kiedy wchodzili do domu, i nie puścił, póki nie rozstali się na szczycie schodów.



## 19

Gdyby tak miłość wiecznie świeża  
Była, jak głosi śpiew pasterza -  
Może by wtedy warto było  
Pójść z tobą i być twoją miłą.\*

Sir Walter Raleigh, 1552-1618

Gdy rano Kathryn szła na śniadanie, zadrzała mimo woli, mijając bliźniacze salony i pokój muzyczny. Łączące je masywne drzwi rozsuwano w razie potrzeby i w ten sposób powstawała ogromna sala balowa. Teraz z pokoju muzycznego usunięto wszystkie meble, łącznie z fortepianem i harfą, a wypolerowany parkiet zakryto grubymi dywanami, żeby tłumiły dźwięki. Masywny stół udrapowano czarną krepą i ustawiono na środku pomieszczenia.

- Wcześniej wstałaś.

Wren odwróciła się zaskoczona. W progu jadalni stał Drew z filiżanką w dłoni.

\* Przekład Stanisława Barańczaka.

- Mówiłeś, że zwykle rano jeździsz konno.  
Odsunął się, żeby ją przepuścić, i poczuł zapach jej perfum.

- Owszem. Kawy?

Napełnił filiżankę i sięgnął po drugą.

- Nie, dziękuję. Nie przepadam za kawą. Wolę herbatę. - Podeszła do kredensu i zerknęła na markiza spod rzęs. - A gdy jestem w bardzo dekadencym nastroju, lubię gorącą czekoladę z odrobiną bitej śmietany, najlepiej podaną do łóżka.

Drew zdjął z podgrzewacza mały srebrny dzbanek i nalał do filiżanki parującą czekoladę. Dodał bitej śmietany, zamieszał ją laską cynamonu i podał Wren. Następnie wzniosł toast swoją kawą.

- Za dekadencję.

- Jestem pod wrażeniem - powiedziała Wren. - Ale zapomniałeś, o najważniejszej rzeczy.

- To znaczy?

- Gorąca czekolada z bitą śmietaną najlepiej smakuje w ciepłym, wygodnym łóżku.

- Nie zapomniałem - odparł Drew z błyskiem w oku. - Pomyślałem sobie jednak, że tę atrakcję zachowamy na inny poranek.

Pod jego spojrzeniem Kathryn oblała się rumieńcem. Chcąc ukryć zmieszanie, podniosła filiżankę do ust, ale tak mocno trzęsły się jej ręce, że brzeg naczynia dzwonił o zęby, ciemny napój ściekał na brodę, a nad górną "wargą utworzył się wąż ze śmietany. Z grzechotem odstawiła filiżankę na spodek.

- Wszystko wypitaś? - zapytał Andrew.

Skinęła głową.

- Więc pozwól.

Podszedł do niej, odsunął puste naczynie na bok, nachylił się i zlizął krople czekolady z jej podbródka oraz białą piankę znad górnej wargi.

Wren poczuła żar bijący od jego ciała. Zadrżała, kiedy przywarł gorącymi ustami do jej warg. Pocałunek smakował kawą, za którą nigdy nie przepadała, i Andrew Ramseyem, którego uwielbiała ponad wszystko. Zarzuciła mu ramiona na szyję, zaczęła pieścić kark, wsunęła ręce w gęste szpakowate włosy.

Drew przeszkadzały warstwy ubrania okrywające jej ciało. Chciał pieścić delikatną skórę, ważył w dłoniach cudowne piersi, a czuł tylko gruby materiał stroju do konnej jazdy, maskujący rozkoszne krągłości. Całując ją żarliwie, przesuwiał dłońmi po jej plecach, jędrnych pośladkach, udach.

Oderwał się od jej warg tylko po to, żeby obsypać pocałunkami szyję i miejsce za uchem.

Rozpalona, zdyszana Wren odszukała jego usta i wpiła się w nie z całą namiętnością, co Drew wziął za zachętę. Zaczął sobie śmieiej poczynać.

- Co robisz? - wyszeptała Kathryn.

- Pragnę cię dotykać. Rozebrać i całować całą. Usta, oczy, piersi. - Raptem uświadomił sobie, że znajdują się w jadalni, do której w każdej chwili może ktoś wejść. Odsunął się pospiesznie. - Ale, o ile pamiętam, jesteśmy umówieni na przejażdżkę.

Widząc jego znaczący uśmiech, Wren zrozumiała, że pozwoli się zawieźć na koniec świata, byle tylko ją całował.

Tymczasem Drew szukał w myślach bezpiecz-

niejszego tematu rozmowy, jednocześnie starając się odzyskać panowanie nad sobą.

- Czy już ci mówiłem, że wyglądasz dzisiaj oszłamiająco?

Kathryn z trudem ukryła rozczarowanie.

- Dziękuję za komplement - powiedziała, zerkając na niego zalotnie spod rzęs.

- Do twarzy ci w tym kolorze.

- Dziękuję za strój do jazdy.

Miała na sobie staromodną suknię w kolorze burgunda, z szarymi aksamitnymi klapami, walenką koronką wokół szyi, wysokim stanem i długim rzędem małych kościanych guziczków.

Markiz znalazł ją w cedrowym kufrze w sypialni swojej matki. Zanim udał się na spoczynek, kazał ją przewietrzyć, wyprasować i z samego rana zanieść pani Stafford. Oprócz sukni w komplecie były szare spodnie do konnej jazdy, rękawiczki i ciemnopurpurowe hiszpańskie bury. Kathryn nie włożyła rękawiczek i zdecydowała się na swoje czarne półbuty, a Ramsey w skrytości ducha liczył na to, że ze spodni również zrezygnowała.

- Dawno wyszedł z mody, ale to jeden z niewielu strojów mojej matki w kolorze innym niż czarny.

Również jeden z niewielu, który zapinał się z przodu, a nie z tyłu.

- A kogo obchodzi moda? Najważniejsze, że wreszcie włożyłam coś kolorowego. Jeśli ktoś mnie zobaczy, zgorszę całe hrabstwo i stracę resztkę reputacji, ale co tam!

Andrew osobiście uważał, że burgundowa suknia

wywołałaby mniejszy skandal niż to, co niedawno robili, nie mówiąc o tym, co zamierzał zrobić, gdy tylko oddał się od domu.

- Jeżdżę o świcie głównie dlatego, że o tej porze nikogo nie spotykam. Oczywiście zobaczy cię koniuszy i może któryś ze stajennych, ale Riley jest starym przyjacielem i człowiekiem dyskretnym, a reszta służby na pewno okaże się równie powściągliwa.

Wren się uśmiechnęła.

- Nie żałuję, że zgodziłam się na przejażdżkę. Żałuję tylko, że buty okazały się na mnie za małe. Podobnie jak rękawiczki. - Wyciągnęła przed siebie ręce. - Sądziałam, że mam małe dłonie, ale teraz widzę, że drwal by się ich nie powstydział. Za to spodnie są za duże.

- Moja matka nie była tak smukłej budowy jak ty. Mniejsza o spodnie, ale szkoda, że buty na ciebie nie pasują, bo zniszczysz swoje.

- Mnie również jest przykro. - Odgarnęła kilka niesfornych loczków, które opadły jej na czoło, i roześmiała się. - Nie wyobrażasz sobie, jak bardzo chciałam "włożyć te purpurowe cuda. Zakochałam się w nich od pierwszego wejrzenia.

- Zrób to jeszcze raz.

- Co?

- Zaśmiej się. Zawsze lubiłem ten twój lekko zachrypnięty śmiech, a teraz słyszę go dużo rzadziej niż kiedyś.

Wren się zamyśliła.

- Chyba rzeczywiście, ale świat się zmienił i ja również nie jestem tą dziewczyną, którą znałeś. Straciłam prawie wszystkich, których kochałam.

Od czterech lat noszę żałobę. Nie mam wielu powodów do radości.

I nikogo, z kim mogłabym ją dzielić.

- Tęskniłem za twoim śmiechem.

- W takim razie spróbuję śmiać się częściej.

- Już ja się o to postaram. Obiecuję. - Musnął ustami jej wargi, wyprostował się i podsunął jej talerz. - A teraz jedz śniadanie. Nie można jeździć na koniu ani czyścić stajni z pustym żołądkiem.

Drew liczył na deszcz, miałyby wówczas pretekst do założenia peleryny i pod jej osłoną mógłby rozpiąć guziki burgundowej sukni, ale jego nadzieje okazały się płonne. Niebo było pogodne, a w dodatku mimo wczesnej pory większość dzierżawców już krzątała się wokół codziennych spraw. Ścieżki w Hyde Parku byłyby o tej porze puste.

Ruszyli przez tę samą część posiadłości, którą przemierzyli poprzedniego dnia. Ponieważ Andrew nie mógł robić tego, co zamierzał, skupił się na otoczeniu oraz na zachowaniu bezpiecznej odległości od gęściej zaludnionych okolic. Ręce trzymał z daleka od piersi Kathryn.

Ona zaś nachyliła się i poklepała wierzchowca po karku.

- Jest równie miła, jak Felicity.

Markiz się roześmiał.

- To on.

-Aha.

- Osoba pracująca nad ilustracjami do *Brytyjskiej fauny i flory* powinna to zauważyć.

- U koni różnica umaszczenia między samicami a samcami nie jest tak wyraźna jak u innych przedstawicieli fauny.

Ramsey skwitował jej uwagę kolejnym wybuchem śmiechu.

- Są za to inne, bardziej oczywiste różnice.

- Damom każe się odwracać wzrok od pewnych części anatomii ogiera - odparła Wren z godnością.

- Abelard dziękuje ci za komplement. - Wierzchowiec zastrzygł uszami na dźwięk swojego imienia. - Ale nie jest ogierem.

- Biedny Abelard. W dodatku nie należy do rodzimego gatunku.

Andrew zaśmiał się jeszcze głośniej.

- Nie zauważyłaś, że to samiec, więc skąd możesz wiedzieć, że nie wywodzi się z Brytanii?

- Jedynymi rdzennie brytyjskimi przedstawicielami *Equus caballus* z rodziny *Equidae* są kuce - powiedziała Kathryn profesorskim tonem, żeby zrehabilitować się za wcześniejszą pomyłkę i popisać przed Andrew swoją wiedzą.

- Właściwie żaden z dużych roślinożernych ssaków z rzędu nieparzystokopytnych, tworzących rodzinę koniowatych, nie pochodzi z Wysp Brytyjskich. - Drew uśmiechnął się szeroko na widok jej zaskoczenia. - Skończyłem matematykę w Cambridge, a przy okazji liznąłem greki i łaciny oraz udało mi się zdobyć pewną wiedzę z dziedziny biologii i praktycznej anatomii.

- *Touche*- powiedziała Kathryn. - Miałeś tę przewagę, że jesteś najstarszym synem bogatego para,

który zadbał o twoją edukację, posyłając cię do szkoły i na uniwersytet.

- A ty córką postępowego i bardzo wykształconego przyrodnika.

- Który kazał mnie uczyć tradycyjnych kobiecych umiejętności zamiast biologii, greki czy łaciny. - Nagle poczuła się nieswojo, że krytykuje własnego ojca.

- Muszę mu oddać, że nigdy nie cenzurował moich lektur ani nie zakazywał uczestniczenia w spotkaniach towarzyskich z jego uczonymi kolegami, lecz część swojej rozległej wiedzy przekazał mi dopiero wtedy, gdy potrzebowałam mojej pomocy, żeby dokończyć pracę.

- W dodatku całkiem pominął lekcje praktycznej anatomii - dorzucił Andrew.

- Widocznie był zdania, że przyswoję ją w naturalny sposób, kiedy wyjdę za mąż i urodzę dzieci.

Drew nachylił się i musnął brodą jej kark. Jego oddech połąskotał ją w ucho.

- Co tylko potwierdza moją tezę, że ten znany naukowiec nie grzeszył spostrzegawczością. Zwłaszcza jeśli chodzi o własną córkę.

- Naprawdę tak uważasz? - zdziwiła się Kathryn.  
- Był jednym z najbardziej szanowanych przyrodników w Anglii.

- Nazwał cię Wren, choć nie masz nic wspólnego ze zwyczajnym, nudnym, pospolitym strzyżkiem. A przecież każdy widzi, że jesteś piękna i wyjątkowa.

- Ty nigdy nie używasz mojego przydomku.

Czyżby dostrzegł, że z miłej, ale raczej przecięt-



nej dziewczyny zmieniała się w wyrafinowaną i elegancką kobietę?

- Bo to imię do ciebie nie pasuje. Dla mnie zawsze byłaś Kathryn, a nie Wren.

- Zatrzymaj konia - poprosiła.

- Po co?

- Bo chcę cię pocałować.

- Tutaj? Teraz?

Znajdowali się blisko Swanslea i w każdej chwili ktoś mógł ich dostrzec i rozpoznać. Kathryn wprawdzie twierdziła, że nie dba o swoją reputację, ale Drew nagle sobie uświadomił, że jemu zależy na jej dobrym imieniu.

- A dlaczego nie?

- Ponieważ zobaczy nas pół wioski.

Właśnie przejeżdżali przez rosnący nad strumieniem zagajnik, gdzie poprzedniego dnia jedli razem lunch. W tym momencie markiz zorientował się, że szum w uszach nie jest wyłącznie rezultatem nieoczekiwanej propozycji Kathryn. To pracował młyn. Kilku mieszkańców Swanslea czekało na mąkę, drogą nadjeżdżał kolejny wóz.

Wren obejrzała się przez ramię.

- Nikt nie zwraca na nas uwagi.

- Ale zwróci, gdy zaczniemy się całować.

- Nic mnie to nie obchodzi.

- A mnie owszem - powiedział cicho, zaskoczony własnymi słowami. - Dziwne, ale tak jest. Nie widzę powodu, żeby dostarczać ludziom tematu do plotek.

Wren westchnęła.

- Powinnam być ci wdzięczna za troskę o moją reputację, ale jestem w stanie myśleć tylko o twoich ustach.

- Do licha! Jeśli cię nie pocałuję, będę głupcem, a jeśli ustąpię, wyjdę na łotra.

Zatrzymał wierzchowca i odwrócił ją do siebie.

- Całować czy nie całować? Oto jest pytanie - szepnęła Kathryn.

W innych okolicznościach Drew zaśmiałyby się i szybko rozstrzygnął hamletowski dylemat, lecz jej wątpliwości nagle go otrzeźwiły.

- Przynajmniej jedno z nas musi zachować rozsądek. Niech okaże się największym głupcem na świecie, ale nie zamierzam szargać twojego dobrego imienia.

- Ono już zostało zaszargane - przypomniała Wren.

- Nie przeze mnie. I nie tutaj, wśród ludzi, których opinia naprawdę się liczy.

- Niecały tydzień temu dałeś mi czas na oswojenie się z myślą, że zostanę twoją kochanką. Właśnie powzięłam decyzję.

- A ja się rozmyśliłem - oznajmił Drew.

- Co takiego?!

- Źle postąpiłem, próbując zmusić cię do uległości. Moim jedynym wytłumaczeniem może być to, że czułem urazę. Złożyłem ci propozycję w chwili gniewu. Teraz nie jestem pewien, czy rzeczywiście tego chcę.

- Rozumiem.

- Nie sędzę. - Odgarnął jej włosy z twarzy, na-

chylił się i musnął ustami czoło. - Moja odmowa nie oznacza, że nie pragnę twoich pocałunków. - Uśmiechnął się blado. - Wprost przeciwnie. Bardzo ich pragnę, ale nie jestem łajdakiem, tylko idiotą. Wracajmy do domu. Masz dzisiaj lekcję jazdy, a twój syn nie może się doczekać, żeby cię nauczyć machania widłami.

## 20

Nie wystarczy zdobywać mądrości, trzeba jeszcze z niej korzystać

Cycon, 106-43 p.n.e.

Pierwsza lekcja jazdy była już w toku, kiedy na padok przybyli Kit i panna Allerton.

- Spójrz na moją mamę! - krzyknął chłopiec, ciągnąc guwernantkę za rękaw.

Wren odwróciła głowę i zobaczyła, że oczy Ally rozszerzają się ze zdziwienia na widok jej burgundowego stroju. Siedziała wyprostowana w siodle i lekko trzymała wodze, a Drew prowadził Felicity na lonży.

Opanowawszy umiejętność dosiadania wierzchowca, zsiadania i utrzymywania równowagi na końskim grzbiecie, Kathryn nie stała się od razu tak znakomitą amazonką jak przyjaciółka, ale była bardzo zadowolona ze swoich postępów.

- Głowa do góry, wzrok przed siebie! - zawołał Andrew. - Ręce szerzej i swobodniej.

Z aprobatą skinął głową, kiedy uczennica wypełniła polecenia. Jeszcze dwa razy oprowadził konia wokół padoku i zakończył lekcję. Felicity tak rap-

townie stanęła w miejscu, że Wren zachwiała się do tyłu.

- Myślę, że na dzisiaj wystarczy - stwierdził trener. - Obie dobrze się spisałyście.

Poklepał klacz po karku i pomógł Kathryn zsiąść na ziemię. Prawą nogę miała całkiem ścierpniętą, więc oparła się ciężko na jego ramieniu. Zrobiła ostrożnie jeden krok i aż syknęła, gdy poczuła silne mrowienie. Do oczu napłynęły jej łzy.

- To jeden ze skutków siedzenia bokiem w damskim siodle - wyjaśnił Drew.

- Skąd możesz wiedzieć? - burknęła Wren.

Ramsey z trudem pohamował śmiech.

- Jako chłopiec nauczyłem się jeździć po damsku, żeby pomagać stajennym w trenowaniu ulubionych koni mojej matki. Gwarantuję, że ból zaraz ustąpi, tylko musisz rozchodzić nogę. - Nachylił się i szepnął Wren do ucha: - Zaproponowałbym ci masaż, ale nie chcę zgorszyć Riley'a i panny Allerton.

- Obawiam się, że Ally już jest zgorszona. Jeszcze nigdy nie widziała mnie w kolorowym ubraniu.

Andrew odwrócił się w stronę ogrodzenia, za którym stała guwernantka z podopiecznym.

- I co powiecie?

- Mama ładnie wygląda! - odkrzyknął chłopiec.

Markiz uśmiechnął się szeroko.

- Masz rację. A pani co sądzi o pierwszej lekcji pani Stafford, panno Allerton? - Nie czekając na odpowiedź, mówił dalej: - Ja jestem zadowolony z jej postępów. Muszę przyznać, że strój jeździecki mojej matki działał cuda. Wiem, że nie jest najlepszy

w tych okolicznościach, ale nie znalazłem innego, a dama nie powinna się martwić tym, że pokazuje za dużo kostki. Mam nadzieję, że nie uraziliśmy pani uczuć naszym pozornym brakiem szacunku dla obyczajów żałobnych. Zapewniłem panią Stafford, że niedługo krawcowa uszyje odpowiedni komplet i że tak doświadczona amazonka jak pani okaże wyrozumiałość.

Wren przygryzła wargę, zaskoczona tyradą Andrew.

- Oczywiście, milordzie - wykrztusiła Ally. - Uważam, że burgund jest bardzo twarzowy i że dokonał pan rozsądnego wyboru.

Drew odetchnął z ulgą.

- W takim razie każę przygotować do użytku resztę strojów mojej matki. I proszę swobodnie z nich korzystać.

Guwernantka posłała mu promienny uśmiech.

- Dziękuję, sir. Doceniam pańską wspaniałość.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparł markiz uprzejmie.

Zaczekał, aż Kathryn dojdzie do siebie, po czym wręczył jej wodze.

- Zaprowadź Felicity do Rileya, żeby ją rozsiadła i ostudził.

- Czy nie powinnam tego zrobić sama?

Drew potrząsnął głową.

- Oczywiście musisz wiedzieć, jak to się robi, ale stajenni ze Swanslea Park nigdy nie pozwolą damie oporządzać wierzchowca. - Otworzył furtkę. - Poza tym nie możemy rozczarować twojego syna. Kit

na pewno chce, żebyś stała przy ogrodzeniu i biła mu brawo.

Wren przekazała klacz koniuszemu i wróciła na padok w chwili, kiedy Jem przyprowadził Lancelota. Na widok już osiodłanego kucyka Kit zaczął skakać z radości.

- Jesteś gotowy? - spytał Drew.

- Tak, sir.

Andrew uśmiechnął się szeroko.

- Więc chodźmy.

Posadził chłopca w siodle i przystąpił do udzielania lekcji.

Serce Kathryn pęczniało z dumy, gdy obserwowała, jak malec stara się wypełniać polecenia brata i zasłużyć na jego pochwałę. Do oczu napłynęły jej łzy.

W pewnym momencie guwernantka wskazała głową na markiza i swojego podopiecznego:

- Niesamowite, prawda?

- Co?

- Ze tak bardzo są do siebie podobni.

- Jak to zwykle bracia.

Przyjaciółka zerknęła na nią z ukosa.

- Ty wiesz najlepiej, ale słyszałam, że byłaś zaręczona z obecnym lordem Templeston. Zapewniam cię jednak, że nie ma to dla mnie znaczenia, podobnie jak twój domniemany romans z ojcem obecnego markiza. Nie pierwszy raz narzeczeni przypieczętowali swój związek jeszcze przed ślubem i nie pierwszy raz interweniował dziadek, żeby uniknąć skandalu.

Pod wpływem spojrzenia guwernantki Wren oblała się rumieńcem.

- Ludzie pewnie słyszeli o zerwanych zaręczynach i rzeczywiście mogą sądzić, że Kit jest synem Andrew Ramseya, ale to nieprawda.

W oczach Ally pojawiło się współczucie, gdy usłyszała nutę Żalu w jej głosie.

- Wybacz, że pytam, ale czy chciałabyś, żeby było inaczej?

- Bardzo - sapnęła Kathryn.

- Przepraszam za wścibstwo, ale nie mogłam nie zauważyć, w jaki sposób patrzysz na jego lordowską mość i jak on patrzy na ciebie. A Kit jest do niego taki podobny... Cenię naszą przyjaźń i wiem, że nie powinnam się wtrącać, ale po prostu jestem ciekawa. - Umilkła na chwilę - Debiutowałam trzy lata wcześniej niż ty, a moja siostra równocześnie z tobą.

- Nie wiedziałam. Czy twoja siostra również jest guwernantką?

Ally potrząsnęła głową.

- Wyszła za lorda Tellanda. Mieszkałam z nimi, ale... cóż lord Telland okazywał mi niestosowne zainteresowanie. Kocham siostrę, a ona męża, więc opuściłam ich dom, bo gdyby coś zauważyła... chyba pękłoby jej serce. W czasie tamtego sezonu głównym tematem rozmów były starania lorda Templestona o twoją rękę. Kiedy więc czekałam, aż pojawisz się w kościele... - Wzruszyła ramionami. - Było dużo domysłów.

- Wyobrażam sobie.

- Jeśli zwolnisz mnie bez referencji, zrozumiem.

- Zwolnić? - Wren się roześmiała. - Nie mów głupstw, Ally. Nie mogłabym się bez ciebie obejść. Kit cię kocha i ja również. Jesteś moją przyjaciółką



i członkiem rodziny. Przyjaciele mają prawo do zdrowej ciekawości.

Ally zerknęła na markiza.

- Byłaś w nim zakochana? - spytała.

- Wtedy, teraz i zawsze.

- A nieżyjący lord Templeston?

- Nieżyjący lord Templeston uratował mi życie, dając syna.

- Chodź, mamusiu! - zawołał Kit. - Musimy wy-  
czyścić Lancelota i posprzątać jego stajnię. Drew  
obiecał, że nam pomoże. Pospiesz się, mamo!

Guwernantka wybuchnęła śmiechem.

- Mały chłopiec to jedyna istota na świecie, która  
nie może się doczekać uprzątnięcia końskiego nawozu.

- Nie sądzę, zety akurat to było dla niego głów-  
ną atrakcją. Spójrz, jak się cieszy, że brat poświęca  
mu tyle uwagi. Jest gotów na wiele w zamian za to-  
warzystwo jego lordowskiej mości.

Ally się uśmiechnęła.

- Może to, co powiem, zabrzmie zuchwale, ale  
wcale mu się nie dziwię.

Wren mrugnęła do przyjaciółki.

- Ja również.

## 21

Moim zdaniem ten głupiec dobrze wymościł sobie gniazdo.

Thomas Middleton, 1580-1627

Po gorącej kąpieli i lekkim lunchu Wren udała się do pokoju dziecięcego, żeby ułożyć Kita do łóżka na popołudniową drzemkę. Pocałowała go i życzyła mu słodkich snów, a synek uściskał ją mocno.

- Kocham cię, mamusiu. - Ziewnął szeroko, kiedy otulała go kołdrą. - I Drew, Lancelota, Felicity, Jema, Ally, pana Rileya i tatę.

- Ja też cię kocham, aniołku.

- A ty kochasz Drew, Lancelota, Felicity, Jema, Ally, pana Rileya i tatę tak mocno jak ja?

-Tak.

Kathryn uśmiechnęła się w duchu na myśl, że Ally i George znaleźli się w ich sercach za kucem szetlandzkim i kłaczą pełnej krwi angielskiej. Gdy Kit zasnął, wyszła na palcach z pokoju. W głównym holu natknęła się na Drew.

Włosy miał wilgotne po kąpieli, a na sobie ciemny żałobny strój, który włożył specjalnie na rozmowę

wę z pastorem i właścicielem zakładu pogrzebowego. Obok niego stał Newberry ze srebrną tacą. Markiz wziął do ręki kieliszek brandy i wychylił go jednym haustem.

- Dziękuję, że będziesz mi towarzyszyć, Kathryn - powiedział. - Wyglądasz bardzo ładnie. Bardzo...

- Stosownie?

Od kapelusza z piórkiem po skórzane buty była cała ubrana na czarno.

- Może to i dobre określenie. - Drew odstawił pusty kieliszek na tacę i podał jej ramię. - Ale chciałem powiedzieć: po królewsku, jak prawdziwa dama.

Newberry odstawił tacę na mały stolik Duncana Phylfe'a i ruszył do wyjścia.

- Pański kapelusz i laska, sir.

Andrew podziękował kamerdynerowi skinieniem głowy i szedł z Kathryn po schodach do czekającej już na nich karocy z herbem Ramseyów namalowanym na drzwiach.

- Jedziemy?

-Jeśli musimy - bąknęła Wren, wsiadając do ciemnego wnętrza.

Drew usiadł naprzeciwko niej na miękkim aksamitnym siedzeniu, uderzył laską w dach i kazał stangretowi jechać na plebanię.

- Coś nie w porządku? - zapytał, patrząc na Kathryn uważnie.

- Myślałam, że do wioski jeździsz dwukółką.

- To oficjalna wizyta nowego lorda Templeston u miejscowego pastora. Muszę pokazać, że jestem

godnym następcą piętnastego markiza. Kathryn, dobrze się czujesz?

- Oczywiście. - Zaśmiała się z przymusem. - Dlaczego pytasz?

- Bo siedzisz na samym brzegu siedzenia z takim wyrazem twarzy, jakbyś zaraz zamierzała zerwać się z miejsca, i jesteś blada jak płótno. Mamy wrócić do domu?

- Po prostu nie lubię być zamknięta w powozie.

Zwłaszcza w powozie markiza Templeston. Taka sytuacja przywoływała zbyt wiele niedobrych wspomnień. Kołysanie, skrzyp resorów, zapach kurzu bijący od aksamitnych poduszek przyciśniętych do jej nosa i ust, zimna, mosiężna klamka wbijająca się w żebra, ciężkie sapanie.

Nuta ledwo hamowanej paniki w tonie Kathryn wzbudziła czujność markiza. „Nie znoszę, kiedy się mnie napastuje.” Wtedy jej głos brzmiał tak samo, a na twarzy malował się identyczny wyraz. Może w rzeczywistości chciała powiedzieć: „Nie znoszę, kiedy się mnie napastuje, gdy jestem zamknięta w powozie markiza Templeston”.

Przysunął się do niej tak, że ich kolana się zetknęły, i sięgnął po jej dłoń. Mimo okrywającej ją skórzaną rękawiczki była lodowato zimna. Ogrzał ją w rękach.

- Nie bój się, Kathryn - powiedział łagodnie. - Nie zrobię ci krzywdy i nie pozwolę, żeby ktokolwiek cię skrzywdził. Obiecuję.

Zrobiła minę, jakby nic się nie stało, ale była mało przekonująca.

- Wiem, że jestem bezpieczna w twoim towarzystwie - powiedziała, siłąc się na spokój. - Wielebny Pool i pan Smalley może są niemili, ale zapewniam cię, że się ich nie obawiam.

Obdarzył ją zniewalającym uśmiechem.

- Skoro tak twierdzisz.

Parę minut później karoca się zatrzymała.

- Weź głęboki oddech - polecił Drew. - A teraz wolno wypuść powietrze. Właśnie. Już lepiej?

Kiedy bez słowa skinęła głową, opuścił jej woalkę na twarz, wysiadł z pojazdu i wyciągnął do niej rękę.

- Pamiętaj, że będę przy tobie.

Rączką laski zapukał do drzwi plebanii.

- Nie zapowiadaj mnie - zdążyła szepnąć Wren, zanim w progu stanęła pokojówka.

Andrew rzucił jej spojrzenie z ukosa, ale zrobił to, o co prosiła.

- Markiz Templeston pragnie się zobaczyć z wielbnym Poolem - oznajmił.

Gdy służąca zaprowadziła ich do saloniku, Ramsey zdjął płaszcz i gestem pokazał Kathryn, żeby usiadła na sofie. Ledwo Wren uniosła woalkę i złożyła ręce na kolanach, do pokoju wszedł gospodarz.

- Dzień dobry! Miło pana widzieć, milordzie. To dla mnie zaszczyt, że jako pierwsza osoba w hrabstwie mam okazję serdecznie panu pogratulować tytułu markiza. Bardzo się cieszę, że będę mógł odprawić mszę za pańskiego zmarłego ojca. Na pewno będzie pan zadowolony, gdy powiem, że już przygotowałem mowę pogrzebową.

Drew od pierwszej chwili poczuł antypatię do tego człowieka o cofniętym podbródku, dużych zakolach i bladej cerze.

Wielebny Pool, hałaśliwy i pewny siebie, niektórym ludziom mógł imponować, ale wyglądał na osobnika nieszczerego i podstępного. Jediną rzeczą zasługującą w nim na podziw był grzmiący głos. Drew obawiał się jednak - choć nie słyszał jeszcze żadnego jego kazania - że wspomniana mowa będzie długim i niezwykle nudnym poematem opiewającym cnoty pastora, a potępiającym cudze wady.

Obrzucił Poola wyniosłym spojrzeniem, żeby pokazać mu jego miejsce, i nie przyjął podanej ręki.

- Opłakuję ojca, sir. Uważam, że pańskie gratulacje są bardzo niestosowne w tych smutnych okolicznościach.

Pool cofnął dłoń, ale raczył przeprosić za nietakt.

- Domyślam się, że przybył pan tu w konkretnej sprawie - stwierdził nieprzyjemnym tonem. - Czy mogę zaproponować panu coś na pokrzepienie?

- Może pan przywitać się z damą i jej zaproponować poczęstunek - odparł chłodno Ramsey.

Miał nadzieję, że Kathryn odmówi, bo nie chciał spędzić w obecności nadętego głupca więcej czasu, niż to było konieczne. I nie zamierzał pozwolić mu na odprawienie mszy żałobnej.

Gospodarz ostentacyjnie rozejrzał się po pokoju.

- Nie widzę tu żadnej damy. Widzę natomiast ko...

- Radzę być ostrożnym, panie Pool - ostrzegł go markiz.

- A więc to tak. Jaki ojciec, taki syn.

- Drugiego ostrzeżenia nie będzie - rzucił Andrew groźnym tonem. - Nie jest pan właścicielem tej parafii. Ma pan jedynie zaspokajać duchowe potrzeby mieszkańców wioski. Tylko dlatego nie żyjący markiz za darmo oddał panu w użytkowanie grunty należące do plebanii i pozwolił zbierać dziesięcinę.

- Nie jestem żebrakiem - odparował Pool. - Pański ojciec odmówił sprzedania mi ziemi, bo nie pozwalałem jego... konkubinie przychodzić do kościoła ani uczestniczyć w życiu parafii i nie uznałem jego bękartą. Ale ponieważ w wiosce brakowało duchowego przewodnictwa, biskup nakłonił markiza Templeston, żeby powierzył mi opiekę nad jej mieszkańcami.

- Zupełnie nie pojmuję, dlaczego biskup przysłał do Swanslea takiego zarozumiałego durnia jak pan. Równie zagadkową rzeczą jest dla mnie to, że po rozmowie z panem mój ojciec przekazał panu ten dom, dwieście akrów ziemi oraz dochód z podatków.

- Nigdy się nie spotkaliśmy - odparł pastor. - Nieżyjący markiz należał do tych właścicieli ziemskich, którzy rzadko bywają w swoich posiadłościach.

- To wyjaśnia, dlaczego ojciec pozwolił panu tu zostać - skomentował Andrew. - Po prostu pana nie znał. Ale nadal nie rozumiem, dlaczego biskup dał panu to beneficjum.

- Jest moim wujem. - W głosie Poola brzmiała wyraźna duma. - Zawarł umowę z pańskim ojcem,

że tu zostanę, póki nie znajdzie się kandydat o zbliżonych kwalifikacjach. Do tego czasu ja będę pastorem w Swanslea, czy się to panu podoba, czy nie. Nie tylko pan ma koneksje, lordzie Templeston.

Drew zachował kamienną twarz.

- W takim razie pozostaje tylko przekonać się, który z nas ma lepsze.

- Czy pańskie słowa powinienem potraktować jako groźbę, lordzie Templeston?

- Nie obchodzi mnie, jak pan potraktuje moje słowa, byle zdał pan sobie sprawę, że pańskie dni w tutejszej parafii są policzone.

- A tymczasem muszę wypełniać swoje obowiązki, więc będę wdzięczny, jeśli zabierze pan z mojego domu tę... osobę, żebym mógł dokończyć przygotowywanie mowy na pogrzeb pańskiego ojca. Wybór odpowiedniego fragmentu to duże wyzwanie nawet dla kogoś tak obeznanego z Pismem Świętym jak ja. - Zrobił pauzę dla wywołania efektu i dodał: - Proszę mi powiedzieć, lordzie Templeston, co dobrego można powiedzieć o niepoprawnym rozpustniku, który zasłużył na wieczne potępienie?

- Drew, nie!

Kathryn spóźniła się z ostrzeżeniem, bo nowy markiz już wymierzył morderczy cios prosto w szczękę wielebnego Poola. Pastor runął na podłogę.

- Wielu poległo od miecza, ale jeszcze liczniejsi ucierpieli z powodu niewyparzonego języka - skwitował Andrew.



- Uderzył mnie pan - wykrztusił Pool. - Pożałuje pan tego gorzko.

- Niech pan uważa się za szczęściarza, że nic gorszego pana nie spotkało. - Ramsey obszedł leżącego i podał Kathryn ramię. - Już żałuję, że nie złamałem panu szczęki.

- Obiecuję, że mowa, którą wygłoszę na pogrzebie, na zawsze wryje się w pańską pamięć. Pańska kochanica też jej nie zapomni!

Markiz bezceremonialnie odsunął nogą stopę pastora, żeby zrobić przejście do drzwi

- Ty pompatyczny durniu! Nie wygłosi pan żadnej mowy nad grobem mojego ojca. Nie przyszedłem tutaj, żeby pana o to prosić, tylko poinformować, że ktoś inny pana zastąpi.

- Biskup o wszystkim się dowie! Nie może mi pan wydawać poleceń ani niczego zakazywać. Ja jestem pastorem Swanslea. Tylko ja mam prawo odprawiać msze za moich parafian!

- Biskup niewątpliwie się dowie, ponieważ mój ojciec chrzestny, arcybiskup Canterbury, wyraził chęć celebrowania nabożeństwa żałobnego, a ja oczywiście się zgodziłem. Postanowiłem osobiście wyjaśnić, że moja decyzja nie wynikała z lekceważenia pańskiej osoby. Gdybym pana znał, na pewno nie przestąpiłbym pańskiego progu. Zasługuje pan na pogardę. Po pogrzebie opuści pan Swanslea. Nie dam utrzymania człowiekowi, który zamiast kondolencji z powodu śmierci ojca składa mi gratulacje, kała jego dobre imię i znieważa moją narzeczoną.

Wren gwałtownie wciągnęła powietrze, a pastor zaśmiał się drwiąco.

- Naprawdę chce pan ją poślubić? Po co, skoro może pan ją mieć bez przysięg? - Zmrużył oczy. - Czyżby panu również odmówiła?

Andrew otworzył drzwi.

- Żegnam.

- Niech pani o mnie pamięta, kiedy markiz się panią znudzi! - krzyknął za nimi pastor. - Nie jestem aż taki dumny, żeby nie wziąć do łóżka apetycznej wdówki, zwłaszcza takiej, która była kochanką dwóch markizów!

Gniew wpędza człowieka w kłopoty, duma nie pozwala z nich wybrnąć.

Anonim

- Świetnie nam poszło - stwierdziła Kathryn z przekąsem, gdy znaleźli się w powozie.

- A jakiej reakcji się po mnie spodziewałaś?

- Nie przypuszczałam, że poturbujesz duszpastora. Straciłeś rozum?

- Nazwał cię kochanicą, a mojego ojca rozpustnikiem.

- Powiedział nam w twarz to, co inni mówią za naszymi plecami. Uderzyłeś pastora. Osobę duchowną! DREW się roześmiał.

- Osobę duchowną? Napuszonego głupca i aroganta! Uderzyłem? Powinienem był go zabić.

Zastukał laską w dach i kazał stangretowi jechać do zakładu pogrzebowego.

- Ale...

- Sądziłem, że się zdenerwowałaś, bo poinformowałem go o naszych zaręczynach, zanim omówiłem tę kwestię z tobą.

- Nie miałam powodu się zdenerwować, bo nie jesteśmy zaręczeni - oświadczyła władczym tonem, który tak lubił.

- Owszem, jesteśmy.

- Nie.

- Dlaczego?

- Bo to niemożliwe.

Andrew ujął jej dłonie.

- Powiedz, dlaczego to niemożliwe.

- Dlatego.

- To nie jest odpowiedź.

- Słyszałeś, jak mnie określił wielbny Pool. Konkubina, kochanka, jedyna osoba w hrabstwie, której nie wpuszcza się do kościoła.

- Dziękuj za to swojej szczęśliwej gwiazdzie! - skwitował Drew z lekkim uśmiechem. - Kto chciałby zgłębiać ewangelię hipokryzji i snobizmu według źle wychowanego, grubiańskiego i ograniczonego pana Poola? Sama myśl, że musiałbym siedzieć i słuchać jego kazań, przyprawia mnie o dreszcz.

- Możesz się śmiać, bo nie wiesz, co to znaczy zostać odtrąconym. Nie jestem przyjmowana w domach okolicznych mieszkańców, nie mogę chodzić tam, gdzie bywają szanowane kobiety. Gdy proponuję pomoc w różnych przedsięwzięciach dobroczynnych, spotykam się z wrogością i pogardą. Żony diakonów nie chcą brać ode mnie gwiazdkowych i wielkanocnych koszów z upominkami, które przygotowuję dla biednych. Wszystko robię za pośrednictwem pani Tanglewood lub Ally. Jedyne miejsce, do którego mam wstęp, to Swanslea Park. Kiedy je opuszczam,

natychmiast staje się pariasem. - Zamknęła oczy i spuściła głowę. - Gardzę panem Poolem i wcale nie pragnę słuchać jego kazań, ale boli mnie, że nie jestem wpuszczana na msze. Obchodzi mnie, że Kit nie chodzi do kościoła i nie będzie uczył się religii. Nie zmuszę pastora, żeby go bierzmował. Nie zmuszę, żeby uznał jego ślubne pochodzenie.

- Ja to zrobię.

Wren uniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

- Proszę, nie kuś mnie jedyną rzeczą, której nie mogę odmówić. Moja reputacja jest zrujnowana. Chcesz zniszczyć również swoją? Chcesz wysłuchiwać plotek na temat mojego związku z twoim ojcem? Albo udawać, że ignorujesz szeptki przyjaciół i kolegów? Bo właśnie to cię czeka, jeśli mnie poślubisz. Nawet gdybyś zdołał zapomnieć o mojej przeszłości, oni nie zapomną. Znajdź sobie kogoś innego, Drew, bo ja nigdy nie będę żoną, jakiej potrzebujesz.

- Pragnę tylko ciebie.

- Jak długo?

- Dlaczego jesteś dla mnie niesprawiedliwa? - zachnął się Andrew.

- Nie dalej jak tydzień temu chciałeś wyrzucić mnie ze swojej posiadłości i zabrać mi syna. A później złożyłeś mi niezbyt zaszczytną propozycję, że-  
bym została twoją kochanką.

- Uczyniłem to w gniewie, ale cię przeprosiłem.

- A teraz nie kierujesz się wściekłością?

- Nie. - Zdjął kapelusz i przeczesał palcami włosy. - Na litość boską, Kathryn! Proponuję ci małżeństwo.

- Bo odziedziczyłeś tytuł i masz obowiązki wobec swojej rodziny oraz ludzi, których byt zależy od ciebie? Bo musisz się ożenić i spłodzić dziedzica Ramseyów? - Zdusiła łzy. - Bo tak nakazuje ci rozsądek?

- Owszem, ponieważ dobrze, gdy pożąda się kobietę, którą się poślubia, i rozsądnie, gdy poślubia kobietę, której się pragnie. - Westchnął przeciągle. - I oboje dostalibyśmy to, na czym nam zależy.

- A na czym ci zależy, Drew?

- Na tobie.

- Słyszałeś radę wielebnego. Nie musisz składać małżeńskich przysięg, żeby mnie pojąć, więc jeśli tylko tego pragniesz, nie powinieneś się ze mną żenić.

- Dlaczego?

- Z wielu powodów - szepnęła.

Przed wszystkim nawet nie wspomniał o uczuciach. Świadomość, że Andrew już jej nie kocha, Z pewnością złamałaby jej serce.

- Wymień choć jeden.

- Potrzebujesz żony, która da ci potomków.

Drew nagle stracił oddech, jakby dostał cios pięścią w spłot słoneczny. Cofnął się na oparcie siedzenia, próbując zrozumieć znaczenie jej słów.

- Jak to?

- Nie mogę urodzić ci syna. Dziedzica tytułu i majątku. Chcesz mieć dzieci, prawda?

- Tak.

- Więc zapomnij o małżeństwie ze mną.

Odwróciła głowę i wyjrzała przez okno, daremnie próbując ukryć, że płacze.

- Kathryn. - Drew przysunął się i Otoczył ją ramieniem. - Ja już mam dziedzica.

- Kit nie jest twoim synem.

- Ale przyrodnim bratem. Może być naszym synem. Kiedy się pobierzemy, adoptuję go. Bardzo lubię Kita. Jest Ramseyem i dzięki niemu nasz ród przetrwa.

- Nie moglibyśmy... dzielić łóża, bo nie odważy się począć następnego dziecka. - Zarumieniła się jak piwonია.

- Czy urodzenie dziecka byłoby groźne dla twojego życia?

- Nie, ale bałabym się, że umrze.

- Kto ci naopowiadał takich rzeczy?

- Mój ojciec. To samo spotkało jego i mamę.

Andrew nachylił się i musnął wargami jej usta.

- Istnieją sposoby na zapobieżenie poczęciu. Znam parę, a możemy nauczyć się innych. Powiedz, że za mnie wyjdiesz, Kathryn. To najlepsze rozwiązanie dla nas wszystkich.

Nie mogła mu odmówić choćby ze względu na przyszłość syna. Nie mogła odebrać Kitowi szansy na uzyskanie statusu dziecka z prawego łóża. Z drugiej strony martwiła się, że prędzej czy później Drew pożałuje swojej decyzji. Co wtedy się z nimi stanie? Czy kiedykolwiek będzie miała całkowitą pewność, że jej wybaczył? A jeśli któregoś dnia spojrzy na nią z pogardą?

Wzięła głęboki oddech i zadała najtrudniejsze pytanie w swoim życiu.

- Wiesz, co będą o mnie mówić twoi przyjaciele

i koledzy, wiesz, że niektórych rzeczy już nie jesteśmy w stanie zmienić. Czy potrafisz zapomnieć o mojej przeszłości i po ślubie nie żywić do mnie urazy?

Drew spojrzał jej w oczy i zrozumiał, że ich przyszłe szczęście zależy od jego odpowiedzi. Kathryn była kobietą doświadczoną przez życie, ale nie chciał żadnej innej.

- Ta przeszłość jest dawno zapomniana i pogrzebana. Nie możemy jej zmienić, ale możemy stworzyć Kitowi dom i zadbać o naszą wspólną przyszłość. - Pocałował ją w czoło. - I obiecuję, że nigdy nie będę miał do ciebie żalu.

- W takim razie przyjmuję twoje oświadczenia.

Drew wyjął z kieszeni chusteczkę i podał ją Kathryn. Chyba nawet nie zdawała sobie sprawy, że po policzkach płyną jej łzy.

- Już lepiej?

- Tak, dziękuję.

- Dojechaliśmy na miejsce. - Uścisnął jej dłoń. - Jeśli nie chcesz spotkać się z panem Smalleyem, mogę sam do niego pójść.

Wren potrząsnęła głową.

- Pan Smalley jest jedynym przedsiębiorcą pogrzebowym w promieniu wielu mil. Niewykluczone, że jedynym między Swanslea a Londynem. Jeśli potraktujesz go w taki sam sposób jak pastora, będziesz musiał posłać do stolicy po innego.

- Pan Pool zasłużył na nauczkę.

- Pan Pool zasłużył na dużo większą karę. Martwię się tylko, że pan Smalley również nie przypadnie ci do gustu.



Drew jęknął.

- Nie może być aż taki zły.  
- Nie jest tak arogancki jak pan Pool, ale równie obłudny i lubieżny.

- Składał ci niestosowne propozycje?  
- Wdowy są uważane za łakomy kasek. Niemal każdy wdowiec i kawaler w hrabstwie składał mi nieprzystojne propozycje albo czynił niechciane awanse... łącznie z tobą. - Zerknęła na niego z ukosa, badając reakcję. - Jak myślisz, dlaczego George otoczył mnie opieką?

Drew otworzył drzwi powozu.

- Czy nie dlatego, że cię kochał?  
Na widok uśmiechu Kathryn przypomniały mu się wszystkie powody, dla których zakochał się w niej przed laty. Ten uśmiech dawał nadzieję na to, że będą szczęśliwi.

- Kochał mnie, ale jego miłość bladła w porównaniu z tą, którą czuł do ciebie.

## 23

Ze wszystkich stworzeń mających życie i duszę my, kobiety, jesteśmy przecież najżałośniejszym.

Eurypides, 480-406 p.n.e.

W drodze do domu Andrew doszedł do wniosku, że wołałby raczej stawić czoło francuskiej kawalerii, niż mieć do czynienia z kolejnym właścicielem zakładu pogrzebowego. Zwłaszcza gdyby miał być nim Denton Smalley.

Ten człowiek kwestionował każdą jego decyzję, począwszy od okresu czuwania przy trumnie i miejsca pochówku po liczbę pojazdów i gości w kondukcje. Prawie każdą decyzję. Bowiem obłudny przedsiębiorca wpadł w zachwyty, kiedy się dowiedział, że mszę będzie odprawiał arcybiskup Canterbury. Pewnie w duchu już zacierał ręce, myśląc o przyszłych interesach.

Drew szybko się przekonał, że dla pana Smalleya najważniejsze są pieniądze. Gdy wreszcie ustalili kolejność gości honorowych, sług zmarłego, okolicznych farmerów, dzierżawców i robotników rolnych w orszaku pogrzebowym oraz podliczyli koszty,

przedsiębiorca miał czelność napomknąć, że ludzie będą kręcić nosami, jeśli nie wybierze najlepszych czarnych szali i rękawiczek dla uczestników ceremonii. Powinien dostarczyć każdemu co najmniej dwie pary oraz po dwa zestawy strojów żałobnych dla wszystkich służących nieżyjącego markiza.

Po ustaleniu tych szczegółów rozmowy zaczęły się od nowa, tym razem w związku z pogrzebem towarzyski lorda Templeston. Właściciel zakładu argumentował, że skoro nie zjawi się ani jeden krewny młodej kobiety, trzeba będzie wynająć więcej zawodowych żałobników.

Kiedy Drew sarkastycznie zauważył, że równie dobrze można by wynająć do tej roli chór operowy z Haymarket Theater, pan Smalley natychmiast podchwycił nedorzeczny pomysł i skwapliwie wykorzystał okazję, żeby zwiększyć liczbę zaproszonych.

W końcu nowy markiz się poddał, wyrzucając ręce w górę, a do negocjacji przystąpiła pani Stafford.

Andrew z ulgą pozwolił jej przejąć inicjatywę. Kathryn już wcześniej stykała się z panem Smallem i dużo lepiej sobie z nim radziła. Cechowała ją wrodzona zdolność do podejmowania właściwych decyzji i cierpliwość. Rozumiała, że trzeba należyście uczcić pamięć zmarłego, a jednocześnie zadbać o to, żeby smutna uroczystość miała charakter rodzinny. George Ramsey prowadził dwa oddzielne życia: publiczne jako członek Izby Lordów i sędzia wydziału karnego Sądu Najwyższego w Londynie, oraz prywatne, w którym miał liczne kochanki. Jedną z nich była Mary Claire.

Ustalono, że nie będzie czuwania przy jej trumnie ani licznego orszaku powiększonego o wynajętych żałobników; tylko rodzina i kilka przyjaciółek z chóru operowego. Goście, którzy przybędą na pogrzeb Mary Claire, otrzymają takie same rękawiczki i szale jak pozostali. Złożenie jej ciała do grobu odbędzie się zaraz po pochówku markiza, czyli, w rezultacie, w trakcie stypy.

Gdy Kathryn spokojnie omawiała szczegóły obu uroczystości, Drew patrzył na nią z podziwem. Jego obawy, że wybuchnie skandal, jeśli pozwoli jednej kochance wziąć udział w pogrzebie drugiej, okazały się bezpodstawne.

Zdawał sobie sprawę, że domysły są nieuniknione; plotkowanie stanowiło jedną z ulubionych rozrywek wyższych sfer. Ale przynajmniej nie dojdzie do ogólnego zgorzenia. Naprawdę nie wiedział, co zrobiłby bez Kathryn.

Była wspianała.

I pragnął jej teraz bardziej niż kiedykolwiek.

Oderwał wzrok od ognia buzującego w kominie, wstał z fotela i podszedł do barku. Otworzył szklane drzwiczki, sięgnął po karafkę i nalał sobie brandy.

Gdy tylko wrócili do Swanslea Park, Kathryn uciekła do wdowiego domku pod pretekstem, że musi zajrzeć do swojej menażerii. Pozwolił jej odejść, bo rozumiał, że potrzebuje chwili samotności. W czasie wizyty u pastora doznała dotkliwego upokorzenia, tym większego, że jego świadkiem był Drew.

Wiedziała, czego może się spodziewać, a mimo

to zgodziła się mu towarzyszyć. Naraziła się na obraźliwe uwagi, bo poprosił ją o pomoc. Z sympatii do niego? Czy z miłości do jego ojca?

Markiz pociągnął łyk trunku i spojrzął na biurko. Leżał na nim krótki liścik od Martina, dostarczony do Swanslea Park, gdy on i Kathryn rozmawiali w wiosce z wielbnym Poolem i właścicielem zakładu pogrzebowego. Jeszcze raz przebiegł go wzrokiem.

„Załatwiłem smutne sprawy w Irlandii i wracam do domu z ciałami George'a i jego towarzyski. Spodziewam się dotrzeć na miejsce dwudziestego trzeciego. Twój przyjaciel i wierny sługa, Martin Bell.”

Drew zerknął na kalendarz i wyjął z górnej szuflady parę kartek papieru listowego. Był już dwudziesty drugi. Najwyższa pora na ostateczną decyzję.

Czy potrafi wybaczyć jej zawód, jaki sprawiła mu ostatnim razem? Czy uda mu się puścić przeszłość w niepamięć? Zapytała, czy po ślubie nie będzie żywił do niej urazy. Obiecał, że tak.

Ale wcale nie był tego pewien. Czy zdobędzie się na wielkoduszność? Czy zdoła zapomnieć, że była kochanką jego ojca i urodziła mu syna? Czy wyrzeknie się marzenia o własnych dzieciach? Czy jest zdolny do tylu poświęceń, żeby stworzyć trwałą związek z Kathryn?

„Kochał mnie, ale jego miłość bladła w porównaniu z tą, którą czuł do ciebie.”

Drew zawsze brał uczucie ojca za rzecz oczywistą. Był jego jedynym dziedzicem i ukochanym synem. Wierzył w to całym sercem, póki nie dowiedział się o Kicie, drugim synu markiza Templeston.

Teraz zastanawiał się, jak ojciec, który tak bardzo go kochał, mógł wziąć sobie Kathryn na kochankę. Powiedziała, że zrobił to, żeby uchronić ją przed takimi mężczyznami jak pastor Pool czy właściciel zakładu pogrzebowego, ale Drew nadal miał wątpliwości. Czy to możliwe, żeby ojciec pragnął jej już cztery lata temu? Musiał istnieć jakiś powód tego, że narzeczona porzuciła go w dniu ślubu. Czyżby George Ramsey spełnił własną zachciankę i uwiódł albo zniewolił niedoszłą synową?

I Kathryn pozostałaby lojalna wobec mężczyzny, który ją zniewolił, nawet jeśli był nim markiz?

„Wiesz, co będą o mnie mówić twoi przyjaciele i koledzy, wiesz, że niektórych rzeczy już nie jesteśmy w stanie zmienić. Czy potrafisz zapomnieć o mojej przeszłości i po ślubie nie żywić do mnie urazy?”

Prosiła go o zbyt wiele? A może on zbyt wiele od siebie oczekiwał?

Bo w głębi duszy wiedział, że będzie odczuwał żal, jeśli związek, który uda mu się z nią stworzyć, będzie oparty tylko na wzajemnym pożądaniu i na konieczności ochrony Kita. Czy uda mu się zatrzymać pretensje dla siebie? Czy zdoła ukryć przed nią prawdę? Co zrobi, jeśli Kathryn po raz drugi go zawiedzie?

I co ona będzie do niego czuła? Czego od niego oczekiwała? Czego potrzebowała? A przede wszystkim dlaczego zostawiła go cztery lata temu?

Ramsey westchnął. Przez ostatnie dwa dni setki razy zadawał sobie te pytania, ale nie śmiał na nie odpowiedzieć. Aż do tej pory. Zrozumiał bowiem, że nie chodzi mu tylko o zaspokojenie żądzy, lecz o wy-

bawienie od jałowej, pustej egzystencji. Gdy Kathryn go rzuciła, pojechał szukać śmierci i znalazł wszelkie jej rodzaje... oprócz własnej. Teraz musiał nauczyć się żyć. I wiedział, że Kathryn jest jedyną kobietą, która mu w tym pomoże. Czy nie powinien zaryzykować, wierząc, że drugi raz się nie rozczaruje?

Łyknął brandy, po czym usiadł przy biurku i kierując się głosem serca, zaczął pisać list do swojego ojca chrzestnego, arcybiskupa Canterbury. Dołączył do niego dwadzieścia osiem gwinei na specjalną dispensę.

Nagle rozległo się pukanie do drzwi.

- Proszę.

W progu stanęła Harriet Allerton.

- Przepraszam, że przeszkadzam, ale Kit się dopytuje, czy przyjdzie pan na górę utulić go do snu.

Drew się uśmiechnął.

- Z radością. Proszę wejść, jeśli nie obawia się pani zostać sam na sam z nieżonatym mężczyzną. Może pani zostawić drzwi otwarte.

Nieśmiały uśmiech zmienił na korzyść dość pospolite rysy Ally.

- Nie trzeba, milordzie. Mam ponad trzydzieści lat i jestem tu zatrudniona. Nie obawiam się przebywać z panem sam na sam.

- Miałem nadzieję, że pani Stafford zje ze mną kolację, ale poszła do domu z bólem głowy, którego nabawiła się po wizycie u pana Smalleya. Doskonale ją rozumiem. Pastor Pool był bardzo niemiły, ale właściciel zakładu pogrzebowego to prawdziwy potwór.

- Lubieżny potwór - uściśliła guwernantka.

- Domyślam się, że poznała pani tego człowieka. Andrew podszedł do barku, nalał kieliszek sherry i podał go gościowi.

- Niestety. I słyszałam, co wydarzyło się dzisiaj po południu.

Markiz zrobił zaskoczoną minę.

- Na dole aż wrze. Stangret słyszał prawie wszystko, a to, czego nie usłyszał, pokojówka wielebnego odpowiedziała po całej wiosce. Proszę się nie dziwić. Pan Pool i pan Smalley wszystkim kobietom czynią niestosowne propozycje. Łącznie ze mną.

- Pastor zachował się obrzydliwie - stwierdził Drew z gniewem.

- Podobnie jak pan zaraz po przyjeździe - wspomniała mu Ally. - Prawda jest taka, że wielebny poprozi Kathryn i jednocześnie gardzi nią za swoją słabość. Musi pan wiedzieć, że wiele odwagi wymagało od Wren towarzyszenie panu na plebanię i do zakładu pogrzebowego. Pan Pool i pan Smalley bezlitośnie ją zaszczuwali.

- Nie miałem o tym pojęcia.

- Świat zawsze był przyjaźniejszy dla mężczyzn. Dlatego niektórzy są przeświadczeni, że mogą robić, co im się podoba.

- Kathryn doskonale sobie poradziła. Wykazała się większą godnością niż ja.

- Kobiecie w jej sytuacji nie pozostaje nic innego, jak nauczyć się powściągliwości.

- Była wspaniała.

- Nadal ją pan kocha.

Ally nie zdawała sobie sprawy, że wypowiada



swoje myśli na głos, póki nie zobaczyła wyrazu zdumienia na twarzy markiza.

- Całkiem możliwe - przyznał Andrew. - Czy Kathryn już pożegnała się z Kitem?

Guwernantka skinęła głową.

- Przyszła do niego zaraz po kolacji. Nie została długo. Wysłuchała opowieści o popołudniowych przygodach, ucałowała go na dobranoc i wróciła do domku. - Ally się zawahała. - Chyba płakała.

Ramsey odstawił kieliszek na stół i przeczesał włosy rękami.

- Do diaska! Wiedziałem, że powinienem być za-  
bić tego nadętego durnia. - Nagle przypomniał so-  
bie o gościu. - Przepraszam, panno Allerton.

- Nie ma za co. Bardzo lubię Wren i gdyby to ode mnie zależało, pozbyłabym się tego okropnego człowieka już dawno temu. Nie mogę uwierzyć, że zamierza odprawić mszę żałobną za nieżyjącego markiza. Nie zależy mu na uczczeniu pamięci zmarłego ani na niesieniu duchowej pociechy mieszkańcom wioski. Pragnie jedynie wykorzystać śmierć jego lordowskiej mości, żeby popisać się przed ludźmi swoim darem wymowy.

- Niepotrzebnie się pani denerwuje. Stangret najwyraźniej nie usłyszał wszystkiego, w przeciwnym razie wiedziałby, że złożyłem pastorowi wizytę głównie po to, by go poinformować, że mój chrzestny, arcybiskup Canterbury, wyraził chęć celebrowania nabożeństwa żałobnego, a ja oczywiście się zgodziłem.

Ally klasnęła w dłoń.

- Arcybiskup Canterbury przyjedzie do Swanslea?

- Tak.

Oczy guwernantki się rozjarzyły.

- Och, milordzie, to będzie doskonała okazja, żeby...

- Uzyskać dyspensę?

Panna Allerton pokiwała głową.

- Wyprzedziłem panią o krok - oznajmił Drew, sięgając po zaczęty list. - Już o nią poprosiłem. - Wskazał leżące na biurku dwadzieścia osiem gwinej. - Płacę z góry.

- Życzę wam obojgu szczęścia, milordzie. Bardzo się cieszę i jestem dumna, że u pana pracuję.

- Nie należy pani do personelu. Jest pani członkiem rodziny. Proszę powiedzieć Kitowi, że zaraz przyjdę. - Uśmiechnął się szeroko. - Gdy tylko skończę list.

Wren podniosła wzrok znad biurka. Kontury akwarelowych ilustracji rozrzuconych po blacie rozmazywały się przed jej oczami. Zacisnęła powieki i zaczęła masować skronie, żeby odpędzić ból głowy. Od godziny bezskutecznie usiłowała skupić się na pracy. Jej myśli wciąż krążyły wokół Drew.

Po powrocie z wioski od razu udała się do wdowiego domku, aby nakarmić zwierzęta, ale w rzeczywistości potrzebowała czasu, żeby spokojnie rozstrzygnąć, czy dobrze zrobiła, przyjmując propozycję małżeństwa, którą złożył jej Andrew Ramsey.

Odsunęła rysunki, wstała od biurka i poszła do kuchni. Rozpaliła ogień w piecu i zaczęła szykować sobie kąpiel. Przyciągnęła z alkowy dużą miedzia-

na balię, usiadła na drewnianym stoiku i czekając, aż zagrzeje się woda, dumiała nad swoją decyzją. Nie była pewna, czy nie popełnia największego głupstwa w życiu.

Drew nie powiedział, że ją kocha. Mówił tylko o obowiązku, rozsądku i przyszłości Kita, który dzięki ich małżeństwu pozbędzie się stygmatu bękarta i zostanie uznany za potomka z prawego łóża. Oświadczył, że jej pragnie, i zapewnił, że nie będzie żywił do niej urazy.

Ciekawe, skąd miał tę pewność. Czyżby naprawdę jej wybaczył?

Westchnęła. Andrew dopytywał się, czy jego ojciec ją kochał. Odpowiedziała mu twierdząco, lecz była to tylko część prawdy. George nigdy nie darzył jej romantyczną miłością. Traktował ją jak córkę albo raczej synową. Kochał, bo Drew wybrał ją sobie na żonę.

Zamknęła oczy, wspominając rozpacz malującą się na twarzy jej ojca, gdy karoca - identyczna jak ta, którą jechała tego popołudnia - podrzuciła ją przed frontowe drzwi miejskiej rezydencji ciotki Edwiny. Wren zadrżała mimo woli. Dzisiejsza jazda powozem przywołała obrazy, które usiłowała wymazać z pamięci. Lecz okazało się, że niektórych rzeczy nie można zapomnieć. Na przykład gwałtu. Strachu, bólu i poniżenia.

Domownicy jeszcze spali, gdy dowlokła się do kuchni i przygotowała sobie kąpiel. Zrzuciła podartą suknię i bieliznę, zanurzyła się w niemal wrzącej wodzie i zaczęła trzeć skórę aż do czerwoności.

Usunęła jego zapach, ale mimo szorowania wciąż czuła się zbrukana. Tego popołudnia również doznała upokorzenia i zastosowała takie samo lekarstwo jak cztery lata wcześniej.

Zdjęła gar z ognia, napełniła balię wrzątkiem i uzupełniła go zimną wodą z pompy. Z kredensu wzięła gąbkę do mycia, butelkę pachnącego olejku, kostkę mydła oraz duży ręcznik i położyła je na stołku przy balii. Z sypialni przyniosła koszulę nocną i szlafrok i powiesiła je na kołku przy drzwiach. Gdy wlała olejek do kąpieli i zamieszała wodę, kuchnię wypełniła woń tuberozy.

Dorzuciła węgla do pieca, rozebrała się i weszła do wody. Namydliła ciało, po czym wyciągnęła się i oparła głowę o Zaokrąglony brzeg balii. Zamknęła oczy i westchnęła głęboko.

Cztery lata temu gorąca kąpiel jej nie pomogła. Nic nie mogło jej wtedy pomóc. Wyszła z wanny, gdy woda całkiem ostygła. Otuliła się szlafrokiem, zwinęła w kłębek na łóżku i postanowiła umrzeć.

Rano pokojówka natknęła się w kuchni na balię pełną wody. Obok niej na podłodze leżała srebrna suknia Wren i jej zniszczona bielizna. Służąca wezwwała gospodynię, ta zawołała kamerdynera, a ten z kolei powiadomił swoją panią. Ciotka Edwina natychmiast wysłała kogoś, żeby obudził ojca Kathryn, a sama pobiegła do pokoju bratanicy.

Znalazła ją skuloną na środku łóżka, z ostrym kuchennym nożem w ręce. Wren nie pamiętała, jak brała go z kuchni. Nie pamiętała również, co zamierzała z nim zrobić. Pamiętała tylko, że chciała umrzeć.

Walczyła, kiedy łotr ją napadł, ale uderzył tylko raz i wdusił jej twarz w wyściełane siedzenie powozu. Wolał nie zostawiać śladów. Był zadziwiony, kiedy odkrył, że Kathryn jest dziewczyną, i wyraził zadowolenie, że został jej pierwszym mężczyzną.

Wren naiwnie wierzyła, że to, co wydarzyło się w ciemnym wnętrzu powozu markiza Templeston, pozostanie tajemnicą. Myliła się jednak.

Ojciec zaczął płakać, kiedy ją zobaczył. Od razu zrozumiał, co się stało. Zażądała lusterka i gdy niechętnie spełnił jej prośbę, bez emocji przyjrzała się swojemu odbiciu. Młoda kobieta ze spuchniętym policzkiem, podbitym okiem i zadrapanym czołem w ogóle nie przypominała Kathryn Markinson, która poprzedniego wieczoru wybrała się z Drew Ramseyem na koncert do Vauxhall Gardens. Dawna Wren już nie istniała.

Razem z nimi pojechała ciotka Edwina, ale rozdzielili się w czasie przerwy. Kathryn i Andrew zostali na swoich miejscach, żeby pogawędzić z przyjaciółmi, a ona poszła zamienić kilka słów ze znajomymi. Gdy Drew niespodziewanie dostał pilne wezwanie do ministerstwa, odprowadził Wren do powozu, a sam udał się na poszukiwanie jej krewnej i kogoś, kto bezpiecznie odwiezie ją do domu.

Zamiast nich pojawił się ktoś inny. Wcisnął Kathryn w kąt pojazdu i zgwałcił brutalnie.

Tamtego ranka ciotka Edwina zaproponowała, żeby posłać po Drew. Wren oświadczyła, że nie chce go widzieć i nie ustąpiła mimo perswazji. Sama myśl o spotkaniu z narzeczonym przerażała ją śmiertelnie.

Zmusiła ojca i ciotkę, by przysięgli, że nic nikomu nie powiedzą. Kazała im obiecać, że nie pisną słowem na temat tego, co zaszło. Zgodzili się ze względu na nią. I na Drew.

Powiedzieli mu jedynie, że zachorowała, ale nie podali żadnych szczegółów.

W dniu ślubu Wren została w łóżku. Nie płakała, nie odzywała się, nie ruszała. Po prostu chciała zniknąć.

I niemal jej się to udało.

Gdyby nie odkryła, że nosi w sobie nowe życie, leżałaby tak aż do śmierci. Lecz choć pragnęła umrzeć, nie mogła skazywać na ten sam los niewinnego dziecka. Zanim poczuła się na tyle silna, żeby spojrzeć w oczy niedoszłemu mężowi, Andrew Ramsey wyjechał do Belgii z armią Wellingtona.

Gdy ojciec dowiedział się, że zostanie dziadkiem, wezwał swojego przyjaciela George'a i we dwóch postanowili znaleźć jej męża.

Wspólnie doszli do wniosku, że do tej roli najlepiej nadaje się Bertrand Stafford.

Starzejący się uczony znał Wren od dzieciństwa i chętnie został jej wybawcą. Zaproponował małżeństwo, a Kathryn niechętnie, ale z wdzięcznością się zgodziła. W zamian za nazwisko miała opiekować się mężem i prowadzić mu dom.

Ich związek był zgodny i przetrwał do śmierci Bertranda. Kit liczył sobie wtedy prawie pięć miesięcy.

## 24

Otwórz, otwórz swe okienko!  
Ja omdlewam, padam, mrę -  
Niech jak deszcz - całunki twe -  
Zaleją mi usta - oczy!\*

Percy Byshe Shelley, 1792-1822

- Kathryn?

Wren opuściła ramię i otworzyła oczy. W drzwiach kuchni stał Drew. Nie miała pojęcia, od jak dawna ją obserwował, podczas gdy ona próbowała odpędzić złe wspomnienia. Zasłoniła piersi rękami.

- Co tu robisz?

Andrew odchrząknął.

- Martwiłem się o ciebie. Nie zjawiłaś się na kolacji, więc postanowiłem sprawdzić, czy wszystko w porządku.

Starał się patrzeć na jej twarz, ale jego spojrzenie z uporem ześlizgiwało się niżej.

- W porządku.

-Widzę.

"Przekład - Antoni Lange.

Wren się zarumieniła. Wyraz jego oczu niepokoił ją i jednocześnie rozpałał.

- Podaj mi ręcznik, proszę. - Wskazała głową na stołek. - I odwróć się. Jak się tu dostałeś?

- Frontowe drzwi nie były zamknięte na klucz.

Spełnił jej prośbę i stanął plecami do balii. Serce dudniło mu w piersi. Gdy usłyszał plusk, jego wyobraźnia zaczęła działać. Zobaczył, jak Kathryn wychodzi z balii, pochyla się, żeby wytrzeć stopy, potem kształtne nogi, płaski brzuch. Dostrzegł nawet kropelki wody lśniąca w pępku. Nerwowo przełknął ślinę.

- Już możesz się odwrócić.

Spodziewał się raczej, że gospodyni wyprosi go z kuchni, a następnie z wdowiego domku. Obejrzał się zdziwiony i zaparło mu dech w piersiach.

Ręcznik wprawdzie okrywał ciało Kathryn, ale rozchyłał się na biodrze i sięgał zaledwie do połowy uda. Wilgotny materiał przylegał do kobiecych okrągłości i tak naprawdę niewiele zasłaniał.

- Dziękuję - szepnął Drew zduszonym głosem.

- Za co?

- Za to. - Zwilżył wargi, pożerając ją wzrokiem.

- Przez cztery lata marzyłem o takim widoku. I umieram z pragnienia, żeby cię dotknąć.

Wren zadrżała z lęku i wzruszenia, puls zaczął wybijać szalone tempo. Kiedyś śniła o ich nocy poślubnej. Chciała, żeby Andrew ją podziwiał, tulił i pieścił. Sama też okazywałaby mu miłość każdym gestem. I choć wiedziała, że te marzenia nigdy się nie spełnią, mimo wszystko je snuła. Teraz zaczerpnęła oddechu, zebrała całą odwagę i powiedziała cicho:



- Nie umieraj, tylko mnie dotknij.

Rozwiązała rękawiczki i pozwoliła mu opaść na podłogę.

Drew nie czekał na drugie zaproszenie. Podszedł do Kathryn, opadł przed nią na kolana i objął ustami różową brodawkę. Po chwili uniósł wzrok i zapytał:

- Mogę?

-Tak.

Objął dłonią jej pierś i zaczął ją całować, delikatnie, z szacunkiem, jakby to była najcenniejsza rzecz na świecie.

Wren, ogarnięta czułością nie do opisania, przyciągnęła do siebie jego głowę, wplotła palce w gęste włosy. W chwili gdy pomyślała, że umrze z rozkoszy, zajął się drugą pierśią. Kathryn gwałtownie wciągnęła powietrze, a po jej ciele rozlała się fala gorąca. W jednej chwili opuścił ją strach, a do głosu doszły emocje, które do tej pory w sobie tłumiła. Drew rozпалиł w niej pożądanie. Tylko jego pragnęła i tylko on mógł ją uzdrowić.

Andrew wziął jej reakcję za zachętę.

- Powiedz, czego chcesz - wyszeptał.

- Pieść mnie. Całuj. Kochaj.

Właśnie o taką odpowiedź mu chodziło.

- Z przyjemnością.

Przesunął usta z jej piersi na brzuch i niżej. Pod Wren ugięły się nogi.

- Co robisz?

- Całuję.

Jego ciepły oddech był niczym pieszczota.

- Drew...

- Pozwól. - Spojrzał na nią pałającymi oczami. - Udawaj, że to nasza noc poślubna, a ty jesteś panną młodą, która z niecierpliwością oczekuje rozkoszy małżeńskiego łoża.

Łzy ścisnęły ją za gardło.

- Nie możemy cofnąć czasu.

- Możemy - powiedział z mocą. - I musimy. Ze względu na ciebie, na mnie, na nas.

... Natychmiast mu uwierzyła.

- Co mam robić?

- Zamknij oczy i odpręż się. Zaufaj mi. Nie zrobię ci krzywdy.

Zaskoczona całkiem nowymi, silnymi doznaniem i jęknęła i wyszeptła resztką tchu:

- Przestań, proszę... - Ale gdy Andrew ją posłuchał, wczepiła palce w jego włosy. - Och, nie, nie przestawaj!

Wcale nie miał takiego zamiaru.

- Drew?

- Wszystko dobrze. Pozwól, żeby to się stało. Jestem z tobą.

Wren zadrżała gwałtownie i krzyknęła jego imię. Gdy nogi się pod nią ugięły, Andrew objął ją mocno i podtrzymał, wtulając twarz w jej miękki brzuch.

## 25

Nagos'ć zupełna! Cóż to za rozkosz, o nieba!  
Jak dusze z ciał, tak ciała z szat uwolnić trzeba,  
By kosztowały uciech.

John Donne, 1572-1631

Kathryn otworzyła oczy. Spojrzenie miała nieprzytomne. Nie zdawała sobie sprawy z tego, że płacze, póki Drew nie wytarł palcem jej łez. Wtedy rozpłakała się na dobre.

- O co chodzi, kochanie? - zapytał z troską. - Co się stało?

- Nic. Ja po prostu... nigdy... - Bardzo chciała mu powiedzieć, że zawsze go kochała i nigdy nie przestanie kochać, ale gdy wreszcie odzyskała mowę, z jej ust spłynęły inne słowa: - Ty powinieneś być pierwszy.

Andrew uśmiechnął się z przymusem. Nie zdziwiło go, że Bertrand Stafford okazał się nie najlepszym kochankiem, ale po George'u Ramseyu moż-

na się było spodziewać większej finezji. Wzruszył ramionami.

- Sądząc po twojej reakcji, chyba jestem pierwszy. - Po wyrazie jej twarzy poznał, że go nie zrozumiała. - Czy nikt?... - Nie dokończył pytania, bo nie chciał znać odpowiedzi. Podniósł się Z klęczek i cofnął o dwa kroki. - Wybacz.

- Co?

Schylił się po ręcznik i podał go Kathryn.

- Że nie uwiodłem cię przed laty. To zbrodnia, żeby starzec wprowadzał piękną młodą kobietę w tajniki miłości.

Wren westchnęła. Rzeczywiście popełniono na niej zbrodnię, a jedynym dobrem, które z niej wyniknęło, był Kit.

- Jeszcze przed chwilą nie wiedziałam, że to może być przyjemne.

Drew jęknął ze zgrozy.

- Chryste!

- Naucz mnie więcej.

Andrew potrząsnął głową.

- Uważam, że powinniśmy poczekać.

- Na co?

- Na ślub. Byłbym draniem, gdybym cię wykorzystał, zanim złożymy przysięgę małżeńską. Zasługujesz na prawdziwą noc poślubną.

Wren się uśmiechnęła.

- Już przeżyłam jeden ślub, ale rzeczywiście nie miałam prawdziwej nocy poślubnej. I właśnie tego pragnę. Teraz. Dzisiaj. Nie chcę czekać, aż zostanę twoją żoną. Zachowaj się jak drań.

Patrząc w iskrzące się szarozielone oczy, Drew stwierdził, że nie jest na tyle szlachetny, żeby jej odmówić.

- Na pewno tego właśnie chcesz?

- Bardzo.

- Nie będziesz żałować?

- Nie, jeśli rano się nie rozmyślisz i nadal będziesz gotowy ożenić się ze swoją kochanką.

- Jak sobie życzysz.

Wziął ją na ręce i zaniósł do sypialni. Położył ją na łóżku, a sam zaczął oklepywać poduszki i kołdrę.

- Co robisz? - spytała zdziwiona.

- Upewniam się, że nie zostanę pogryziony przez kogoś z twoich ulubieńców.

- Możliwe, że zostaniesz pogryziony, ale na pewno nie przez *Eínaceus europaeus*. - Na dowód tych słów lekko chwyciła zębami jego palec.

Drew objął ją i przytulił. Wren syknęła cicho, gdy wyraźnie poczuła na policzku guziki jego koszuli.

- Co się stało, skarbie? Za mocno cię ścisnąłem?

- Nie, ale twój strój jest zbyt oficjalny jak na tę okazję - powiedziała z figlarnym uśmiechem.

Drew żywiej zabiło serce. Pospiesznie sięgnął do zapięcia.

- Nie. - Wren odsunęła jego rękę. - Pozwól, że ja to zrobię. Jeszcze nigdy nie rozbierałam mężczyzny.

- Proszę bardzo.

- Dziękuję.

Powoli odpięła wszystkie guziki i rozchyliła koszulę, obnażając twardą pierś i płaski brzuch Andrew. Pochyliła się nad nim, muskając pierściami je-

go tors. Tak bardzo się jej to spodobało, że powtórzyła pieszczotę jeszcze dwa razy.

Gdy Drew chciał przyciągnąć ją do siebie, wymknęła się z jego objęć.

- Dobrze się bawisz? - spytał.

- Bardzo - odparła po chwili namysłu.

Andrew się zaśmiał.

- Więc nie przestawaj.

- Nie wiem, co robić - wyznała nieśmiało. - Powiedz mi, czego pragniesz.

- Usiądź na mnie.

Posłuchała go.

Drew gwałtownie wciągnął powietrze, szybko rzucił z siebie koszulę i uniósł głowę. Zamierzał pocałować Kathryn w usta, ale ona jedynie musnęła wargami jego czoło. Gdy chciała się wyprostować, otoczył ją ramionami i przytrzymał. Wziął w dłonie jej piersi. Krew w nim pulsowała, serce waliło młotem. Marzył tylko o tym, żeby położyć kres udęce. Objął mocniej ukochaną i przewrócił ją na plecy. Odnalazł jej usta i wpił się w nie, jakby od tego zależało jego życie.

Potem oparł się na łokciu, a drugą ręką zaczął gładzić jej brzuch i uda.

Kiedy Wren sięgnęła do paska jego spodni i zaczęła rozpinać guziki, jęknął głucho, po czym błyskawicznie uwolnił się od reszty ubrania.

- Teraz masz nade mną całkowitą władzę - powiedział zdławionym głosem. - Ale tego sekretu mężczyzna za nic w świecie nie zdradzi swojej żonie ani kochance.

- Jak to jest? - spytała, dotykając jego męskości.  
- Tak samo się czułaś, kiedy ja cię pieściłem - wykrztusił, z trudem zbierając myśli.

- Aż tak dobrze?

- Tak. - Próbował odzyskać panowanie nad sobą. - Kathryn, ja... Przyjmij mnie. Teraz.

Wren zamarła. Nie miała pojęcia, co zrobić. Urodziła dziecko, a zachowywała się jak dziewczyna. W tym momencie Drew wszedł w nią delikatnie. Krzyknęła jego imię i otoczyła go udami. Gdy zaczął się poruszać, przywarła do niego kurczowo. Zaciśnęła powieki, a z kącików jej oczu wylały się łzy radości, spłynęły po policzkach i zniknęły we włosach. Poddała się rozkoszy, która z wolna w niej narastała. Z jej ust wyrывały się ciche jęki. W chwili największej ekstazy stłumiła okrzyk, wtulając usta w ramię ukochanego.

Drew poczuł wstrząsające ją dreszcze, sam zaдрżał gwałtownie i po chwili opadł obok niej, całkowicie wyczerpany. Gdy musnął wargami jej policzek, poczuł słony smak. Zaskoczony uniósł głowę i spojrzał na piękną twarz Kathryn.

Malowała się na niej ogromna czułość. Gdy delikatnie pocałował ją w usta, jej oczy się zaszklily.

- Co to? Znowu łzy?

Pokiwawała głową.

- To szczególne łzy. Radości.

Drew uśmiechnął się i odetchnął głęboko.

- Kiedy dwoje ludzi kocha się tak, że drży pod nimi ziemia, pozostaje im do zrobienia tylko jedna rzecz.

- Jaka?

Ze ściśniętym gardłem czekała, aż Andrew powie coś głębokiego i pięknego, a wtedy będzie mogła otworzyć serce i wyznać mu miłość.

- Powtórzyć to jak najszybciej.

Ze śmiechem przyznała mu rację.



## 26

Słońce niesforne, bezmyślny staruchu,  
Czemu natręcie,  
Przez kotary i szyby budzisz nas zawzięcie?  
Cóż obchodzą kochanków prawa twego ruchu?

John Donn, 1572-1631

Słońce właśnie wyglądało zza horyzontu, barwiąc granatowe niebo na różowo, kiedy Wren obudziła się z drzemki, w którą zapadła tuż przed świtem. Przekręciła się na drugi bok i spojrzała na mężczyznę, który dzielił z nią łożo. Uśmiechnęła się, gdy otworzył oczy.

- Dzień dobry. - Zarumieniła się na myśl, że w przeciwieństwie do serca jej ciało już nie ma przed nim żadnych tajemnic. - Pora wstawać.

Sięgnął po jej rękę i skierował ją w dół.

- Czekałem, aż zauważysz, że już dawno nie śpię. Kathryn cofnęła dłoń.

- Drew, jest późno...

- Owszem, ale to najlepszy sposób na rozpoczęcie dnia.

Wren zachichotała mimo woli.

- Przecież w nocy zrobiliśmy to dwa razy. Nie możliwe, żebyśmy...

- Jesteś zmęczona?

Znowu poczerwieniała na twarzy.

- Nie.

- W takim razie, moja droga, to nie tylko możliwe, ale nieuniknione.

Kiedy obudzili się po raz drugi, słońce zalewało pokój złotym blaskiem, a menażeria domagała się uwagi. Margo powarkiwiała gniewnie i drapała w kuchenne drzwi.

Kathryn z westchnieniem odgarnęła włosy z oczu i uniosła głowę z ramienia Drew.

- Wieczorem, przed kąpielą, zamknęłam klapkę, bo nie chciałam, żeby przyniosła mi do kuchni myszy - wyjaśniła zaspanym głosem.

Drew uchylił jedną powiekę.

- A tak właśnie robi?

- Oczywiście. Jest lisem.

- Myślałem, że domowym zwierzątkiem.

Zaczął się bawić jej długimi jasnymi lokami.

- Może i tak, ale nadal odzywa się w niej instykt - Odrzuciła kołdrę. - Muszę ją wypuścić.

- Leż. Ja pójdę.

Pocałował ją w usta, zwlókł się z łóżka i poszedł nagi do kuchni. Wren obserwowała go z zachwytem.

- Jakieś pretensje? - spytała, kiedy wrócił do sypialni.

Wiedział, o co jej chodzi, ale nie mógł nie skorzystać z okazji, żeby się z nią podroczyć.

- Jedna, a właściwie dwie

- O!

- Że nie możemy zostać w łóżku przez cały dzień i że w nocy nie zobaczyłem twoich sekretnych dzieł sztuki. Zdjęłaś pończochy, zanim przyszedłem.

Wren posłała mu promienny uśmiech i odchyliła kołdrę, zapraszając go do ciepłego łóżka.

- Nie będę ich potrzebowała, jeśli zostaniemy w łóżku przez cały dzień.

Drew połaskotał ją pod brodą.

- Dlaczego? Jako słynna kochanka powinnaś wiedzieć, że widok nagiej kobiety w samych pończochach bywa ekscytujący. Zdaje się, że mój ojciec karygodnie zaniedbał twoją edukację.

Schylił się i zgarnął z podłogi rozrzucone ubrania.

Wren zaniemówiła. Drew właśnie zażartował na bolesny dla niego temat. I w jego głosie nie słychać było gniewu ani urazy. Nie potrafiła go okłamywać, więc zdecydowała się wyznać mu część prawdy.

- George nie spotykał się ze mną tak często, jak mógłbyś sądzić, a w czasie jego rzadkich wizyt ja głównie zajmowałam się dzieckiem. Poświęcałam Kitowi prawie każdą chwilę. Romansowanie zupełnie mnie nie interesowało.

Drew włożył koszulę i spodnie.

- Mam nadzieję, że w naszym związku miłosne porywy będą odgrywały dużo większą rolę. Przy-

kro mi tylko, że nie zobaczę cię w odmiennym stanie. Bardzo bym tego chciał.

Wren zmarszczyła brwi.

- Jeszcze możesz uchronić się przed losem bezdzietnego mężczyzny.

- Nie. - Ujął w dłonie jej twarz. - Nie mogę. - Nachylił się i pocałował ją w usta. - Poza tym już mamy syna... który niebawem zjawi się na lekcji jazdy konnej.

Kathryn wyskoczyła z łóżka i gorączkowo zaczęła szukać ubrań.

- Która godzina? - Zerknęła na słońce. - Wystarczy nam jeszcze czasu na przejażdżkę?

Drew się roześmiał.

- Sądziłem, że miałaś już dość atrakcji jak na jeden ranek.

Wren zignorowała jego uwagę, otworzyła szafę i wyjęła z niej burgundowy strój amazonki, a z komody świeżą bieliznę i parę pończoch ozdobionych fantazyjnymi wzorami.

- Obawiam się, że dzisiaj musimy zrezygnować z jazdy na Abelardzie, najdroższa. Jeśli się nie pośpieszę, Kit przyjdzie mnie szukać. Ledwo zdążę zmienić ubranie i coś przekąsić.

Wyciągnął spod łóżka pognieciony fular i starannie zawiązał go na szyi. Nie chciał, żeby zobaczono, jak opuszcza wdowi domek w niekompletnym stroju.

Najdroższa. Do tej pory nie wyznał jej miłości, ale zwracał się do niej czule, a to na pewno oznaczało, że ją kocha.

- Co z moją lekcją? - zapytała.

- Poranne lekcje już odbyłaś.

- A po południu?

Aż się paliła do tego, by doskonalić nowo nabyte umiejętności.

Andrew potrząsnął głową.

- Niestety. Po południu spodziewam się Martina Bella z ciałami mojego ojca i jego towarzyszki.

- Och, Drew, tak mi przykro. Nie wiedziałam...

- Kiedy wczoraj wróciliśmy ze Swanslea, czekała na mnie wiadomość od Martina. Powiedziałbym ci o tym przy kolacji, ale nie przyszłaś. - Uśmiechnął się znacząco. - A później byłem zaabsorbowany innymi rzeczami. Martin na pewno będzie chciał omówić ze mną szczegóły testamentu. Ponadto muszę sprawdzić, czy wszystko jest gotowe na przyjęcie gości i stypę.

- Ally i ja się tym zajmiemy.

- Niech pani Tanglewood przyszykuje dla ciebie pokój mojej matki.

- Drew, nie powinieneś...

- Owszem, bo gdy tylko zjawi się arcybiskup, weźmiemy ślub. Poproszę Martina, żeby został moim świadkiem, a ty zwróć się do Ally; bez wątpienia poczuje się zaszczycona. - Oparty o framugę drzwi patrzył, jak Kathryn chowa z powrotem do szafy burgundowy strój i wyjmuje czarną suknię. - Masz coś kolorowego na naszą małą uroczystość?

Wren potrząsnęła głową.

- Nie. Zresztą i tak nie mogłabym tego włożyć, bo jestem w żałobie po twoim ojcu. - Podeszła do

umywalki, opłukała twarz chłodną wodą i sięgnęła po ręcznik. - Jeśli się nie rozmyślisz, będę musiała wziąć ślub w czerni.

- Nie rozmyślę się, moja markizo, bądź pewna.

Wren zaczęła się mocować z zapięciem sukni, ale Drew ją wyręczył, a na koniec musnął ustami jej kark.

- Myślałam, że się spieszysz.

- Tak, ale czekam na najlepszą część spektaklu.

- Najlepszą część spektaklu?

Andrew wziął z łóżka pończochę i bez słowa podał ją Kathryn.

- Więc patrz - powiedziała, rzucając mu wyzywające spojrzenie.

- A niech to! - zawołał Drew i parsknął śmiechem.

Ścieżką z białych kwiatów biegnącą od kostki aż po podwiązkę maszerowała cała armia małych języków.

- Wiedziałam, że ci się spodobają.

## 27

Lata znów przyjdą i miną,  
W grób zejda pokolenia,  
A miłość w mym sercu zostanie  
Tym jednym, co się nie zmienia

Heinrich Heine, 1797-1856

Martin Bell dotarł do Swanslea Park pod wieczór. Wsiadł z powozu ze zniszczoną skórzaną teczką w ręce i objął Drew, który czekał na niego u stóp schodów.

- Dobrze cię widzieć, chłopcze. Przywiozłem twojego ojca do domu.

- Dziękuję ci, Marty, z całego serca.

Andrew poklepał doradcę po plecach i dał znak lokajom, żeby wyładowali trumny z karawanu. Na "większej widniał herb markiza Templeston, mniejsza była okryta zwykłym czarnym jedwabiem.

- Najgorsze zadanie, jakie w życiu wykonywałem - powiedział Bell z ciężkim westchnieniem.

Wyglądał na dziesięć lat starszego niż wtedy, gdy wyruszał w podróż.

- Rozmawiałem już z właścicielem miejscowego zakładu pogrzebowego.

- Ciałami zajęto się w Irlandii, w Londynie wynająłem karawan, nekrologi są rozwieszane, tak że twojemu przedsiębiorcy pozostaje jedynie zorganizowanie samego pochówku.

Drew wprowadził przyjaciela do domu i skierował się prosto do swojego gabinetu.

- Wszystko jest gotowe. Wejdz i rozgość się, Marty. Zaraz wracam.

Zamknął drzwi i ruszył za lokajami niosącymi trumnę. Pomógł im umieścić ją na katafalku, dużym mahoniowym stole, ustawionym pośrodku salonu i nakrytym czarną krepą.

- Mamy ją otworzyć, sir? - zapytał Newberry.

- Jeszcze nie. Niech będzie zamknięta, póki nie zaczną przybywać pierwsi goście. Ustawcie w rogach świeczniki i przynieście klęcznik.

- A co z tamtą? - Kamerdyner wskazał głową na drugą trumnę niesioną przez służących.

- Ustawcie na marach w kaplicy i zapalcie świece. I niech ktoś przy niej czuwa. Ta młoda dama była towarzyszką mojego ojca. Nie mogę wyprawić uroczystego pogrzebu, ale choć tyle jej się należy.

- Wedle życzenia, milordzie. - Newberry ściszo-  
nym głosem wydał polecenia lokajom, po czym odwrócił się do markiza. - Mamy wywiesić ogłoszenie, że zwłoki tej młodej kobiety będą wystawione w kaplicy?



Ramsey potrząsnął głową.

- Nie. Niech ktoś w drzwiach wita wszystkich przybywających i tych, którzy o nią zapytają, niech kieruje do kaplicy. Aha, i potrzebne będzie dużo kwiatów.

- Dobrze, milordzie.

- I jeszcze jedno. Niech dzisiaj nikt nie wchodzi do tego pokoju. W nocy będę czuwał przy jego lordowskiej mości i nie chciałbym, żeby mi przeszkadzano.

Newberry skinął głową.

- Zanim udam się na spoczynek, przygotuję panu w gabinecie brandy.

- Dziękuję. - Odprawiwszy kamerdynera, Drew wrócił do gabinetu, gdzie w jednym z głębokich foteli stojących przy kominku siedział Martin. - Zda się, że potrzebujesz paru łyków brandy.

- Najlepiej całą butelkę.

Bell oparł nogi o skórzany podnózek i ukrył twarz w dłoniach.

Andrew tymczasem podszedł do barku i nalał trunku do dwóch kieliszków. Jeden podał gościowi, z drugim usiadł w fotelu.

- Co wiemy o Mary Claire?

- Mary Claire O'Brien, wiek dwadzieścia osiem lat, urodzona w Limerick, w Irlandii. Żadnej rodziny.

- Była starsza, niż sądziłem.

- Mnie również to zaskoczyło. Wyglądała na dużo młodszą. Śliczna dziewczyna.

- Czy jakoś mogę ci pomóc, Marty?

Doradca zdjął okulary i zaczął je czyścić końcem fularu.

- Nie. Twój ojciec i ja przez całe życie byliśmy przyjaciółmi. Kochałem go jak brata. Moje obowiązki wobec niego nie skończyły się wraz z jego śmiercią. Teraz czeka mnie smutne zadanie, ale muszę je wykonać. - Umilkł na chwilę i założył okulary. - A twoja misja zakończyła się powodzeniem?

- Owszem.

- Eksmitowałeś ją?

- Nie.

- Nie? I uważasz za sukces to, że nie udało ci się wyrzucić kochanki ojca ze Swanslea Park?

Drew uśmiechnął się krzywo.

- Zmieniłem zdanie, gdy stwierdziłem, że tą kochanką jest Kathryn Markinson.

- A, rozumiem - Bell westchnął z zadowoleniem.

- Oczywiście. Przecież wiedziałeś, co zaplanował mój ojciec. Wiedziałeś, że nie mogę jej stąd usunąć, nawet gdybym chciał. Wiedziałeś, że chodzi o Kathryn.

- Tak.

Markiz łyknął brandy i odstawił kieliszek na stolik.

- Dlaczego mnie nie uprzedziłeś?

- Próbowałem, ale nie chciałeś mnie wysłuchać. Powiedziałbym ci, co jest w testamencie.

Drew pokiwał głową. Rzeczywiście nie pozwolił mu wtedy dojść do słowa.

- Sam go przygotowałeś, więc na pewno wiedziałeś również o Kicie.

- Tak. - Doradca uniósł rękę, żeby uprzedzić dalsze oskarżenia. - Domyślam się, że czytałeś kopię przechowywaną w sejfie?

- Tak. Ojciec zostawił wdowi domek Kathryn, a ziemię, na której stoi, mnie. W dodatku ustanowił mnie opiekunem Kita. Kiedy to wszystko czytałem, nie umiałem określić, czy jego decyzje są genialne czy szalone.

- Jedno i drugie. Na pewno się zorientowałaś, że w tym szaleństwie jest metoda.

- Oczywiście. Związał nas ze sobą na dobre lub na złe.

- George starał się naprawić szkody.

- Najlepiej by zrobił, gdyby poślubił Kathryn i uznał Kita - stwierdził Drew, zerwał się z fotela i zaczął spacerować po gabinecie.

- Nie mógł się z nią ożenić - powiedział Bell z westchnieniem.

Markiz pokiwał głową.

- Kathryn mi zdradziła, że kiedy moja matka leżała umierająca, ojciec obiecał jej, że nie ożeni się powtórnie.

- Ciekawe, skąd o tym wiedziała.

- Od swojego ojca. Czy to prawda?

- George rzeczywiście złożył Iris taką obietnicę, ale to nie był główny powód, dla którego nie mógł oświadczyć się Kathryn.

- A jaki?

- Usiądź, to ci powiem. Od twojego chodzenia kręci mi się w głowie. - Począł, aż Drew zajmie miejsce w fotelu. - Twój ojciec nie mógł poślubić panny Markinson, to znaczy pani Stafford, bo wtedy wy nigdy nie moglibyście się pobrać. Zgodnie z prawem wdowiec nie może poślubić swojej pa-

sierbicy, a wdowa nie może wyjść za pasierba. Gdyby George ożenił się z Kathryn, stałbyś się jej pasierbem.

- Są wyjątki.

- Istotnie prawo je dopuszcza, ale George nie chciał polegać jedynie na łaskawości sędziów. Jego największym pragnieniem było to, żebyście kiedyś zostali małżeństwem. Co prawda wybrał dość niezwykłą metodę, ale nie mógł inaczej zagwarantować, że Kathryn nie poślubi kogoś innego. Poza tym zawsze wierzył, że jeśli się spotkacie, ogień zapłonie na nowo.

- W takim razie byłby szczęśliwy - stwierdził Drew. - Wczoraj poprosiłem Kathryn, żeby za mnie wyszła, a ona się zgodziła. Chciałbym, żebyś został moim świadkiem, Marty.

- Kiedy?

- Gdy tylko przybędzie arcybiskup Canterbury z dyspensą.

Bell uśmiechnął się szeroko i poklepał markiza po ramieniu.

- Dobra robota. Zaprosisz ją do gabinetu? Powinna być obecna przy odczytaniu ostatniej woli. Oprócz paczuski dla Kita jest jeszcze kodycył, którego warunków nie mogę zdradzić nikomu oprócz ciebie. Ty możesz je wyjawić, komu zechcesz, ale musisz ich dotrzymać.

- Co jest w paczusce przeznaczonej dla Kita?

Martin się uśmiechnął.

- Wszystko we właściwym czasie, mój chłopcze. Gdy zjawi się twoja narzeczona, przystąpimy do

odczytania dyspozycji George'a dotyczących podziału majątku.

Bell chciał wstać, ale Drew gestem kazał mu zostać w fotelu.

- Spokojnie, Marty. Dokończ brandy. Poślę kogoś po Kathryn.

Wren zjawiła się w rezydencji pół godziny później. Drew od razu się domyślił, że pracowała przez całe popołudnie. Wprawdzie zdjęła fartuch roboczy, lecz suknia i włosy były przesiąknięte silnym zapachem terpentyny, a na czubku nosa i na prawym policzku zaschły brązowawe plamki farby; wyglądały jak piegi.

Po wejściu do gabinetu Kathryn posłała mu długie spojrzenie, a następnie przeniosła wzrok na doradcę. Współczuła mu z całego serca. Wiedziała, jak cierpi z powodu straty. Martin Bell, George i jej ojciec chodzili razem do szkoły i na uniwersytet, przez całe lata byli nierozłączni. Dopiero później przyjęli do swojego grona Bertranda Stafforda, mentora i dobrego kolegę Wesleya Markinsona.

Doradca zaczął podnosić się z fotela, ale Kathryn uklękła przy nim i położyła mu głowę na kolanach.

- Martinie, tak mi przykro.

Bell pogłaskał ją po włosach, tak jak kiedyś jej tata.

- Biedna Wren - powiedział. - Oboje widzieliśmy w ciągu ostatnich paru lat zbyt wiele śmierci. Dla mnie ten ostatni cios jest chyba najokrutniejszy, bo spadł tak nieoczekiwanie.

Patrząc na nich, Drew nagle uświadomił sobie, że

Kathryn dorastała w otoczeniu przyjaciół i kolegów swojego ojca. Słuchała ich rozmów i opowieści, była ich przybraną córką i maskotką. Podszedł do fotela i bez słowa wyciągnął do niej rękę.

Wren przyjęła jego dłoń i wstała z klęczek.

- Przepraszam za moje zachowanie, ale Martin i ja wiele razem przeżyliśmy. Bardzo go lubię i nie wiem, co bym zrobiła bez niego... i bez George'a.

- Nie musisz przepraszać - rzekł Drew, odstępując jej swój fotel. Sobie przyciągnął drugi spod ściany. - Lubię Martina tak samo jak ty. Zawsze był dla mnie jak ojciec.

Bell odchrząknął.

- Mamy podobny temperament. Lubimy uporządkowane życie i spokój.

- To prawda.

- Twój ojciec natomiast wolał niespodzianki - ciągnął Martin. - A przede wszystkim uwielbiał je prowokować. I między innymi z tego powodu się tu dzisiaj zebraliśmy. - Położył teczkę na kolanach i wyjął z niej plik dokumentów. Następnie sięgnął do kieszeni kamizelki po okulary i nasadził je na nos. - Teraz odczytam jego testament. - Zerknął na Wren. - Czy George rozmawiał z tobą na temat swoich postanowień?

Kathryn skinęła głową.

- Zapewnił, że nie muszę się martwić, że stracę syna albo dom. Uprzedził mnie, że nowy lord Templeston oczywiście zostanie prawnym opiekunem Kita, ale jako matka będę współdecydować o wszystkim, co go dotyczy. Obiecał, że zadba o to, bym miała

dach nad głową. W dokumencie wspomniał o darowiźnie na rzecz mojego ojca i użył mojego nazwiska po mężu, bo wiedział, że Drew nie sprzeciwi się, żeby pani Bertrandowa Stafford odziedziczyła wdowi domek. Ale samego testamentu nie czytałam.

- Czyżby? - wtrącił Andrew. - Mógłbym przysiąc, że czytałaś co najmniej jego część.

- Powtarzam, że nie.

- Ale parę razy napomykałaś o jego treści.

- Nie byłam niczego pewna, ale wierzyłam, że George dotrzyma słowa i zatroszczy się o przyszłość Kita. Wykorzystałam jedynie fakt, że nie miałeś pojęcia o mojej obecności w Swanslea.

Ramsey odwrócił się do Bella z krzywym uśmiechem.

- Niech to będzie dla ciebie lekcja, Martinie. Nie graj z nią w karty, jeśli nie lubisz przegrywać.

- George dotrzymał słowa, tylko dorzucił więcej szczegółów - stwierdził prawnik, a następnie zaczął czytać dokument.

Wren nie słuchała nudnych formuł prawnych ani długiej listy zapisów na rzecz służby, domowników oraz instytucji charytatywnych, póki nie zostało wymienione jej nazwisko.

- „...ogrody, domy dzierżawców i grunty należące do Swanslea Park przechodzą na wyłączną własność mojego syna i spadkobiercy, Andrew Ramseya. Sama rezydencja będzie wspólnie zarządzana przez Andrew Ramseya i Kathryn Markinson Stafford w interesie ich legalnych spadkobierców lub potomków do czasu osiągnięcia przez nich pełnoletności. Jeśli Andrew Ramsey lub Kathryn Markin-

son Stafford nie będą mieli legalnych spadkobierców lub potomków, po ich śmierci rezydencja, domy dzierżawców oraz ziemia wejdą w posiadanie koła łowieckiego Trevingshire.

Jako że kilka lat temu podarowałem wdowi domek Wesleyowi Markinsonowi, a po jego śmierci tytuł własności przeszedł zgodnie z prawem na jego córkę Kathryn Markinson Stafford, oddaję do jej wyłącznego użytku park otaczający wspomniany budynek. Po jej śmierci obie nieruchomości otrzymają legalni spadkobiercy lub potomkowie Andrew Ramseya lub Kathryn Markinson Stafford. Ponadto markiz Templeston przekaże dziesięć tysięcy funtów rocznie na utrzymanie wspólnie zarządzanej rezydencji oraz wdowiego domku."

- Dał mi park? - spytała Kathryn ze zdumieniem. Martin pokiwał głową.

- George wierzył w twój talent i chciał, żebyś mogła bez przeszkód kontynuować swoją pracę.

Wren wymieniła znaczące spojrzenie z Drew.

- To znaczy, że miałabym prawo zabronić polowań w okolicy Swanslea Park?

Andrew się uśmiechnął.

- O ile sobie przypominam, już im tego zakazałaś, ale ponieważ akurat wtedy siedziałas na drzewie, myśliwi nie raczyli cię posłuchać. Teraz możesz ich zmusić do opuszczenia terenu. Wystarczy, że pošlesz po szeryfa albo sędziego.

Bell zerknął na nich znad okularów.

- Polowali w Swanslea? Kiedy? Przecież George im tego zabronił trzy lata temu.



- Uznali chyba, że skoro George nie żyje, zakaz już ich nie obowiązuje - odparła Wren.

- A ty siedziałaś na drzewie? Bój się Boga, dziewczyno! Dlaczego? Czy Margo...

- Wszystko z nią w porządku. - Kathryn pokrótce opowiedziała, co się wydarzyło tamtego dnia, i na koniec stwierdziła: - Drew przybył w samą porę i nas uratował.

Martin odchrząknął.

- Łowczy w oczywisty sposób naruszył granice cudzej posiadłości. Coś trzeba będzie z tym zrobić.

- Już zostało zrobione - oznajmił markiz.

- Naprawdę? - zdziwiła się Wren.

- Chyba nie myślałaś, że puszcę płazem bezprawne wkraczanie na nasze ziemie i zmuszanie przyszłej markizy do ucieczki na drzewo?

- Wtedy jeszcze nie byłam przyszłą markizą.

Drew ujął w dłoń jej twarz.

- Moja droga Kathryn, nie rozumiesz, że zawsze byłaś przyszłą markizą?

Martin nerwowo poprawił się w fotelu.

- Może później o tym porozmawiacie, bo mamy jeszcze kilka szczegółów do omówienia...

Drew przesunął kciukiem po wargach Wren i posłusznie wrócił na swoje miejsce przy kominku.

- „Niniejszym wyznaczam mojego syna i spadkobiercę Andrew Ramseya, dwudziestego ósmego hrabiego Ramsey i szesnastego markiza Templeston, na jedyne go prawnego opiekuna wszystkich moich dzieci, z wyjątkiem Christophera George Ramseya, znanego w rodzinie jako Kit. Opiekę nad

Kitem Andrew Ramsey markiz będzie sprawował z jego matką Kathryn Markinson Stafford. Bez jej wiedzy i zgody nie zabierze go w żadną podróż, nie zatrudni ani nie zwolni opiekunki, guwernantki ani nauczyciela, nie pošle Kita do szkoły z internatem. Ponadto nie będzie mu wolno bez jej aprobaty zaaranżować Christopherowi George'owi Ramsey'owi małżeństwa..." - Martin podniósł wzrok znad dokumentu. - Jak widzisz, moja droga, George dotrzymał słowa, a nawet zrobił więcej, niż obiecywał.

- Obwiniął się - powiedziała Wren cicho.

- Nie za to, co się stało, ale za to, że nie potrafił naprawić krzywdy. Niepotrzebnie się martwiłaś. Mogłaś być pewna, że George zadba o twoją przyszłość.

- Och, George... - Kathryn wyglądała na bardzo poruszoną. - Jest w salonie?

Drew bez słowa skinął głową.

- Wybaczcie, proszę.

Wstała z fotela i wybiegła z gabinetu. Andrew ruszył za nią, ale Martin go powstrzymał.

- Zostaw ją, chłopcze. Niech się wypłacze i pożegna go w spokoju.

Stojąc w progu, Drew zobaczył, że Kathryn kłękła przy trumnie jego ojca i zaczyna bezgłośnie płakać. Na ten widok ścisnęło mu się serce.

Wren oparła czoło o trumnę, dotknęła gładkiego drewna i miękkiego jedwabiu. W uszach dźwięczały jej słowa Martina: „Mogłaś być pewna, że George zadba o twoją przyszłość”. Andrew też miał całko-

wite zaufanie do piętnastego markiza, czemu dał wyraz tamtego dnia, kiedy rozmawiali o pamiętnym wieczorze w Vauxhall Gardens. „Wiedziałem, że mój ojciec odwiezie ciebie i twoją ciotkę bezpiecznie do domu.” Niestety stało się inaczej. Ciotka Edwina zabrała się ze swoimi przyjaciółmi, a Wren została zgwałcona i wyrzucona z powozu pod drzwiami jej rezydencji. Później George Ramsey otoczył ją opieką i robił wszystko, żeby się zrehabilitować, ale nigdy nie wyzbył się poczucia winy. Do oczu Kathryn napłynęły gorące łzy.

- Och, George, nie wiesz, że po stokroć wynagrodziłeś mi krzywdę, dając Kita? - szepnęła.

- Nic jej nie będzie - powiedział Martin, kiedy Andrew zrobił ruch, jakby chciał pobiec do Kathryn. - Siadaj. Mam jeszcze do odczytania kodycyl do testamentu. A to dla Kita, ale adresowane do ciebie. - Podał mu paczuszkę owiniętą w gruby ochronny papier.

Drew wrócił na fotel, wziął pakunek od Martina i zaczął go rozwijać. W środku znajdował się czarny aksamitny woreczek, a w nim misternie rzeźbiona szkatułka z drewna tekowego. Andrew otworzył wieczko i zobaczył złoty medalion ozdobiony diamentem. Obok leżała karteczka z łacińskimi słowami skreślonymi ręką jego ojca: „Po podobieństwie do mnie je poznacie”.

Pokazał obie rzeczy Martinowi.

- Tak myślałem - rzekł doradca, po czym rozłożył drugi dokument i zaczął czytać: - „Kodycył do

testamentu George'a Ramseya, piętnastego markiza Templeston.

Pragnąłbym umrzeć w podeszłym wieku w otoczeniu najbliższej rodziny, lecz człowiek nie zawsze może sobie wybrać porę odejścia z tego świata, dlatego też trzeciego dnia sierpnia roku pańskiego 1818 obarczam mojego prawowitego syna i spadkobiercę Andrew Ramseya, dwudziestego ósmego hrabiego Ramsey, wicehrabiego Birmingham i barona Selby, odpowiedzialnością za moje kochanki i dzieci urodzone przez nie w ciągu dziewięciu miesięcy od mojej śmierci.

Ponieważ prawdziwy dżentelmen jest dyskretny, nie podam nazwisk tych niezwykłych kobiet, które po śmierci mojej ukochanej żony okazały mi troskę i miłość, ale zobowiązuję mojego syna, żeby każdej damie, która jemu, jego legalnemu spadkobiercy albo pełnomocnikowi pokaże złoty medalion z wygrawerowaną moją pieczęcią oraz podobizną, identyczny z medalionem dołączonym do niniejszego listu, przekazywał rocznie sumę nieprzekraczającą dwudziestu tysięcy funtów na utrzymanie jej oraz dzieci urodzonych przez nią w ciągu dziewięciu miesięcy od mojej śmierci.

Każda z dam otrzymała ten drobiazg jako obietnicę, że nie będzie cierpieć biedy, oraz podziękowanie za okazaną mi troskę i miłość. Osoba, która zgłosi się w takim medalionem i wykaże, że otrzymała go w spadku po matce, zostanie uznana za potomka piętnastego markiza Templeston i będzie miała prawo do części mojego majątku, zapisanej jej

matce. George Ramsey, piętnasty markiz. Templeston."

Andrew otworzył wieczko i spojrzął na miniaturowy portret ojca.

- George chciał, żebym po odczytaniu jego ostatniej woli i kodycyłu dał ci jeszcze to. - Martin wstał z fotela, wydobył z kieszeni marynarki kopertę, patrzył na nią przez chwilę, a następnie wręczył ją markizowi. - Pójdę zobaczyć, czy pani Tanglewood przygotowała dla mnie pokój.

Gdy Bell wyszedł z gabinetu, Drew złamał woskową pieczęć i wyjął z koperty złożony na pół papier listowy.

„Najdroższy synu

Jeśli czytasz te słowa, to znaczy, że spotkałem się ze Stwórcą wcześniej, niż planowałem. W przeciwnym razie Martin albo ja zniszczylibyśmy ten list.

Nie spocznę w pokoju, póki nie wytłumaczę, że nie chciałem cię zawieść. Liczyłeś na mnie, a przez moją bezmyślność twoje życie zmieniło się w sposób, którego żaden z nas nie mógł przewidzieć. Mam nadzieję, że kiedyś mi wybaczysz. Dręczy mnie sumienie, że zaufałem niewłaściwej osobie.

Kocham cię i zawsze byłem z siebie dumny. Twoja matka i ja zawsze uważaliśmy cię za swoje najwspanialsze osiągnięcie i największą radość. Byłeś światłem naszego życia.

Powierzyłem ci opiekę nad moim drugim skarbem, Christopherem George'em Ramseyem- Kit potrzebuje ojca, który będzie go kochał i się nim opiekował. Bądź tym ojcem. On nie jest winien okolicz-

ności swoich narodzin, ale niestety w naszym kraju pochodzenie jest wszystkim. Uznaję go za swojego syna, lecz nie mogę zapewnić mu statusu prawowitego potomka. Kit natomiast może się powołać na rzecz dużo ważniejszą: więzy krwi. Jest twoim przyrodnim bratem, ale proszę cię, żebyś go wychował jak własnego syna, bo nie chcę, żeby cierpiał za postępowanie (nie grzechy) swoich rodziców.

Nie zgrzeszyłem, kochając jego matkę, ani ona nie zgrzeszyła, kochając mnie. Moją winą jest to, że złożyłem uroczystą obietnicę tylko jednej miłości, przedkładając ją nad inne. Są tacy, którzy uznają narodziny Kita za wypadek albo błąd, ale to nieprawda. Pragnąłem go i kochałem tak samo jak ciebie. Przyjmij go z moim błogosławieństwem i stwórz mu rodzinę, na jaką zasługuje.

Widzisz, Drew, bardzo pragnąłem, żebyś zaznał w życiu tego, co łączyło twoją matkę i mnie. Myślałem, że znalazłeś panią swojego serca, ale stała się straszna rzecz, która przeszkodziła Wren w poślubieniu ciebie.

Nie obwiniaj jej. Postąpiła tak, a nie inaczej, żeby cię chronić. Nigdy mi się nie zwierzyła. Sam domyśliłem się prawdy, choć z początku trudno mi było w nią uwierzyć.

Nie mogę wyjawić jej sekretu. Ona musi zrobić to sama. Ja powiem tylko, że zawsze cię kochałem i starałem się odkupić swój błąd, roztaczając opiekę nad twoją ukochaną.

Powinieneś również wiedzieć, że damy, z którymi łączyła mnie bliska zażyłość, dostały ode mnie

medalion z moją podobizną. Ten, który dołączyłem do listu, podarowałem kiedyś matce Kita. Wszystkie drogie mi kobiety, włączając również matkę Kita, mają pewną wspólną cechę. Nie można jej nie zauważyć.

Zaufaj swojemu sercu, synu. Idź za jego głosem i niech ten głos zaprowadzi cię do drzwi Wren. Nie smuć się zbyt z mojego powodu, bo jestem teraz z twoją matką i oboje patrzymy na ciebie i na twoją rodzinę.

Przełącz wyrazy miłości Kitowi i Wren.

Twój kochający i dumny ojciec."

Drew złożył list, schował go do kieszeni i sięgnął po medalionik. Ogrzewając chłodny metal w dłoni, ruszył do salonu.

Kathryn już sobie poszła, ale jego ojciec nie był sam. Przy trumnie zmarłego pracodawcy czuwał stary kamerdyner.

- Możesz iść, Newberry - powiedział Andrew. - I zamknij za sobą drzwi. Zostanę tu do rana.

Chwilę później do uszu sługi dobiegł stłumiony szloch.

## 28

I umrzyj, słodka;  
Pokaż, że każdą rzecz tak doskonałą  
Los ten sam spotka;  
Mów jej, że czasu ma przed sobą mało  
Wszystko, co piękne: czy to kwiat, czy ciało.

Edmund Waller, 1607-1687

Rano zaczęli zjeżdżać goście, ale Drew dowiedział się o tym dopiero późnym popołudniem. Po całonocnym czuwaniu przy trumnie ojca poszedł na górę do sypialni, zdjął tylko buty i w ubraniu wśliznął się pod kołdrę. Zasnął jak kamień.

Newberry, który nie wiedział, że pani Stafford jest przyszlą markizą Templeston, poprosił pannę Allerton, żeby witała przybywających, i wysłał Polly, najmłodszą pokojówkę, by zajęła się Kitem.

Spokój Swanslea Park zakłócił turkot powozów toczących się po żwirowym podejździe, gwar rozmów, trzaskanie drzwiami, odgłosy rozładowywania bagaży. Zamieszanie trwało przez cały ranek i pierwszą połowę dnia.



Pan domu wstał dopiero po obiedzie, ogolił się, włożył świeżą koszulę i ten sam surdut, który nosił poprzedniego dnia. Schodami dla służby zszedł do kuchni, gdzie trwały przygotowania do stypy. Na jego widok kucharki rzuciły się szykować mu jedzenie, ale Drew niecierpliwie machnął ręką, odebrał kawał świeżego chleba stygnącego na stole, chwycił gomółkę sera i wypadł z domu.

Ominął zatłoczony podjazd i ruszył ścieżką przez ogród. Gdy niezauważony przez nikogo dotarł do wdowiego domku, stwierdził, że nie ma Kathryn ani jej zwierząt. Mocno zaniepokojony, niemal biegiem wrócił do rezydencji.

- Milordzie, przybyli lord i lady St Jacques oraz jego wielbność lord Canterbury - powiedziało Newberry na jego widok. - Lord Canterbury prosił mnie o przekazanie panu, że przywiózł dyspensę. Pytał również, czy postanowił pan coś w sprawie ceremonii.

Drew się zatrzymał.

- Ilu już jest gości?

- Na razie dwunastu.

- Powiedz lordowi Canterbury, że zdecydowałem się na jutrzejszy ranek. Chcę, żeby było po wszystkim, zanim zjawią się tłumy. Powiedz mi, Newberry, czy widziałeś dzisiaj panią Stafford?

- Nie, milordzie.

- A kiedy widziałeś ją ostatnio?

- Nie pamiętam, milordzie. Sprawdzał pan we wdowim domku? O tej porze zwykle tam pracuje.

- Sprawdzałem. Nie ma jej ani zwierząt. Zasta-

nów się, człowieku, gdzie może być. - Ramsey nerwowym gestem przeczesał włosy palcami. - Nie pozwolę, żeby drugi raz mnie zawiodła.

- Milordzie?

- Pani Stafford i ja pobieramy się jutro rano... oczywiście jeśli ją znajdę do tego czasu. Jego wielbność właśnie dlatego przywiózł dispensę i pytał o ceremonię. Niestety przyszła markiza zniknęła.

- Jeśli o to chodzi, milordzie...

-Tak?

- Ostatnio widziałem pannę Wren wczoraj po południu przy trumnie pańskiego ojca. Zostałem przy nim po jej odejściu, ale słyszałem, jak pyta jedną z pokojówek, czy kaplica jest gotowa.

- Kaplica?

- Tak, milordzie.

- Dziękuję, Newberry.

- Drobiazg, milordzie. - Kamerdyner przestąpił z nogi na nogę. - Jeśli chodzi o pannę Wren...

- Mów, człowieku - zniecierpliwiał się Andrew.

- Nie wiedziałem o pańskich planach, a ponieważ panna Allerton jest damą, poprosiłem ją, żeby w czasie pana nieobecności pełniła funkcję gospodyni. Błagam o wybaczenie. Nie zamierzałem obrazić panny Wren.

Markiz poklepał sługę po ramieniu

- Nic się nie stało. Nawet lepiej, że moja narzeczona nie musi w obecnej sytuacji stawać twarzą w twarz z niektórymi gośćmi. Jedyne, co mogę zrobić, to postarać się, żeby przywitała ich już jako markiza Templeston. Nie wątpię, że panna Aller-

ton doskonale sobie poradzi. Powiedz lordowi i lady St Jacques oraz jego wielbności, że zobaczymy się na kolacji.

Prywatna kaplica była prawie taka duża jak plebania, bo zbudowano ją w czasie panowania Henryka VII, kiedy to hrabia i hrabina Munnerlyn, przodkowie Drew ze strony matki, byli katolikami, a do domowników należał ksiądz. Każdego ranka przychodzili do niej na mszę również mieszkańcy wioski. Gdy w czasie wojny domowej żołnierze Cromwella zabili ówczesnego właściciela i kapłana oraz doszczętnie zburzyli główny pałac, cudem przetrwała tylko kamienna budowla. Kiedy odbudowywano dom w 1705 roku, włączono ją do kompleksu. Tym razem jednak Munnerlynowie przeznaczili kaplicę na własny użytek, a w wiosce zbudowali kościół.

Blask słoneczny sączący się przez witrażowe okna malował kolorowe wzory na posadzce. Te barwne plamy oraz dwa świeczniki stanowiły jedyne oświetlenie mrocznego wnętrza. Ramsey odechnął z ulgą na widok Kathryn siedzącej przy trumnie.

- Dzięki Bogu, że cię znalazłem - powiedział cicho.

- Dlaczego? - spytała Wren z niepokojem. - Co się stało Kitowi?

Drew otoczył ją ramionami.

- Nie. Wszystko jest w porządku. Wybacz, że cię przestraszyłem. Nie mogłem cię znaleźć. Od wczoraj nikt cię nie widział. Domek jest pusty. Gdzie zwierzęta?

- Pan Isley wziął je do siebie. Uznałam, że tak bę-

dzie dla nich najlepiej, póki nie wyjadą wszyscy goście.

Andrew przytulił ją mocno.

- Boże, a ja myślałem, że znowu cię straciłem.

Wren wyraźnie słyszała szybkie bicie jego serca.

- Nie opuściłam cię. Byłam tutaj.

- Całą noc?

Odsunął się i bacznie jej przyjrzał. Oczy miała przekrwione i podkrążone, wyglądała na bardzo zmęczoną.

- Tak. Ty siedziałeś całą noc przy George'u, więc pomyślałam, że ktoś powinien czuwać przy jego towarzysze.

Drew pogłaskał ją po włosach.

- Miała na imię Mary Claire. A wczoraj mówiłem Newberry'emu, żeby tu kogoś przysłał.

- Wyznaczył trzy pokojówki, które miały się zmieniać co cztery godziny, ale je zastąpiłam. - Spojrzała mu w oczy. - Widziałeś ją?

- Nie. A ty?

Kathryn skinęła głową.

- Martin prosił mnie, żebym sprawdziła, czy jest stosownie ubrana. I dobrze, że o tym pomyślał, bo Irlandczycy zostawili ją w stroju, w którym ją znaleziono. Chyba się nie pogniewasz, że wybrałam jedną ze starych sukien twojej matki. Złoty brokat pasuje do koloru jej włosów.

- Nie mogę uwierzyć, że Martin poprosił cię o taką rzecz.

- Nie miałam nic przeciwko temu. Przyszłam do kaplicy, zajrzałam do trumny i wróciłam do domu po suknię. Ubrałyśmy ją razem z Cassie.

- Kto to jest Cassie?

- Jedna z pokojówek, którym Newberry kazał czuwać przy zmarłej. Później ją odesłałam, żeby pomogła pani Tanglewood, a sama zostałam z Mary Claire. Była taka młoda...

- Skończyła dwadzieścia osiem lat. Więcej niż ty.

- Nie wygląda na tyle. Ma długie kasztanowate włosy, a oczy... założę się, że ciemnobrązowe, jak twoje i Kita. Była piękna. Nic dziwnego, że George się w niej zakochał. Nie mogłam znieść myśli, że będą przy niej czuwać zupełnie obce, wyznaczone do tego osoby. Zasłużyła na obecność rodziny, a przynajmniej kogoś, kto wie, jakim człowiekiem był markiz Templeston.

- Jakim?

- Nie wiem, co o nim sądziła Mary Claire. Mogę się wypowiadać tylko w swoim imieniu.

- A co powiesz o obecnym markizie Templeston?

- Na razie jest cudowny.

Drew musnął wargami jej usta.

- Właśnie to pragnąłem usłyszeć. A teraz chodź. Musisz się przespać. Jesteś wyczerpana.

- Głównie przez ciebie niewiele ostatnio spałam.

- Racja, ale tym razem zamierzam dopilnować, żebyś naprawdę wypoczęła.

- Nie wiem, czy przy tobie to w ogóle możliwe.

- Nie tylko możliwe, ale nieuniknione - odparł Andrew z porozumiewawczym uśmiechem.

We wdowim domku zdjął jej suknię i czarne pończochy ozdobione jezykami, odgarnął pościel i położył ją do łóżka, a następnie sam się rozebrał i wśliznął pod kołdrę.

- Myślałam, że będziemy spać - mruknęła Kathryn.  
Drew przytulił ją i pocałował w czoło.

- Będziemy.

Nie wypuszczając jej z objęć, zamknął w oczy. Ogarnął go błogi spokój, jakiego nie zaznał, odkąd poszedł na wojnę. Po raz pierwszy od lat przespał całą noc. Bliskość ukochanej odpędzała koszmary.

Gdy obudził się następnego ranka, zobaczył, że Kathryn śpi, złożony głowę na jego piersi.

- Musimy wstawać, moja piękna - szepnął. - Mam spotkanie z arcybiskupem.

Wren otworzyła oczy i uśmiechnęła się promiennie.

- Naprawdę?

Andrew pokiwał głową.

- Udzielił nam dyspensy, tak że już dzisiaj możemy wziąć ślub. Włóż najładniejszą czarną suknię i wybierz najciekawsze pończochy.

Kathryn zmarszczyła brwi.

- O co chodzi? - zapytał Drew z troską.

- Nie jestem pewna, czy dobrze robisz. Powinieneś ożenić się z dziewczyną o nieskalanej reputacji.

- Po co mi dziewczyna, skoro mogę mieć piękną, młodą i posażną wdowę? Ja nie wątpię, że powziąłem słuszną decyzję. Chyba że ty zmieniłaś zdanie?

Na próżno czekała, aż Drew powie, że ją kocha. Wolałaby, żeby poślubił ją z miłości, żeby nie wyobrażał sobie bez niej życia, ale zdawała sobie sprawę, że kieruje nim tylko pożądanie. Wzięła głęboki oddech.

- Oczywiście, że się nie rozmyśliłam - odparła lekkim tonem. - Dzięki małżeństwu z tobą mój syn

będzie uznawany za dziecko z prawego łóża, ja znacznie poprawię swoją reputację i zostanę bogatą markizą. Czego więcej mogłabym pragnąć?

Miłości, krzyknął w myślach Andrew. Chciał usłyszeć, że Kathryn go kocha. Może zbyt wiele od niej oczekiwał.

- Spotkamy się w moim gabinecie o dziesiątej.

- Dobrze.

- Panna Allerton będzie twoim świadkiem, a moimi Martin i Kit.

- Świetnie. - W głosie Wren brzmiał smutek.

Dlaczego Drew nie mówił, co sądzi o ich ślubie, co naprawdę do niej czuje?

Pocałował ją, wstał z łóżka i zaczął się ubierać.

- W takim razie do zobaczenia o dziesiątej. - W jego głosie brzmiał smutek.

Dlaczego Kathryn nie powiedziała, co sądzi o ich ślubie, co czuje do niego?

- Przyjdę na pewno.

Czyżby?

- Niestety musimy na jakiś czas odłożyć podróż poślubną - oznajmił Andrew rzeczowym tonem.

- Oczywiście. Przecież mamy żałobę.

- Ale potem gdzieś się wybierzemy.

- Nie trzeba, Drew. Bardzo chętnie zostanę na wsi.

- Spotkamy się o dziesiątej.

- Przyjdę na pewno - powtórzyła Wren. - Obie-

## 29

Aż wyschną głębie wszystkich mórz, do dna,  
Aż słońce stopi głaz;  
Będę cię kochał, miła, aż do dnia,  
Gdy przestanie biec czas."

Robert Burns, 1759-1796

- Brakowało nam cię na kolacji, Drew - powiedział lord Canterbury, wchodząc do gabinetu kilka minut przez dziesiątą. - Twoim przyjaciołom St Jacques'om i mnie.

- Przykro mi, wasza wielbność, ale coś mnie zatrzymało.

Andrew korciło, żeby zacząć spacerować w tę i z powrotem po pokoju. Z trudem się opanował. Zegar stojący na kominku wybił pełną godzinę, a narzeczona jeszcze się nie pojawiła.

- Przeprosiny zostały przyjęte. - Arcybiskup rozejrzał się po gabinecie. - Na pewno chcesz, żeby ceremonia odbyła się tutaj? Zdaje się, że w Swanslea Park jest kaplica doskonale nadająca się na taką okazję.



- Stoi w niej teraz trumna panny O'Brien, towarzyski mojego ojca. Nie powinniśmy zakłócać jej spokoju.

- Racja. Gabinet to lepsze miejsce na cichy ślub, gdy dom jest pogrążony w żałobie.

- Spóźniłam się?

W drzwiach stała Kathryn w czarnej aksamitnej sukni, z bukietem lilii i róż w ręce. Jasne włosy upięła w kok i włożyła mały czarny kapelusik bez piór i woalki. Jeszcze nigdy nie wyglądała tak pięknie. Andrew odetchnął z ulgą i ruszył na jej powitanie

- Ależ nie - zapewnił i podszedł z nią do arcybiskupa. - Pani Stafford, czy mogę panią przedstawić jego wielbności, lordowi Canterbury?

Kapłan uściskał dłoń Kathryn.

- To zaszczyt cię poznać, moja droga.

- Dziękuję, wasza wielbność. Dla mnie również wielkim zaszczytem jest ponowne spotkanie z panem.

Lord Canterbury uniósł brew.

- Poznaliśmy się cztery lata temu - wyjaśniła Wren. - Wtedy nazywałam się Kathryn Markinson.

- Dziewczyna, która...

- Tak, wasza wielbność. Pański chrześniak ma niezwykłą zdolność wybaczenia.

Nie licząc początkowego zdziwienia, arcybiskup nie dał po sobie poznać, czy gorszy go wybór markiza Templeston. Spokojnie poprawił stulę i otworzył Biblię

- Jesteście gotowi? - spytał. - Możemy zaczynać?

Gdy Drew skinął głową, do przodu wystąpił Martin Bell i podał ramię pannie młodej.

- Czy mogę pełnić honory w zastępstwie twojego ojca, moja droga?

W oczach Kathryn zabłyśły łzy.

- Dziękuję, Martinie.

W tym momencie kapłan odchrząknął i rozpoczął ceremonię.

- Kochani, zebraliśmy się tutaj, żeby połączyć tego mężczyznę i tę kobietę świętym węzłem małżeńskim, ustanowionym przez Boga w czasach niewinności człowieka. Związek ów Chrystus uświęcił swoją obecnością na weselu w Kanie Galilejskiej i pierwszym cudem, którego tam dokonał. Jeśli ktoś z obecnych zna przeszkodę uniemożliwiającą zawarcie tego małżeństwa, niech ją nam wyjawi...

Drew, który z początku miał pretensje do ojca, że nie ożenił się z Kathryn, teraz spojrzął w górę i odmówił w duchu modlitwę, dziękując niebiosom za jego mądrość i dar przewidywania. Przypomniały mu się słowa listu, który spoczywał w jego kieszeni. „Ja powiem tylko, że zawsze cię kochałem i starałem się odkupić swój błąd, roztaczając opiekę nad twoją ukochaną.”

- Andrew Ramseyu, szesnasty markizie Templeston, dwudziesty ósmy hrabio Ramsey, wicehrabio Birmingham, baronie Selby, czy bierzesz tę kobietę za żonę, by żyć z nią w świętym związku małżeńskim? Czy będziesz ją kochał i szanował, dbał o nią, dochowasz jej wierności i wytrwasz przy niej w zdrowiu i w chorobie, póki śmierć was nie rozłączy?

- Tak - odpowiedział Drew głośno i zdecydowanie.

Gdy z uśmiechem spojrział na Wren, w jego brązowych oczach dostrzegła szczerość. Nawet jeśli nie potrafił się zmusić do wyznania miłości, połączył się z nią przed Bogiem i świadkami. Teraz należał do niej.

- Kathryn Markinson Stafford, czy bierzesz sobie tego mężczyznę za męża, by żyć z nim w świętym związku małżeńskim? Czy będziesz go słuchać, kochać i szanować, dochowasz mu wierności i wytrwasz przy nim w zdrowiu i w chorobie, póki śmierć was nie rozłączy?

-Tak.

Przez całą uroczystość, gdy słuchała, jak Drew powtarza słowa przysięgi, i kiedy sama ją składała, wzrok mąciły jej łzy. Zerkała na męża i wiedziała, że zawsze będzie go kochać.

- Tą obrączką cię poślubiam, w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego, amen.

Przez długą chwilę wpatrywała się w złotą obrączkę z szafirem, którą Drew wsunął jej na palec.

- Kathryn?

Podniosła nieprzytomne spojrzenie i zobaczyła, że Andrew patrzy na nią z troską.

- Czas złożyć podpisy. - Skreślił zamasyście swoje nazwisko na dokumencie, a później obserwował w napięciu dłoni żony. Gdy po słowach „Kathryn Markinson Ramsey” zamarła z uniesionym piórem, pochylił się i szepnął: - Markiza Templeton, hrabina Ramsey, wicehrabina Birmingham i baronowa Selby.

Wren posłała mu uśmiech wdzięczności.

- Nareszcie - skwitował Drew.

Tak, nareszcie, pomyślała. Na dobre czy złe zostali mężem i żoną. Powinni nimi być od czterech lat.

W tym momencie do gabinetu wszedł Newberry, tocząc przed sobą wózek, na którym stała taca z herbatą i nieduży tort. Nie przewidziano weselnego poczęstunku i na razie wszystko pozostawało bez zmian, z tym wyjątkiem, że Wren miała się przenieść do apartamentu męża i stać u jego boku na pogrzebach.

Ani Kościół, ani prawo nie zabraniały małżeństwa między mężczyzną i kobietą pogrążonymi w głębokiej żałobie, ale zwyczajowo nie rozgłaszano szczęśliwej nowiny, póki nie upłynie stosowny czas. Na razie o ślubie wiedzieli tylko domownicy i służba. Drew zamierzał dać ogłoszenie w *Timesie* dopiero za kilka tygodni, a potem zabrać Kathryn w podróż poślubną.

Gdy Martin i lord Canterbury składali nowożeńcom gratulacje, panna Allerton szepnęła coś do ucha Kitowi. Chłopiec bez ociągania podszedł do brata i pociągnął go za rękaw. Andrew ukucnął.

- Ally mówi, żebym życzył ci szczęścia, bo ożeniłeś się z moją mamą.

- Dziękuję, Kit.

- Co to znaczy „ożenić się”?

Drew uśmiechnął się szeroko.

- To znaczy, że ty i twoja mama zamieszkacie ze mną. Od tej pory będę twoim tatą, a ty będziesz moim synem i dziedzicem. Oczywiście jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Mój tata nie żyje. Ty też nie żyjesz?

- Wprost przeciwnie.

Malec zastanawiał się przez chwilę

- Będę cię widywał częściej niż mojego drugiego tatę?

Na te słowa Kathryn ścisnęło się serce. Zawsze podejrzewała, że synkowi brakuje obecności George'a. Teraz jego niewinne pytanie potwierdziło te domysły.

- Będziesz mnie widywał przez cały czas - zapewnił Drew. - Przecież zamieszkamy w tym samym domu.

- W Swanslea Park czy w naszym domku?

Andrew zmierzwił braciszkowi włosy.

- W Swanslea Park, a wdowi domek zatrzymamy dla twojej mamy, żeby mogła tam w spokoju pracować. Czasami będziemy również mieszkać w moich domach w Londynie i Szkocji.

- A Lancelot i Jem z nami?

Drew się roześmiał.

- Chyba da się to zrobić.

Kit wyglądał na zadowolonego.

- To dobrze - powiedział i zerknął na matkę. - Mogę sobie wziąć ciasto? Ally obiecała, że je dostanę, jeśli będę grzeczny.

- Możesz - odparła Kathryn, a kiedy malec podbiegł do tacy, spojrzała na męża. - I co ty na to, że twój syn przyszedł na nasz ślub wyłącznie dla ciastka?

- Cieszę się, że tak łatwo go przekupić.

Wren się roześmiała.

- Ostatnio musiałeś wykosztować się na kucyka.

- Na siedem kucyków - sprostował Drew. - Ale powoli uczę się targować.

- Mam coś, co należy do ciebie - oznajmił Drew, gdy siedzieli we dwoje we wdowim domku i pili popołudniową herbatę.

- Kolejny prezent ślubny?

Niedawno mąż podarował jej imponującą kolekcję rodowej biżuterii, należąca do jego matki. Ona z kolei pokazała mu swoje najnowsze dzieło: białe gołębice z gałązkami oliwnymi w dzióbkach, namalowane na pończochach tuż pod podwiązką, a oprócz tego wręczyła mu złoty zegarek swojego ojca i akwarelę przedstawiającą markiza Templeston na Abelardzie.

- Nie. To znajdowało się w paczuszce, którą dał mi Martin po odczytaniu testamentu. - Wyjął z kieszeni marynarki złoty medalion i podał go Kathryn. - Powiedział, że należy do ciebie.

- Jaki śliczny! - Wren obróciła medalion w palcach, a następnie otworzyła kopertę. - Ale Martin się pomylił. Nigdy wcześniej nie widziałam tego cacka.

- Nie Martin, tylko mój ojciec. Napisał w liście, że dał go matce Kita.

- Może miał taki zamiar.

- Nie - upierał się Drew. - Podobno wszystkie damy, z którymi łączyła go bliska zażyłość, dostały od niego identyczny.

Wren gwałtownie wciągnęła powietrze.

- Nie wiedziałam.

- Napisał, że medalionik dołączony do listu to ten sam, który podarował kiedyś matce Kita. Musi należeć do ciebie.

Kathryn wolno potrząsnęła głową.

- Nie.

- W takim razie masz podobny.

- Nie.

„Wszystkie drogie mi kobiety, włączając również matkę Kita, mają pewną wspólną cechę. Nie można jej nie zauważyć.”

Nagle wszystkie rozsypane elementy łamigłówki trafiły na swoje miejsce.

- Chryste! - wyszeptał Drew, chwycił Kathryn za rękę i pociągnął ją do drzwi. - Chodź ze mną.

- Jestem nieubrana!

W tym momencie Andrew zorientował się, że oboje są w niekompletnych strojach i bez butów. Natychmiast pobiegł do sypialni, złapał koszulę i surdut, które wcześniej przewiesił przez poręcz łóżka, oraz czarną aksamitną suknię i pantofle żony. Gdy już się ubrali, znowu wziął ją za rękę.

- Gdzie idziemy? - zapytała Kathryn.

- Do kaplicy.

Andrew uniósł wieko trumny, spojrzął na Mary Claire i poczuł tak ostry ból, jakby wielka pieść ścisnęła go za serce. Raptem znowu miał siedemnaście lat i patrzył na białą jak płótno twarz matki. Drżąc, opadł na kolana.

„Widziałeś ją?... Ma długie kasztanowate włosy, a oczy... założę się, że ciemnobrązowe, jak twoje i Kita.”

To prawda. Wszędzie rozpoznałby tę porcelanową cerę, idealny owal twarzy, zarys kości policzkowych, kolor włosów, kształt nosa i ust. Niemal identyczny obraz nosił w sercu i pamięci. Bowiern Mary Claire O'Brien była młodszą, irlandzką kopią jego matki.

Wren uklękła obok męża i otoczyła go ramieniem.

- Co się stało? Dobrze się czujesz?

- „Wszystkie bliskie mi kobiety, włączając również matkę Kita, mają pewną wspólną cechę. Nie można jej nie zauważyć” - zacytował Drew część listu ojca. - Gdy spojrzałem na Mary Claire, odniosłem wrażenie, że widzę twarz zmarłej matki. Wszystkie kochanki ojca są do niej podobne. Ty nie. Nie jesteś matką Kita.

Wren usiadła na kamiennej posadzce i podciągnęła kolana pod brodę. Westchnęła przeciągle.

- Jestem jego matką.

- Ale to nie ty go urodziłaś. - Przez chwilę czekał na zaprzeczenie, ale Kathryn nie odezwała się słowem. - Okłamałaś mnie. Utrzymywałaś mnie w przeświadczeniu, że byłaś kochanką mojego ojca, a tak naprawdę nigdy nie dzieliłaś z nim łóża.

- Nie.

- Ale pozwoliłaś, żeby brano cię za jego kochankę. Dlaczego?

- Chciałam zatrzymać Kita, a tylko w ten sposób zyskiwałam pewność, że nikt nie będzie kwestionował mojego prawa do niego.

- Czy jego matką była Mary Claire?



- Nie wiem. George nigdy mi tego nie powiedział. Zjawił się w moim domu późną nocą trzy miesiące po śmierci Iana i...

- Iana?

- Iana Wesleya Stafforda. Mojego dziecka.

- Syna Bertranda Stafforda? - Drew zacisnęła powieki, żeby powstrzymać piekące łzy. - Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

- Ian urodził się, kiedy walczyłeś we Francji. Był ślicznym dzieckiem, ale słabowitym. Wyglądał na zdrowego i silnego, ale łatwo nabawiał się siniaków. Czasami wystarczyło go tylko mocniej przytulić. Miał prawie pięć miesięcy, kiedy zmarł Bertrand, a potem... - Głos się jej załamał. - Trzy miesiące później straciłam Iana. Raczkowałam, próbowałam wstawać przy meblach. Pewnego dnia uderzył się bródką o stolik. Na pozór nic groźnego, dzieci codziennie nabijają sobie guzy, ale u Iana wystąpił krwotok z ust, nosa i uszu. Lekarz był bezradny. - Zamilkła na chwilę. - Mój synek umarł dwa dni później. W ciągu dwóch lat straciłam ciebie, Bertranda, Iana i nie chciałam dłużej żyć. Przestałam jeść, pragnęłam umrzeć. I niewiele brakowało, lecz pewnej nocy, trzy miesiące po śmierci Iana, na progu mojego domu stanął George z Kitem w ramionach. - Uśmiechnęła się przez łzy. - To była miłość od pierwszego wejrzenia. George powiedział, że jesteśmy dla siebie stworzeni, bo Kit potrzebuje matki, a ja syna. Dał mi go i oświadczył, że to najlepsze, co może dla niego zrobić jako ojciec. Uratował mi wtedy życie, a ja poprosiłam go, żeby pozwolił mi za-

mieszkać w Swanslea Park i matkować Kitowi. Wszyscy pomyśleli, że byłam kochanką George'a, a ja udawałam, że to prawda. Opuściłam dom Bertranda, przyjechałam do Swanslea i wprowadziłam się do wdowiego domku razem z moim tatą. George zadbał o to, by nikt się nie dowiedział, że Kit nie jest moim rodzonym synem.

- I nie wiesz, kim była jego matka?

- Nie.

- To nieistotne - powiedział Drew cicho. -. Mój ojciec miał rację. Ty jesteś matką Kita.

## 30

Najsłodsza moja, gdy już w grobie,  
Gdy w grobie będziesz złożona,  
Ja także w dół zejdem, legnę przy tobie  
I wezmę cię w ramiona.

Heinrich Heine, 1797-1856 ,

Ranek w dniu pogrzebu wstał rzeński i pogodny. Wren stała razem z Kitem u boku Drew i patrzyła w milczeniu, jak grabarze opuszczają trumnę do grobu. Następnie do dołu kolejno podchodzili służący, uroczyście łamali swoje narzędzia pracy i rzucały je na wieko.

Śmierć markiza Templeston była w hrabstwie największym wydarzeniem od lat. Zwłaszcza śmierć w takich okolicznościach, razem z młodą kochanką. Nic dziwnego więc, że mimo starań jego syna, który planował skromną uroczystość, na pogrzeb zjechało wiele osób nie tylko z Londynu, ale z całej Anglii. Choć zwyczaj nakazywał, żeby

zmarłego o takiej randze wystawić na katafalku na najmniej dwa tygodnie, Drew postanowił, że ojciec i Mary Claire zostaną złożeni na wieczny spoczynek po zaledwie trzech dniach.

Goście przybywali tłumnie. Dzierżawcy, najbliżsi sąsiedzi, okoliczna szlachta, przedstawiciele kleru oraz służący z domów nieżyjącego markiza przez całe dwa dni paradowali przed trumną. George'a Ramseya żegnali również członkowie Izby Lordów, klubu Brooksa, a nawet myśliwi z koła łowieckiego Trevingshire.

Wraz z ludźmi pojawiły się plotki.

Wszyscy wiedzieli, że szesnasty markiz jest kawalerem, więc co u jego boku robiła ta obca kobieta? A chłopiec? Czy należało wierzyć domysłom? Czy to był bękart zmarłego czy nowego lorda Templeston?

Nie zważając na ciekawskie spojrzenia, Wren ujęła dłoń Andrew i uściśnęła ją mocno, dodając mu otuchy.

Tymczasem Kit już się niecierpliwił. Przesząpił z nogi na nogę, spojrzął na matkę i pociągnął ją za rękaw. Kathryn schyliła się, żeby wziąć go na ręce, ale Drew ją uprzedził i zaczął cierpliwie tłumaczyć, co się dzieje. Malec położył główkę na jego ramieniu i słuchał uważnie.

Gdy ceremonia żałobna dobiegła końca, pan Smalley zaprosił wszystkich do Swanslea Park na stypę.

Na cmentarzu zostali tylko Drew, Kathryn, Kit, Martin, Ally i arcybiskup oraz wynajęci żałobnicy i kilka chórzystek z opery. Uroczystość złożenia do grobu Mary Claire O'Brien była dużo krótsza,

głównie dlatego, że nikt jej tu nie znał. Nikt jednak nie kwestionował jej prawa do wiecznego spoczynku na rodzinnym cmentarzu Ramseyów i Munnerlynów. Najważniejsze, że kochał ją George Ramsey.

Po smutnej uroczystości zgromadzeni ruszyli do czekających powozów, a właściciel zakładu pogrzebowego dał znak grabarzom, którzy do tej pory stali z boku, żeby przystąpili do pracy.

Drew zaprowadził Wren i Ally do powozu i posadził Kita na kolanach matki.

- Chcę jechać z tobą - zaczął kaprysić malec.

- Ja jadę razem z jego wielbnością arcybiskupem i panem Smalleyem.

Kit się skrzywił.

- Sam widzisz, że to nudne towarzystwo dla małego chłopca, zwłaszcza że musimy omówić pewne sprawy. Pojedziesz z mamą i Ally, a ja przyjdę do ciebie przed snem.

- Dobrze, a pójdziemy do Lancelota i Jema, kiedy się obudzę?

Przez kilka ostatnich dni w stajniach i powozowni panował wielki ruch, dlatego ze względów bezpieczeństwa Andrew musiał przełożyć lekcje jazdy konnej na później.

Teraz zerknął na żonę i guwernantkę, czekając na ich aprobatę. Gdy Kathryn skinęła głową, powiedział:

- Nie widzę przeszkód.

- A będę mógł pojeździć na Lancelocie?

Starszy brat z uśmiechem zmierzwił jasne loki Kita.

-Zobaczymy.

- Byczo! - krzyknął chłopiec, używając ulubionego wyrażenia swojego przyjaciela Jema.

- Byczo - zgodził się Drew i nachylił do ucha Kathryn. - Muszę pokazać się na stypie.

-Wiem.

Markiz westchnął.

- Chciałbym, żebyś mi towarzyszyła, ale zrozum, jeśli odmówisz. Słyszałem szept i widziałem, jak na ciebie zerkano.

- Dla ciebie będzie to taka sama udręka jak dla mnie - stwierdziła Wren. - A moje miejsce jest przy tobie. - Obdarzyła go czułym uśmiechem. - Przyjdę, jak tylko nakarmię i położę Kita. Ally przygotuje jedzenie, a ja zajmę się resztą.

- W takim razie do zobaczenia.

Ustami musnął jej wargi przez jedwab woalki.

Stoły ustawione w sali balowej ugiwały się pod ciężarem potraw. Otaczający je uczestnicy stypy wychwalali hojność nowego markiza Templeston oraz talenty jego kucharzy.

Po ułożeniu synka do snu i opowiedzeniu mu bajki Kathryn zamknęła cicho drzwi pokoju dziecięcego i skierowała się ku schodom. Na podeście zatrzymała się i omiotła spojrzeniem tłum ubranych na czarno gości, szukając męża. Drew pierwszy ją zauważył i pomachał jej ręką. Wren uśmiechnęła się i ruszyła w jego stronę. Gdy mijała otwarte drzwi gabinetu, ktoś chwycił ją za ramię i wciągnął do środka.

- Lady St Jacques - powiedziała Kathryn i spoj-

rzała na dłoń zaciśniętą na jej przedramieniu. - Proszę mnie puścić.

- Nie mogę uwierzyć, że ma pani czelność pokazywać się na pogrzebie lorda Templeston po tym, co zrobiła pani jego synowi. Nie mogę uwierzyć, że nowy markiz wpuścił panią do Swanslea Park, a zwłaszcza że pozwolił pani stać obok siebie na pogrzebie.

Wren zmierzyła kobietę wzrokiem.

- Czym sobie zasłużyłam na pani wrogość?

- Ukrywasz naszego wnuka przed jego ojcem i dziadkami.

Kathryn zakręciło się w głowie, dłonie jej zwilgotniały. Pomyślała, że zaraz zemdleje.

- Myli się pani.

- Nie. - Z cienia wyszedł lord St Jacques. - Wdzieliśmy chłopca na pogrzebie. Z tymi jasnymi włosami i piwnymi oczami jest wierną kopią Juliana. Nie ma wątpliwości, że to St Jacques. Musimy go odzyskać. Niedługo po tym, jak zostawiła pani młodego Templestona przy ołtarzu, dowiedzieliśmy się o pani stanie i o pospiesznym małżeństwie ze starcem, który mógłby być pani ojcem, co tylko utwierdziło nas w podejrzeniach. Nasz jedyny syn umiera. Chcemy naszego wnuka.

- Nie możecie go zabrać, bo nie jest waszym wnukiem.

- Oczywiście, że jest - upierała się lady St Jacques. - Znamy prawdę. Julian wszystko nam o pani opowiedział.

Pod Wren ugięły się nogi.

- Ledwo go znałam. Co takiego mógł o mnie opowiedzieć?

- Że wcale nie była pani taką niewinną panną, jaką pani uchodziła. - Słowa lady St Jacque raziły prosto w serce niczym zatrute strzały. - Zwierzył się nam, że go pani prowokowała i dręczyła, że starała się skłócić go z najbliższym przyjacielem. W końcu pani uległ i nawiązaliście ze sobą romans za plecami Drew.

- Julian błagał panią, żeby za niego wyszła, ale pani wybrała Drew, bo miał wyższy tytuł i dużo większy majątek - wtrącił jej małżonek. - Podobno wyśmiała go pani i oświadczyła, że woli zostać hrabiną Ramsey i przyszlą markizą Templeston niż wiechabiną St Jacque.

- Bardzo mi przykro, lordzie St Jacque, ale wszystko, co mówił pański syn, jest kłamstwem - oświadczyła Kathryn, siląc się na spokój.

- Zanim Julian wyjechał z Wellingtonem, przyszedł do nas i powiedział, że jeśli usłyszymy, że spodziewa się pani dziecka, będzie to nasz wnuk i musimy uznać go za swojego dziedzica, jeśli jemu coś się stanie. Nasz syn umiera. Ma pani naszego wnuka od czterech lat, czas, żeby go nam pani oddała.

- Nie mogę tego zrobić, bo chłopczyk, którego państwo widzieli, nie jest waszym wnukiem, tylko synem nieżyjącego markiza Templeston.

- Nie wierzę pani - syknęła lady St Jacque. - To na pewno nasz wnuk. Dlaczego Julian miałyby nas okłamywać? Dlaczego nie zjawiła się pani na własnym ślubie? Dlaczego nie wyszła pani za Andrew Ramseya cztery lata temu?



- Powiedz im, Kathryn, bo ja sam zadawałem sobie to pytanie przez ostatnie cztery lata i chciałbym wreszcie usłyszeć odpowiedź.

Wren odwróciła się gwałtownie i z jej twarzy odpłynęła cała krew. Drew wszedł do gabinetu i zamknął za sobą drzwi. Z jej twarzy wyczytał, że St Jacques'owie znają przynajmniej część prawdy i że byłoby dla niego lepiej, gdyby pozostał w nieświadomości.

- Dlaczego wtedy za mnie nie wyszłaś? Dlaczego nie przyjechałaś do kościoła? Dlaczego później nie raczyłaś się ze mną zobaczyć?

- N-n-nie mogłam. - Jej głos drżał tak samo jak ręce. - Po prostu nie mogłam.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi w oczy, że się rozmyśliłaś?

- Och, Drew, wcale się nie rozmyśliłam! Pragnęłam tego ślubu bardziej niż czegokolwiek na świecie. Ale gdybym przyszła do kościoła, dowiedziałabyś się prawdy, a ja nie chciałam, żebyś ją poznał.

- Że miałaś romans z moim najlepszym przyjacielem?

- Że mnie zgwałcił.

## 31

Nić życia jest mieszanym włóknem, dobro i zło przewijają się razem.

William Szekspir, 1564-1616

Drew zachwiał się po jej słowach, jakby dostał obuchem w głowę. Kolana odmówiły mu posłuszeństwa, w gabinecie nagle zabrakło powietrza.

- Co?!

Wren opadła na skórzaną otomanę.

- Zgwałcił mnie.

- Nie wierzę! Julian jest moim przyjacielem. Razem chodziliśmy do szkoły. Walczyliśmy ramię w ramię przeciwko Francji. Jest człowiekiem honoru. Oficerem i dżentelmenem. Nie zawahałbym się powierzyć mu swojego życia.

- Twoim błędem było to, że powierzyłeś mi moją cnotę.

- Ja nigdy...

- Tamtej nocy w Vauxhall.

- Nie widziałem wtedy Juliana ani z nim nie rozmawiałem, więc nie mogłem go poprosić, żeby odwiózł ciebie i twoją ciotkę do domu. - Ukłakł przy

otomanie i sięgnął po rękę żony. - Poprosiłem o to mojego ojca.

Wren spojrzała mu w oczy.

- I przez cały ten czas sądziłeś, że właśnie on jest za wszystko odpowiedzialny...

Andrew opuścił wzrok i palcami przeczesał włosy.

- Myślałem, że mogę na nim polegać, i w rezultacie nie widziałem cię przez cztery lata. Kiedy znowu cię ujrzałem, mieszkałaś w jego posiadłości i twierdziłaś, że jesteś matką jego syna. Nietrudno było w to uwierzyć. Dobrze znałem słabość ojca do młodych kobiet i wiedziałem, że miał kilka kochanek. - Potrząsnął głową. - Ale Julian? I za tysiąc lat nie uwierzyłbym że jest zdolny do tego, o co go oskarżasz.

- Zapewniam cię, że jest zdolny podstępnie napaść kobietę i ją zniewolić, nawet narzeczoną przyjaciela - powiedziała Kathryn z goryczą.

- Nie Julian.

- Dlaczego nie wątpiłeś, że byłam kochanką twojego ojca, a nie potrafisz przyjąć do wiadomości, że oficer i dżentelmen jest zdolny do gwałtu? Walczyłeś na wojnie. Powinieneś wiedzieć, że ludzie są gotowi popełnić każdą zbrodnię i niegodziwość. Twój przyjaciel również. Potrafił uderzyć kobietę, wcisnąć jej twarz w zakurzone poduszki powozu markiza Templeston, zedrzeć z niej bieliznę i dać upust swojej chuci, nie zważając na przyjaźń z człowiekiem, za którego miała wyjść za dwa dni.

- Za daleko się pani posuwa! - krzyknął lord St Jacques. - Oczernia pani mojego syna, oskarżając go o haniebnny uczynek.

- Nie oczerniam pańskiego syna, tylko mówię prawdę. - Zaczepnęła oddechu. - Potem wyrzucił mnie pod drzwiami miejskiego rezydencji mojej ciotki i odjechał. - Przeniosła wzrok na Drew. - W dniu, kiedy mieliśmy się pobrać, moja twarz była posiniaczona i spuchnięta, oko podbite. Jak mogłabym ci się pokazać i nie wyjaśnić, co się stało? Jak mogłabym ci powiedzieć, że zgwałcił mnie twój najlepszy przyjaciel?

Markiz ukrył twarz w dłoniach.

- Tamtej nocy w Vauxhall poprosiłem mojego ojca, żeby odwiózł cię do domu, bo wiedziałem, że mogę na niego liczyć.

- George nas nie odwiózł - powtórzyła Wren ze znużeniem. - Ciotka Edwina pojechała ze znajomymi, a do mojego powozu wsiadł syn lorda i lady St Jacques i oznajmił, że na twoją prośbę będzie mi towarzyszył w drodze do domu.

- Nie rozmawiałem z Julianem tamtej nocy. I nikomu poza tobą i ojcem nie mówiłem, że dostałem pilne wezwanie.

- Powiedział mi, że ty go przysłałaś, a ja oczywiście mu uwierzyłam. I przez tego człowieka, któremu ufałaś bez zastrzeżeń, moje życie nieodwracalnie się zmieniło.

- Ian?

- Tak - szepnęła. - Ian. To z jego powodu Bertrand Stafford zgodził się mnie poślubić.

Drew potrząsnął głową.

- Nie mogę w to wszystko uwierzyć.

.. Wren zdobyła się na smutny uśmiech.

- Wiem. Co za ironia losu! Krzyknęłam, że go zabijesz, kiedy się dowiesz, co mi zrobił, a on się roześmiał i odparł, że jeszcze długo pozostanie twoim najlepszym przyjacielem, bo nigdy mi nie uwierzysz. - Wstała i podeszła do drzwi. - I wygląda na to, że miał rację. - Sięgnęła do klamki, po czym odwróciła się do lorda i lady St Jacques. - Kit jest moim synem i niech państwo nie próbują z nim rozmawiać.

Po tych słowach opuściła pokój.

- Czy w ogóle zamierzałaś mi o tym powiedzieć? - zapytał Drew. - Czy chciałaś już zawsze trzymać mnie w nieświadomości?

Kathryn drgnęła, słysząc wściekłość w jego głosie. Mąż przyszedł za nią na górę do apartamentu i trzasnął za sobą drzwiami z taką siłą, że zadrżała framuga.

- Nie. Tak.

- Więc tak czy nie?

- Jedno i drugie. Nie chciałam, żeby mężczyzna, którego kocham, wiedział, że zdradził go najbliższy przyjaciel, a poza tym bałam się, że on zna ciebie lepiej niż ja. Bałam się, że uwierzysz jemu, a nie mnie. Już wolałam uciec sprzed ołtarza.

- Ale dlaczego?

- A co mógłbyś zrobić? - Dzielnie wytrzymała jego przeszywające spojrzenie. - Cofnąć to, co się stało? Zabić człowieka, którego kochałeś jak brata? Obwiniać jego? Obwiniać mnie?

- Nie wiem.

- Właśnie. Przecież nawet teraz nie jesteś pewien, komu wierzyć.

- Nie powiedziałem, że ci nie wierzę.

- Ale nie powiedziałeś, że wierzysz.

To stwierdzenie zbiło go z tropu.

- Kathryn, żądasz ode mnie rzeczy niemożliwej.

- Nie. Po prostu wyznałam ci prawdę, a ty mi uwierzysz albo nie. - Drew milczał, więc podjęła ostatnią próbę odzyskania jego miłości. - Nie rozumiem, dlaczego Julian to zrobił. Wiem tylko, że uważał swój postępek za świetny żart, jakby chciał wyrównać z tobą rachunki. Zależało mu na tym, że bym za ciebie wyszła, dlatego potem przepraszała, że mnie uderzył i posiniaczył mi twarz. - Nawet nie zauważyła, że po jej policzkach toczą się łzy. - Chodziło mu o to, żebyś w noc poślubną przekonał się, że nie jestem dziewicą. - Zaczęła chodzić w tę i z powrotem przed kominkiem. Od czasu do czasu przystawała i ogrzewała ręce przy ogniu. - Nigdy też nie rozumiałam, dlaczego George okazywał mi później taką dobroć i czuł się w obowiązku mi pomagać, choć cię upokorzyłam i wystawiłam na pośmiewisko. Dopiero Martin naprowadził mnie na trop, gdy stwierdził, że zawsze mogłam liczyć na George'a. Ty użyłeś podobnego sformułowania, kiedy rozmawialiśmy o koncercie w Vauxhall. Odprowadziłeś mnie wtedy do powozu, a sam udałeś się na poszukiwanie ojca. Zamierzałeś go poprosić, żeby odwiózł mnie do domu.

-Tak.

- Ale George się nie zjawił. Zamiast niego przy-

szedł twój przyjaciel i powiedział, że dostałeś polecenie, żeby natychmiast stawić się w ministerstwie. Twierdzisz, że tamtego wieczoru nie widziałeś Juliana i nikomu poza mną i George'em nie mówiłeś o pilnym wezwaniu.

- Bo nie mówiłem. To był poufny rozkaz.

- Ja też nikomu o nim nie wspomniałam, więc twój przyjaciel albo ci go dostarczył, albo rozmawiał z George'em.

Albo sam go napisał. Ta myśl nagle zaświtała w głowie Drew, ale nie wypowiedział jej na głos. Musiałby wtedy uznać, że Julian wszystko sobie wcześniej zaplanował. Ze z rozmysłem skrzywdził przyjaciela i jego narzeczoną.

Kathryn chciała, żeby powiedział, co myśli i czuje, ale on tylko na nią patrzył bez słowa. W końcu nie wytrzymała przedłużającej się ciszy, podeszła do męża i oddała mu złoty pierścionek z szafirem, który włożył jej na palec trzy dni temu.

- Mam coś, co należy do ciebie. Zwracam ci go, bo dla mnie jest za drogi. Zresztą tak naprawdę nie jesteśmy mężem i żoną. Powtórzyliśmy słowa przysięgi, ale przysięgi są ważne tylko "wtedy, gdy się w nie wierzy. - Patrzyła na niego przez chwilę, jakby starała się zapamiętać jego twarz. - Zapłaciłeś arcybiskupowi za dispensę, więc teraz zapłacisz mu za unieważnienie małżeństwa. Jeszcze nie daliśmy ogłoszeń, więc wystarczy wykreślić nasze podpisy z dokumentu i uznać, że nic się nie wydarzyło. - Głos uwiązał jej w gardle razem z piekącymi łzami.  
- Marzyłam o tym, żeby za ciebie wyjść, ale zwią-

zek bez zaufania jest niewiele wart. Nie chcę dzielić życia z mężczyzną, który woli wierzyć w kłamstwa przyjaciela, niż dopuścić do siebie myśl, że jego żona mówi prawdę. - Wren dotknęła palcem swoich ust, po czym musnęła nim wargi Andrew. - Żegnaj, ukochany.

- Kathryn... - Wyraźnie wstrząśnięty Drew nareszcie odzyskał głos. - Jesteś moją żoną i matką mojego syna. Twoje miejsce jest przy mnie.

- Powiedziałaś to St Jacques'om? Czy pozwoliłeś, żeby nadal uważali mnie za niewierną ladacznicę, która złamała serce ich synowi i ukradła im wnuka?

Drew westchnął. Jego świat się rozpadał, a on nie miał pojęcia, jak temu zapobiec.

- Oni też cierpią. Wierzą, że chłopiec, którego dzisiaj zobaczyli, jest ich wnukiem.

- Owocem potajemnego romansu ich syna z narzeczoną jego najlepszego przyjaciela. Jaki uroczy portret mojej osoby sobie stworzyli! Na pewno nie mogą się doczekać, żeby opowiedzieć znajomym, jak wydarli wnuka z moich rąk.

Drew zmarszczył brwi.

- Znam ich prawie przez całe życie. St Jacquesowie to dobrzy ludzie. Są zdenerwowani i nieszczęśliwi, ale nigdy nie skrzywdziliby Kita.

- Modlę się, żebyś miał rację. Ale nie ufam im i nie będę się czuła bezpiecznie, póki nie odjadą.

- Wyjeżdżają jutro.

- To bardzo dobrze - powiedziała Wren i ruszyła do drzwi.



- Dokąd idziesz? - spytał Andrew, odprowadzając ją wzrokiem.

- Do domu.

„Nie spocznę w pokoju, póki nie wytłumaczę, że nie chciałem cię zawieść. Liczyłeś na mnie, a przez moją bezmyślność twoje życie zmieniło się w sposób, którego żaden z nas nie mógł przewidzieć. Mam nadzieję, że kiedyś mi wybaczysz. Dręczy mnie sumienie, że zaufałem niewłaściwej osobie.”

Wyznanie ojca nie dawało Andrew spokoju, ale jeszcze uporczywiej prześladowała go obietnica, którą sam złożył w dniu, kiedy zabrał Kathryn na przejażdżkę w deszczu. „Nie musisz teraz nic mówić, ale kiedy będziesz gotowa, chętnie cię wysłucham.”

Wypowiedział te słowa, kiedy jego serce było pełne miłości, a zapomniał o nich, gdy przepełnił je strach.

W głębi duszy czuł, że Kathryn mówiła prawdę o Julianie. I co do niego również miała rację. Nie chciał przyznać nawet przed samym sobą, że człowiek, którego kochał jak brata, jest zdolny do największej podłości. Wolał uznać, że jego żona rzuca fałszywe oskarżenia, niż spojrzeć prawdzie w oczy.

Gdyby jej uwierzył, straciłby przyjaciela, któremu ufał najbardziej na świecie. Gdyby postanowił nie wierzyć, straciłby ukochaną... po raz drugi w życiu.

Powoli zaczynał rozumieć, że tym razem nie zdołałby odzyskać jej miłości. Zamknął oczy i rozmasował skronie. Wieczór w Vauxhall Gardens stanął mu przed oczami tak wyraźnie, jakby przeżył go zaledwie wczoraj.

Pilnej wiadomości od pułkownika Granta wzywającej go do ministerstwa nie przyniósł wojskowy posłaniec. Wtedy Andrew nie zwrócił uwagi na tę niezgodność z regulaminem, ale teraz sobie przypomniał, że tajny rozkaz dostarczył ulicznik, który powiedział, że jego osobę wskazał mu pewien dandys.

List napisano na oficjalnym blankiecie, ale brakowało na nim pieczęci i podpisu dowódcy, a w dodatku wiadomości nie zaszyfrowano.

Bowiem nie wysłał jej pułkownik Grant.

Zrobił to ktoś inny.

Drew uznał rozkaz za autentyczny, bo pismo było znajome. Dopiero teraz skojarzył je z Julianem. Może od razu nabrałby podejrzeń, ale jego głowę całkowicie zaprzętał zbliżający się ślub.

Odprowadził narzeczoną do powozu, zostawił ją pod opieką stangreta i lokaja, a sam ruszył na poszukiwanie ojca.

Lecz zamiast George'a Ramseya przyszedł Julian St Jacques, zgwałcił Kathryn i wyrzucił ją pod drzwiami domu jej ciotki, jakby nic się nie stało.

W dniu ślubu stał obok Andrew przed ołtarzem i czekał na przybycie panny młodej. Gdy oblubienica nie pojawiła się w kościele, był równie zaskoczony i wstrząśnięty, jak przyjaciel, bo naprawdę chciał, żeby się pobrali. Ze skrywaną radością myślał o chwili, kiedy młody małżonek przekona się, że żona nie jest dziewicą.

Pierwszy ją potępił, pierwszy nazwał suką bez serca, pierwszy namawiał Drew, żeby o niej zapomniał.

Lecz Andrew ani wtedy, ani teraz nie mógł zapomnieć jedynej kobiety, którą kochał. Nie chciał jej utracić, ale wiedział, że tak się stanie, jeśli nie naprawi błędu. Jeśli nie udowodni, jak bardzo ją kocha.

Postanowił działać. Miał niewiele czasu, a dużo do zrobienia.

Jeśli stracę twoją miłość, sam zginę.

Alexander Pope, 1688-1744

Wren obudziło natarczywe pukanie. Zaspana wyskoczyła z łóżka i ruszyła przez pokój. Oczy miała czerwone i podpuchnięte, gardło suche od płaczu, który ukołysał ją do niespokojnego snu. Teraz bolała ją głowa, a hałas, nawet najmniejszy, irytował do granic wytrzymałości.

- Idę! - krzyknęła, wciągając po drodze szlafrok.

Zegar na kominku wybijał akurat wpół do piątej, kiedy gwałtownym szarpnięciem otworzyła drzwi.

W progu stał jej mąż z Erinem na rękach.

- Co tu robisz, Andrew? - spytała mało przyjaznym tonem. - Nie jestem w nastroju do żartów.

- Mam coś, co należy do ciebie.

Gdy uniósł jeża, zobaczyła, że zwierzątko ma na szyi zawiązaną niebieską wstążkę.

Sięgnęła po ulubieńca, ale Drew cofnął rękę.

- Nie zaprosisz mnie do środka?

- Po co?

- Bo cię kocham. Bo nie mogę żyć bez ciebie. Bo

będę się z tobą żenił, póki nie uwierzysz, że kocham cię całym sercem. Dopóki nie wybaczysz mi chwili zwątpienia. Dopóki znowu mnie nie pokochasz.

Wren zarzuciła mężowi ramiona na szyję, a on przytulił ją mocno. Słyszając gniewny pisk, odskoczyli od siebie jak oparzeni.

- Twoja zguba - powiedział Drew, wskazując na niebieską wstążkę.

Dopiero teraz Kathryn spostrzegła, że jest do niej przyczepiony złoty pierścionek z szafirem.

Ostrożnie włożyła jeża do legowiska, zdjęła wstążkę z jego szyi i przycisnęła ją do serca.

- Och, Drew, kocham cię. Zawsze kochałam i będę kochać.

- I ja cię kocham. Potrafisz mi wybaczyć?

- Już wybaczyłam.

- Dzięki Bogu - mruknął Andrew, wziął od niej pierścionek i wsunął go na palec serdeczny jej lewej ręki. - Tą obrączką cię poślubiam.

- A ja ciebie - wyszeptała Kathryn i przycisnęła usta do jego warg.

- Tęskniłem za tobą - wyznał Andrew po chwili. - Nie sądziłem, że można tak tęsknić. Obiecuj, że nigdy więcej mnie nie zostawisz.

- Obiecuję.

- Nawet kiedy będę zachowywał się głupio.

- Zwłaszcza kiedy będziesz zachowywał się głupio.

- Trzymam cię za słowo.

Gdy pocałowała go znowu, krew żywiej zaczęła krążyć mu w żyłach. Obawiając się, że jeszcze chwi-

la, a przestanie nad sobą panować, z trudem odsunął się od żony.

- Kathryn, przestań, proszę.

- Ale ja lubię cię całować - zamruczała, rozpinając mu płaszcz. - Czuję się wtedy bezpiecznie. Czuję się pożądana.

- Bardzo mnie to cieszy, najdroższa, ale mężczyzna ma ograniczoną wytrzymałość. Jeszcze chwila, a zedrę z nas obojga ubrania i wezmę cię tutaj, na podłodze.

- Może zaczniemy od razu?

Zrzuciła szlafrok i koszulę nocną i sięgnęła do guzików jego spodni.

- Najpierw buty! ~ zaśmiał się Drew.

- Siadaj.

Pchnęła go na sofę, ściągnęła mu buty... i wybuchnęła śmiechem. Na białych skarpetach męża zobaczyła nierówno wyszyte czarną nicią słowa: „Kathryn to moja miłość. Ma klucz do mojego serca. To kobieta mnie przeznaczona”. Każde zdanie kończyło się sercem wyhaftowanym czerwoną nicią.

- Poślubiłam poetę - wykrztusiła Wren.

- Poślubiłaś głupca, który ma dwie lewe ręce. Byłbym dużo wcześniej, ale wykonanie tego haftu zabrało mi pół nocy.

- Naprawdę chcesz teraz rozmawiać o swoich talentach, milordzie?

- Moje talenty są niczym w porównaniu z twoimi, milady.

- Więc cieszymy się chwilą.

Objęła go i pocałowała z żarem, a potem zaczę-

ła całego dotykać i pieścić. Drew wplótł palce w jej włosy i wyszeptał jej imię. Wren podniosła wzrok i ujrzała wyraz intensywnej przyjemności na jego twarzy. Uśmiechnęła się z lekka i zachęcona sukcesem, zdwoiła wysiłki.

- Kathryn, proszę... - Drew ledwo nad sobą panował, z trudem zbierał myśli, głos mu drżał. - Musisz przestać.

- Chcesz, żebym przestała?

- Nie! Nie!

- To dobrze, bo wcale nie zamierzam.

- Jeśli... nie., przestaniez... nie będę.. mógł...

Wren przebiegł dreszcz, gdy sobie uświadomiła, jaką ma władzę nad tym silnym mężczyzną. Nie chciała jednak wykorzystać jej przeciwko niemu, chciała przywrócić mu nadwątloną wiarę w siebie, we własny osąd. Pokazać mu ponad wszelką wątpliwość, że może jej ufać bez zastrzeżeń, że ona go nie skrzywdzi ani nie będzie o nim źle myślała tylko dlatego, że okazał słabość.

Prosił ją o wybaczenie, pokazując tym samym, że sam jej przebaczył to, że nie okazała mu dostatecznego zaufania i wzięła cały ciężar na swoje barki. Nie wierzyła, że postąpiłby właściwie, gdyby dała mu szansę, że wybrałby ją i Iana. Gdy znowu na niego spojrzała, jej oczy wyrażały miłość.

Z gardła Andrew wyrwał się jęk:

- Już... nie mogę...

Kiedy po pewnym czasie odzyskał siły, jeszcze długo w noc kochali się na kanapie. Dopiero nad ranem poszli do sypialni.

- Kathryn?

- Hmm?

- Chodźmy na śniadanie do głównego domu.

Wren jęknęła.

- Nie możemy zjeść tutaj?

- Nie. - Musnął ustami jej czoło. - Ja też bym wolał tu zostać, ale pora przedstawić gościom nową markizę Templeston.

- Czy St Jacque'owie też będą?

- Na pewno.

- I co im powiesz?

- Powiem im, że się pobraliśmy, że Kit jest moim synem i prawowitym dziedzicem i że nie mają do niego prawa. - Otulił ją kołdrą. - Wszystko to, co powinienem był oznajmić im wczoraj, i chcę, żebyś była świadkiem tej rozmowy.

A kiedy skończę z St Jacque'ami, wygarnę ich synowi, co o nim sądzę, dodał w myślach.

Gdy Andrew i Kathryn weszli do rezydencji, ich oczom ukazał się dziwny widok. W holu kłębiło się z pół tuzina gości oraz panna Allerton, Martin Bell, lord Canterbury, Newberry, pani Tanglewood, kilka pokojówek, pan Isley, Riley i Jem. Widok tych ostatnich, którzy powinni być w parku i w stajniach, zaalarmował Drew.

- Co się stało?

- Lordzie Templeston, Wren! - zawołała Ally na ich widok. - Powiedzcie, proszę, że Kit jest z wami!

Kathryn zbladła.

- Nie.



- O Boże!

Guwernantka osunęłaby się na posadzkę, gdyby markiz i Newberry jej nie podtrzymali.

- Sprawdzają pani w stajni? - zapytał Drew.

- Zabrałam go tam -wcześnie rano, żeby przywi-  
tał się z Lancelotem. Błagał mnie o przejażdżkę,  
więc pan Riley udzielił mu lekcji. Potem zostawi-  
łam go w stajni, bo koniecznie chciał pomóc Jemo-  
wi w wygarnianiu nawozu, a sama wróciłam do do-  
mu, żeby przygotować mu jedzenie i kąpiel. Kiedy  
po niego poszłam, okazało się, że zniknął.

Markiz przeniósł -wzrok na chłopca stajennego.

- Widziałeś, jak Kit wychodzi ze stajni?

- Nie, sir - odparł Jem drżącym głosem. - Poma-  
gał mi sprzątać boksy. Wysłałem go po świeże sia-  
no, bo się uparł, choć jest za mały, żeby dźwigać ta-  
kie ciężary. Już nie wrócił. Pomyślałem, że panna  
Allerton przyszła i go zabrała. - Wytarł nos ręką-  
wem. - Nie chciałem go zgubić, sir.

- Nie martw się, Jem. To nie twoja wina.

- Ale powinienem lepiej go pilnować, sir. Jest  
jeszcze mały.

- Nie obwiniaj się - wtrąciła Kathryn. - Znajdzie-  
my go.

- Przeszukaliście dom? - zapytał Drew.

- Właśnie to robiliśmy, kiedy pan przybył z lady  
Templeston, milordzie - powiedział Newberry.

- Zaproś gości do sali balowej - zarządził markiz.  
- Ktoś musiał go widzieć.

- Dobrze, sir.

Trzy kwadranse później wszyscy goście, którzy

jeszcze zostali w Swanslea Park, zeszli na dół. Wren pierwsza zauważyła, że brakuje dwóch osób spośród zaproszonych na śniadanie.

Odwróciła się do kamerdynera.

- Proszę posłać kogoś po lorda i lady St Jacques.

- Ja już do nich zachodziłam, panienko. to znaczy, milady... - odezwała się Polly, dygając. - Nie było ich w pokojach.

- Drew! - zawołała Kathryn. - Nie ma lorda i lady St Jacques.

Mąż, który akurat wypytywał gości i służbę, podszedł do niej natychmiast i otoczył ją ramieniem, a następnie odszukał wzrokiem koniuszego.

- Czy ktoś wyjeżdżał dziś rano?

- Konno czy powozem, milordzie?

- Jedno i drugie.

Riley podrapał się po głowie.

- Trzech dżentelmenów, trzy damy i dwóch stajennych wybrało się na przejażdżkę wierzchem, ale wszyscy są tutaj. - Pokazał na księstwo Kerry, arcybiskupa Canterbury, lady Mumford, Martina Bella i lady Seaborn. - A stajenni oporządzają teraz ich konie. Panna Allerton myślała, że państwo też gdzieś pojechali, ale później zobaczyła, że Abelard i Felicity są w swoich boksach.

- Taki mieliśmy zamiar, ale zaspaliśmy.

Choć Wren martwiła się o Kita, jej serce przepełniła czułość. Andrew wykorzystywał każdą okazję, żeby podkreślić jej miejsce w swoim sercu i w życiu.

- Ktoś jeszcze?

- Lord i lady St Jacque kazali podstawić karocę tuż po świcie.

- Jem, widziałeś powóz, kiedy czyściliście z Kittem stajnie? - zapytała Kathryn

- Tak, proszę pani.

- Pamiętasz, czy jeszcze stał, gdy Kit nie wrócił z sianem?

Jem potrząsnął głową.

- Pomyślałem, że Kit się w nim bawi, bo bardzo to lubi, ale kiedy poszedłem sprawdzić, powóz już odjechał.

- Zabrali go - wyszeptała Wren. - Och, Drew, zabrali moje dziecko.

Andrew uniósł jej brodę i spojrzał w oczy.

- Ale wiemy, gdzie jest nasz syn, najdroższa. Wiemy, komu chcą go pokazać.

Kathryn zbladła.

- Julianowi.

Właściwe jest naturze ludzkiej nienawidzić tego, kogo się skrzywdziło.

Tacyt, 55-120

Droga do Londynu wydawała się Andrew dłuższa niż zwykle. Lord i lady St Jacques mieli nad nimi kilkugodzinną przewagę, ale jechali dużo starszą i cięższą karocą, zaprzężoną w wolniejsze konie, podczas gdy on, Kathryn i Martin Bell podróżowali lżejszym powozem o dobrych resorach, a w dodatku często zmieniali zaprzęgi. Markiz wysłał przodem Rileya i dwóch stajennych, żeby na każdym postoju już czekały na nich świeże konie.

Do stolicy dotarli, kiedy lampiarze zapalali uliczne latarnie. Minęli rezydencję Ramseyów i pojechali prosto do domu St Jacques'ów. Jeszcze nim powóz na dobre się zatrzymał, Andrew z niego wyskoczył i wbiegł po frontowych schodach. Bębnił w drzwi, póki mu nie otworzono.

- Milordzie, domownicy już udali się na spoczynek - oznajmił kamerdyner, próbując zatarasować wejście.

Markiz odepchnął go bezceremonialnie i wkroczył do holu.

- Więc trzeba ich obudzić. Dom St Jacques'ów zawsze stoi otworem dla bohatera, który uratował życie panu Julianowi i który nadal się nim opiekuje, prawda?

- Oczywiście, milordzie, ale pan i pani zabronili mi dzisiaj kogokolwiek wpuszczać.

- Nie martw się, Porter. Zapewnię twoich państwa, że starałeś się przeszkodzić mi w odebraniu syna.

- Pańskiego syna, milordzie? Dano mi do zrozumienia, że panicz Kit jest wnukiem lorda i lady St Jacques.

- Najpierw musieliby mi odebrać prawa ojcowskie. Lada chwila zjawi się matka chłopca i mój doradca. Wpuść ich, proszę. - Przystanął na podeście pierwszego piętra i krzyknął: - Gdzie, do diaska, jest mój syn?

- Tutaj, Drew. - Głos dobiegał zza uchylonych drzwi pokoju, w którym panował półmrok. - Jeśli przyszedłeś mnie zabić, zrobiłeś to cztery lata za późno.

Na dużym łożu siedział oparty o stos poduszek młody mężczyzna. Niegdyś przystojny i silny, miał klasyczne rysy, błyszczące piwne oczy, gęste, ciemnobrązowe, falujące włosy, wytworny gust i skłonność do narcyzmu. Teraz jego policzki były zapadnięte, a cera woskowa. Wyglądał jak cień człowieka. Umierał.

- Gdzie? - warknął Ramsey.

- Tam.

W nogach łóżka spał Kit. Drew podszedł i wziął go na ręce.

- Zdawało mi się, że byłem pierwszy, ale widzę, że jednak mnie uprzedziłeś. Jesteście podobni do siebie jak dwie krople wody.

- Owszem. A twoi rodzice oszczędziliby nam strachu i zmartwienia, gdyby zauważyli to podobieństwo.

- Nie chcieli go dostrzec. Albo postanowili nie zważać na jego pochodzenie, byle tylko uznać go za swojego wnuka. Bierz dzieciaka i niech cię diabli!

- Prędej ciebie wezmą, łajdaku.

Gdyby Drew nie trzymał na rękach Kita, chętnie wydusiłby z Juliana resztkę życia.

St Jacques się zaśmiał.

- Nie bój się, nie zamierzam o niego walczyć. Głównym celem mojego spotkania z Kathryn było spółdenie bękarta, którego musiałyś uznać.

- Dlaczego, na litość boską? Przecież kochałem cię jak brata. Dlaczego zgwałciłeś kobietę, którą zamierzałem poślubić?

Chory wzruszył ramionami.

- Pragnąłem jej.

Andrew osłupiał. Takiego Juliana nie znał, nawet się nie domyślał jego istnienia.

- Ale wiedziałeś, że jest moją narzeczoną.

- Właśnie dlatego jej pragnąłem. Nie rób takiej zdziwionej miny, a może raczej wstrząśniętej. Zawsze byłeś ode mnie większy, lepszy, bystrzejszy. Miałeś wszystko. Bardziej prestiżowy tytuł, większy majątek, wyższe stanowisko w Ministerstwie Spraw

Wojskowych. Marzyłem o tym, żeby przynajmniej raz uzyskać nad tobą przewagę, być pierwszy.

- I zgwałciłeś kobietę, żeby odpłacić mi za rzekome przewiny?

- Zgwałciłem ją, bo mogłem. Wiedziałem, że Kathryn nic ci nie powie, a jeśli nawet odkryjesz prawdę, nie będziesz mnie podejrzewał. Jesteś zbyt lojalny, zbyt ufny. Uważasz za rzecz oczywistą, że wszyscy cię lubią i są podobni do ciebie. Niektórzy z nas nie znosili cię za to, że zawsze byłeś taki... cholernie doskonały.

Ramsey potrząsnął głową.

- Nigdy nie byłem doskonały ani takiego nie udawałem.

- Nie musiałeś udawać. W całym życiu nie zrobiłeś niewłaściwego kroku.

- A ty nigdy nie zrobiłeś właściwego.

- Nareszcie to zauważyłeś.

- Zawsze to dostrzegałem, ale byłeś moim jedynym przyjacielem i robiłem wszystko, żeby ci pomóc. Posunąłem się nawet do tego, że na polu bitwy uratowałem ci nędzne życie. Przyjaźniliśmy się przez dwadzieścia pięć lat, a w ogóle cię nie znałem.

- Znałeś mnie lepiej niż ktokolwiek, ale jak większość szlachetnych osób widziałeś to, co chciałeś widzieć. Powiedz mi, Drew, co teraz zrobisz, kiedy już wiesz, że Kathryn ma twoje nieślubne dziecko, a nie moje?

- Zrobiłem to, co zawsze zamierzałem. Ożeniłem się z nią.

Julian wybuchnął śmiechem.

- Ożeniłeś się z nią? Kiedy?

- Pięć dni temu.

- Jesteś głupcem, Drew.

- Byłem nim, kiedy ciebie słuchałem, ale już zmadrzałem. Poślubiłem Kathryn, bo ją kocham. Zawsze ją kochałem i będę kochał. Jeśli jestem głupcem, to wyłącznie dlatego, że ci ufałem, przez co omal jej nie utraciłem. A nic, nawet nasza wieloletnia przyjaźń, nie jest warta takiego ryzyka.

St Jacques prychnął z pogardą.

- A gdyby dziewięć miesięcy po ślubie Kathryn urodziła ci mojego bękarta? Wtedy też byłbyś szlachetny? Znam cię, Drew, i wiem, że masz w sobie sporo dumy. Wcale byś się nie kwapił do uznania cudzego syna za własnego.

- Owszem. Być ojcem to wychowywać dziecko, a nie tylko je spłodzić. I każde dziecko urodzone przez Kathryn jest również moim. - Z uśmiechem popatrzył na śpiącego Kita.

- Teraz tak mówisz. Szkoda, że cztery lata temu nie zostawiłem jej z bękartem, żebyśmy mogli podać próbie twoje przekonania.

- Zostawiłeś - rozległ się kobiecy głos. - Nazywał się Ian Wesley Stafford.

W drzwiach pokoju stała lady Templeston.

- Pięknie wyglądasz, Kathryn - powiedział Julian, obrzucając ją lubieżnym spojrzeniem. - Wyjątkowo dobrze.

Wren wzdrygnęła się z obrzydzenia.

- A ty wyjątkowo źle.

Jej uwaga zaboliała. Julian St Jacques zawsze był



dumny ze swojej prezencji. Nigdy nie musiał rozwijać w sobie siły charakteru, bo wystarczało mu, że jest przystojny.

- Zabieraj ją z mojego domu! - warknął do Drew.

- Nigdzie się nie ruszę, póki masz mojego syna - oświadczyła Wren. - Ale dobrze zrobiłam, że pokonałam strach i przyszłam tutaj, by ci powiedzieć, że Kit nie jest twoim dzieckiem. - Z uśmiechem spojrzała na męża. - Jest nasz.

Andrew podał jej malca i otoczył ją ramieniem.

- Chodźmy do domu.

- Wspomniałaś o jakimś dziecku - powiedział Julian.

- Tak, ale nie zasługujesz na wyjaśnienie.

- A my?

Wren odwróciła się i zobaczyła stojących w progu gospodarzy.

- Państwu również nie należą się żadne względy. Ukradliście mi syna i przywieźliście człowiekowi, który mnie zgwałcił!

- On nie...

- Tak. Dwa dni przed moim ślubem. Oszukał Drew, zaatakował mnie w powozie, zgwałcił, a potem wyrzucił przed domem mojej ciotki, jakbym była śmieciem. Modliłam się, żeby nigdy więcej go nie zobaczyć. Modliłam się, żebym mogła zapomnieć o tym, co się stało, ale dziewięć miesięcy później urodził się syn waszego syna, Ian Wesley Stafford. Umarł w wieku ośmiu miesięcy.

- Jak umarł? - zapytała lady St Jacque. - Niech pani nam powie. .

- Niczego nie może pani ode mnie żądać. Powiem, ale od tej pory nie chcę mieć z państwem do czynienia. Nie prosiłam o dziecko, ale je kochałam. Niestety Ian urodził się z pewną skazą. Wiem od ojca, że ta straszna choroba czasami zdarza się w naszej rodzinie. Chłopczy z rodu Markinsonów krótko żyją. Gdy mój synek skończył osiem miesięcy, próbował raczkować. Uderzył się w bródkę i wykrwawił na śmierć.

Lady St Jacque gwałtownie wciągnęła powietrze.

- Dzieci, które rodziłam przed Julianem i po nim, cierpiały na tę samą chorobę. Kara za grzech mojego syna spotkała jego syna.

- Nie, proszę pani - odezwał się Drew, wyraźnie poruszony. - Ian niczemu nie był winien. Gdybym wiedział o jego istnieniu, uznałbym go za swojego dziedzica i wychował. Nie wierzę, że Bóg karze dzieci za grzechy ojców. - Przeniósł wzrok na Juliana. - Nie rozumiem, dlaczego zrobiłeś to, co zrobiłeś, ale wiem, że zasłużyłeś na moją pogardę i litość.

- Nie obchodzi mnie twoja pogarda i nie potrzebuję litości!

- Tak czy inaczej tobą gardzę i jednocześnie ci współczuję, bo zmarnowałaś sobie życie zazdrością. - Wziął Kathryn za rękę. - Moja żona, syn i ja idziemy do domu.

- Zaczekajcie! - krzyknęła lady St Jacque. - Gdzie jest pochowany Ian?

Wren milczała.

- Był naszym wnukiem. Mamy prawo wiedzieć. Kathryn zmierzyła kobietę spojrzeniem.

- Nie macie żadnego prawa do moich wspomnień o Ianie.

- A co z Kitem? Moglibyśmy zostać jego dziadkami.

- Kit jest Ramseyem. Nie potrzebuje państwa. My mu wystarczymy.

W tym momencie chłopiec otworzył oczy.

- Mama?

- Jestem, kochanie.

- Idziemy do domu? Nie podoba mi się tutaj. Chcę zobaczyć Lancelota, Jema i Ally.

Malec przeciągnął się i ziewnął szeroko,

- Idziemy - powiedział Drew i ucałował go w czółko. Stojąc w drzwiach, odwrócił się do lorda St Jacques. - Jeszcze jedno. Pan i pańska żona jesteście winni porwania, milordzie. Jeśli spróbujecie napaść na moją rodzinę albo kontaktować się z nami w jakikolwiek sposób, podam was do sądu. Postępek waszego syna już nas kosztował cztery lata życia. Nie pozwolę, żebyście je dalej zatruwali.

- A co zrobisz ze mną? - zawołał za nim Julian.

- Poczekam, aż umrzesz powolną, bolesną śmiercią. Wtedy odmówię modlitwę za twoją nieśmiertelną duszę, bo nie zniżę się do tego, by nienawidzić tak żałosnego człowieka jak ty.

- Jesteś głupcem, Drew! Zawsze nim byłeś. Wiesz, jaką kobietę poślubiłeś?

- Wiem doskonale. Poślubiłem damę. Najcudowniejszą na świecie.

- Chciałabym mieć więcej dzieci - oznajmiła Wren, kiedy we trójkę usadowili się w powozie i ruszyli do Swanslea Park.

Kit spał wyciągnięty na siedzeniu, z głową na kolanach Drew, a nogami na kolanach matki.

Andrew ogarnęła fala czułości.

- Ja też - powiedział zdławionym głosem.

- Bardzo bym chciała mieć twoje dzieci.

- Ja też, ale... - Zmarszczył brwi.

- Wiem, czego się obawiasz. Wiem, że mogą cierpieć na tę samą chorobę co Ian. Ale istnieje również szansa, że będą zdrowe, i jestem gotowa zaryzykować. - Uśmiechnęła się czule. - Wierzę, że wszystko będzie dobrze.

- A jeśli nie?

- Mamy siebie i Kita. I naszą miłość.

Drew pokiwał głową.

- I zawsze możemy jakies adoptować. - Nakrył ręką dłoń żony. - Poprosiłem Martina, żeby spróbował odnaleźć kochanki mojego ojca. Jestem zobowiązany do opieki nad nimi. Może któraś jej potrzebuje. - Wzruszył ramionami. - Albo ich dzieci.

Kathryn posłała mu uśmiech.

- Moglibyśmy zapełnić dom małymi Ramseyami. Przyrodnimi braćmi i siostrami Kita, twoimi miniaturowkami.

- To możliwe, ale mało prawdopodobne.

- Tak czy inaczej nic straconego.

- Kathryn? - Spojrzał jej w oczy i zobaczył w nich odbicie własnych marzeń.

Wren skinęła głową.

- Nie musimy ograniczać się do potomstwa George'a. Jest cały świat dzieci, które potrzebują domu i rodziców, którzy będą je kochać.

- Więc ich poszukajmy - rzekł Andrew i pocałował ją w czoło. - Bo trudno sobie wyobrazić lepszą matkę niż ty.

## Epilog

Jeśli gdzie była jedność z dwojga utworzona,  
Jeśli kiedy kochała męża swego żona,  
Jeśli miłość ta była jej odwzajemnioną -  
Myśmy tym dwojgiem, tym mężem, tą żoną.

Anne Bradstreet, 1612-1672

*Trzy miesiące później*

Przy śniadaniu Wren zaczęła czytać mężowi rubrykę towarzyską londyńskiego *Timesa*:

- „W ostatni piątek, po wielkim przyjęciu wydanym dla uczczenia ślubu, lord Templeston przedstawił na dworze swoją uroczą żonę. Państwo młodzi pobrali się za dyspensą arcybiskupa Canterbury w siedzibie rodowej markiza w Swanslea Park w Northamptonshire.

W czasie prezentacji lady Templeston miała na sobie suknię z czarnego aksamitu ze względu na żałobę po teściu, piętnastym markizie Templeston.

Pan młody był ubrany w tradycyjny dworski strój: brokatowe spodnie do kolan, buty ze sprzączkami i pończochy z wyhaftowanym miłosnym po-

ematem na cześć żony, które zrobiły furorę wśród zaproszonych gości. Mówi się, niektórzy mężczyźni, w tym sam książę regent, od razu podchwycili tę nowinkę.

Prezenterem ślubnym markiza dla żony było podarowanie kilku tysięcy funtów Królewskiemu Towarzystwu Ochrony Brytyjskiej Flory i Fauny oraz przekazanie stosownej sumy na odnowienie skrzydła Muzeum Brytyjskiego, poświęconego pamięci ojca lady Templeston, znanego przyrodnika sir Wesleya Markinsona, oraz jej nieżyjącego męża, wybitnego zoologa, Bertranda Stafforda. Skrzydło imienia Markinsona-Stafforda zostanie otwarte dla publiczności wczesną jesienią przyszłego roku, co zbiegnie się w czasie z wydaniem dzieła *Brytyjska fauna i flora*, rozpoczętego przez ojca lady Templeston, a dokończonego przez nią samą."

- Dzień dobry, mamusiu!

Wren odłożyła gazetę i pomachała Kitowi, który przegalopował na Lancelocie obok tarasu. Za nim jechała Ally na wałachu o imieniu Portos.

- Nie wiem, jak ci dziękować za skrzydło muzeum poświęcone tacie i Bertrandowi - powiedziała Kathryn z uśmiechem.

- Zrobiłbym wszystko, żeby pozbyć się z wdo-wiego domku zasuszonych motyli i ptasich trucheł. - Wzdrygnął się teatralnie. - Nie mam nic przeciwko żywej menażerii, ale gdy każdego popołudnia muszę oglądać martwe okazy...

- Nie mogę się nadziwić, że jednak włożyłeś te haftowane pończochy na wizytę na dworze.

- Sama mnie do tego sprowokowałaś - przypomniał Andrew. - Zresztą ty też miałaś na sobie pończochy we wzory.

- Moich nie było widać.

- Dzięki Bogu.

Wren potrząsnęła głową.

- Nadal nie mogę uwierzyć, że zgodziłam się na ten niedorzeczny zakład. I że przegrałam.

Mąż rzucił jej pożądliwe spojrzenie.

- Nie powiedziałbym, że przegrałaś. Pomyśl o zabawie, która nas czeka.

- A ty o skandalu, który wybuchnie, jeśli ktoś mnie zobaczy.

Drew parsknął śmiechem.

- Po co się żenić, jeśli nie można czasami urządzić sobie nieprzyzwoitego spektaklu.

- Mówię poważnie, Andrew. Jeśli zobaczy mnie nowy pastor, będę zgubiona.

- Jeśli nowy pastor cię zobaczy, padnie trupem. Dlatego twoją przejażdżkę a la Lady Godiva musimy zorganizować wcześniej rano albo pozbyć się wszystkich ze Swanslea Park i z wioski.

- Jak to zrobimy?

- Damy im wolną sobotę i parę pensów do wydania na targu w miasteczku.

- Narazisz się na kłopoty i wydatki, żeby tylko ujrzeć mnie jadącą nago przez posiadłość?

- Kupiłbym całą Anglię, żeby wcielić w życie swoje fantazje.

- Miejmy nadzieję, że to nie będzie konieczne - powiedziała Kathryn ze śmiechem i spojrzała na



niego znacząco. - Może coś innego wymyślisz?  
W Swanslea Park są dziesiątki pokoi.

Drew zmarszczył brwi, udając, że się zastanawia.

- Spróbuję. Ale dom wydaje się zbyt kameralną sceną dla markizy, która maluje na pończochach sceny erotyczne i lubi udawać, że kiedyś była słynną kochanką.

- Jest pan zepsutym łajdakiem, lordzie Templeston.

- A pani miłością mojego życia, lady Templeston.

koniec